

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
PASJA ŻYCIA

WIESŁAW KOT CAŁA POLSKA
DOGADZA SENIOROM

MEDYCZNA MARIHUANA
– DROŻEJ, ALE LEGALNIE

TANIA UKRAIŃSKA
SIŁA ROBOCZA



JACKA KURSKIEGO

TELEWIZJA NA SMYCZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311904

NOMINOWANY DO OSCARA®
VIGGO MORTENSEN

LAUREAT OSCARA®
MAHERSHALA ALI

NAJLEPSZY FILM

5 OSCARÓW
NOMINACJE



3 ZŁOTE GLOBY
ZWYCIĘZCA



GREEN BOOK

PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ POZNAJE SIĘ W DRODZE

W KINACH

CYTATY

DANIEL PASSENT,
komentator

Premier Morawiecki mówi, że jego celem jest, abyśmy zarabiali tyle co na Zachodzie. No, to zarabiają. „Polityka”

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawniczka

Następcy trzech króli utuczeni stawką, władzą i złotem paradują w błyszczących ornatach, markowych garniturach i sieją nierówność. „Wysokie Obcasy”

PROF. JADWIGA STANISZKIS, socjolog

Prezydent Duda nie sprawdza się w sytuacji kryzysu państwa i tylko go pogłębia. „Rzeczpospolita”

KAROLINA GRUSZKA,
aktorka

Mówię i czasami nawet myślę po rosyjsku, ale przyjemniej jest żyć we własnym kraju. „Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



List otwarty do pana Przemysława Sypniewskiego, prezesa Zarządu Poczty Polskiej SA

Panie Prezesie,

Jedną z usług, które oferuje kierowana przez Pana instytucja, jest prenumerata prasy. Poczta Polska szeroko ją zresztą reklamuje. Dla wielu starszych, cierpiących na rozmaite schorzenia ludzi jest to często jedyna możliwość dostępu do gazet. Taką możliwość zapewnia, i to wszystkim chętnym, każdy cywilizowany kraj. Lepiej czy gorzej, choć często gorzej, funkcjonowało to i w Polsce. A najlepiej za czasów mocno – także przez nas – krytykowanego InPostu. Jaki on był, taki był. Ponieważ jednak konkurował z Poczta Polską, nieraz skutecznie, to i Pańska firma musiała dbać o poziom usług. Czyli także o czytelników prasy. Niestety, na nieszczęście dla nas, odbiorców usług Poczty, znowu jesteście monopolistą. I często działacie według filozofii zaprezentowanej przez Stanisława Bareję: nie mamy pana płaszcza i co nam pan robi? Tak Pańska firma reaguje na skargi.

W związku z kłopotami, w jakie – mam nadzieję, że tylko czasowo – wpadł Ruch SA, podobnie jak inni wydawcy podjęliśmy starania o zwiększenie liczby prenumeratorów. Udało się! Setki czytelników zaufały redakcji, a redakcja zaufała Poczcie Polskiej.

Pieniądze za prenumeratę Pańska firma oczywiście wzięła. Często za cały rok z góry.

Niestety, zapomnieliście, za co były te pieniądze. Przypomnę więc krótko: czytelnicy zapłacili za to, by w poniedziałek, a jeśli się nie da, we wtorek, tygodnik PRZEGLĄD był u adresatów. Taka jest umowa.

Bo chyba zgodzi się Pan, że tygodnik otrzymany po tygodniu, albo często po dwóch, albo dwa numery naraz, to nie jest realizacja umowy.

Dzięki takiej pracy Poczty, a więc Pana pracy, Panie Prezesie, od poniedziałku do piątku, od rana do wieczora wysłuchujemy skarg i pretensji naszych czytelników. Słusznych skarg i uzasadnionych pretensji.

Żał mi również naszych pracowników, którzy biorą na siebie Pana winy. Bo to Pan odpowiada za pracę Poczty Polskiej. Wiem, że nie jest to praca przymusowa. I skoro Pan się jej podjął, odpowiada Pan za jej efekty. A nie za tłumaczenie własnych problemów tym, że nie ma listonoszy, że mało płacicie, że śnieg pada itp. Przecież to, co się dzieje, to kpienie z ludzi. I oszukiwanie kontrahentów.

Kończąc ten list, wierzę, że nasz tygodnik będzie punktualnie trafiał do prenumeratorów. I że uda się Panu skutecznie ten proces zorganizować.

FAUL

Zagrzybiona komunałka

Potwierdza się bolesna prawda, że aby dostać mieszkanie komunalne, trzeba być biednym, a żeby je utrzymać, trzeba być bogatym. Zagrzybione i niedogrzone mieszkania narażają lokatorów na poważne choroby, a brak CO zmusza ludzi do ogrzewania elektrycznego. Ile to kosztuje? Krocie. Ponad możliwości finansowe najemców. Kto odpowiada za ten beznadziejny korowód? Władze miast, które są właścicielami tych mieszkań. Odpowiadają, ale tylko teoretycznie. W praktyce mało kogo obchodzi grzyb w mieszkaniu i los lokatorów.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Telewizja na smyczy**
Wszystkie kłamstwa prezesa TVP
- 13 Owsiak wraca, hejt ma się dobrze**
Prawica komentuje decyzję szefa WOŚP
- 14 Jest inna droga niż tylko Platforma i PiS**
– rozmowa z Krzysztofem Gawkowskim
- 18 Niewidzialne**
Ukrainki – tania siła robocza
- 26 Rozsądek górą**
Medyczna marihuana w aptekach
- 50 Jestem człowiekiem dwóch narodów**
– rozmowa z ks. infułatem Grzegorzem Pawłowskim

SYLWETKI

- 22 Pasja życia**
70-lecie prof. Grzegorza W. Kołodki

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 29 Płacowy bałagan w ochronie zdrowia**

ZAGRANICA

- 30 Amerykański sen w todzie**
Wielu prawników i niewydolny system

OPINIE

- 32 Bogdan Galwas**
Prawdziwa pomoc dla Afryki

HISTORIA

- 36 Szczęśliwe Krakowa przypadki**
To im miasto zawdzięcza swój kształt

KULTURA

- 42 Każdego Edka z czasem zastąpi kolejny**
– rozmowa z Krystianem Nowakiem
- 44 Kulturalia**
- 66 Mac Adams. Zbrodnia?**

MEDIA

- 46 Reportaż jest niepokojem**
Polska widziana mikrofonem

OBSERWACJE

- 52 Tomek, nie poddawaj się, nie zasypiaj**
Rok po tragedii na Nanga Parbat
- 56 Oferta last minute**
Cała Polska dogadza seniorom

ZDROWIE

- 60 Medycyna na odległość**
– rozmowa z dr. Marcinem Grabowskim

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
List otwarty do pana Przemysława Sypniewskiego, prezesa Zarządu Poczty Polskiej SA
- 21 Jan Widacki**
Po pogrzebie Pawła Adamowicza
- 25 Roman Kurkiewicz**
Święte jedno
- 35 Tomasz Jastrun**
Świeże kwiaty
- 41 Ludwik Stomma**
Kłamcie dalej!
- 49 Edward Mikołajczyk**
Muzyka butów

14

KRAJ

**JEST INNA DROGA
NIŻ TYLKO PLATFORMA I PiS**
– rozmowa
z Krzysztofem Gawkowskim



32

OPINIE

BOGDAN GALWAS

Prawdziwa pomoc dla Afryki



56

OBSERWACJE

OFERTA LAST MINUTE
Cała Polska dogadza seniorom

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EAST NEWS



**BRONISŁAW ŁAGOWSKI,
LUDWIK STOMMA
I JAN WIDACKI** o Okrągłym Stole

DR MACIEJ DĘBSKI

Wytrzymałem bez internetu 11 dni

POLSKA AGENCJA GEOLOGICZNA
Kto niszczy polską geologię?

✉ Źródło źródeł

Źródłem źródeł zjawiska zwanego mową nienawiści jest sposób przeprowadzania reform ustrojowych przez ekipę sprawującą władzę: bez mandatu większości kwalifikowanej i bez porozumienia z liczącą się w skali społecznej opozycją. Jeżeli w sporach nie przedstawia się stanowiska służącego starciu na argumenty, pozostaje totalne, ze środkami nieetycznymi włącznie, zdezwauowanie przeciwnika, a w dalszej kolejności jego wdeptanie w ziemię – i symboliczne, i wreszcie realne. Mniej odporna część społeczeństwa przejmuje ten wzór, zwłaszcza kiedy okazuje się (do czasu) skuteczny.

Andrzej Lam

✉ Symetryczna nienawiść

Według mnie obydwie strony konfliktu w równej mierze posługują się mową nienawiści. Niestety, i Wasz tygodnik czasem o nią się ociera. Czy bowiem użycie słowa łachudra w komentarzu red. Domańskiego nie jest obrażające? Felietony pana Tomasza Jastruna aż kipią nienawiścią i pogardą w stosunku do PiS. Bo jak inaczej określić jego toast noworoczny „Dla nas wszystkiego najlepszego, a im na pohybel”? Nie jestem zwolennikiem PiS, zawsze głosowałem na lewicę,



ale wydaje mi się, że nagonka na PiS jest przesadna, a PO za swoje błędy powinna bardzo długo pokutować i wyciągnąć odpowiednie wnioski, aby nie była uważana za elity kompradorskie.

L.U., Kraków

f Teatr nienawiści

Emocje, o których mówi dr Ewa Marciniak, są owocem działań polityków. Dwie kadencje lekceważenia przez PO klasy średniej skłoniły środek do głosowania na PiS. Wcześniej wydmuszka IV RP zraziła ludzi do PiS, a jeszcze wcześniej prostacka propaganda antyeseldowska w połączeniu z liberalnym skretem i rozdmuchanymi aferami zraziła elektorat do SLD. Dzisiaj elektorat, który kiedyś poparł SLD, głosuje na PiS. Na dodatek ciągle scena polityczna jest sformatowana POPiS-owo. Tylko jaki to daje efekt? Społeczeństwo jest podzielone, prawie na granicy wojny domowej. A to przecież groźne dla egzystencji Polski. Dziwi mnie, jak społeczeństwo, bardzo jednolite po II wojnie światowej, dało się tak podzielić. Dlaczego, rzekomo nowoczesne, tak łatwo łyka propagandę?

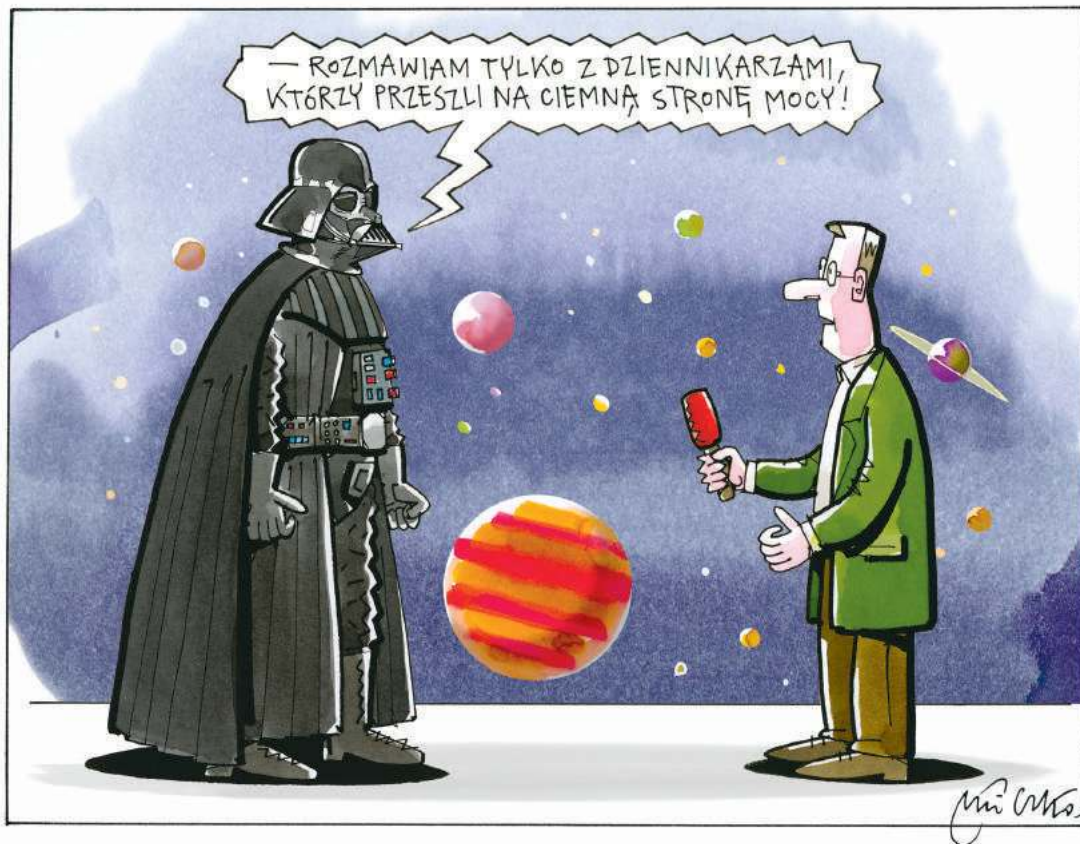
Michał Łuksa



ZDJĘCIE TYGODNIA



Tak w 1945 r. wyglądał Gdańsk zniszczony po II wojnie światowej. Zdjęcie dedykujemy Donaldowi Tuskowi i Grzegorzowi Schetynie, którym wydaje się, że świat zaczął się w 2007 r. wraz z objęciem rządów przez PO.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy polityka minister Zalewskiej doprowadzi do strajku generalnego nauczycieli?

IGA KAZIMIERCZYK,
ruch Obywatele dla Edukacji

Zastanawia raczej, dlaczego widmo strajku generalnego pojawia się dopiero teraz. Szybko podsumujmy: cofnięcie obowiązku przedszkolnego dla dzieci pięcioletnich, forsowanie nieuzasadnionej merytorycznie reformy, próba likwidacji problemów polskiej edukacji poprzez likwidację gimnazjów. Do tego podstawy programowe pisane w pośpiechu, podręczniki stworzone przez „kopiuj-wklej”. Efekt? Podwójny rocznik – ósmoklasiści i gimnazjaliści w rekrutacji do liceum w tym samym czasie, masowe odejścia z zawodu, panika przed kwietniowymi egzaminami, eldorado dla korepetytorów. W tym wszystkim nauczyciele i nauczycielki – realizujący reformę na co dzień, pomiędzy szkolną pracą a rosnącą presją ze strony rodziców. Jak długo można to znosić? Musimy wreszcie na coś się zdecydować: nauczyciel to wysoko opłacany specjalista, pracujący z naszymi najdroższymi dziećmi, albo misjonarz, wykonujący pracę z powołania, otrzymujący wynagrodzenie niewiele różniące się na starcie od pensji minimalnej. Nauczyciele

chyba w tej kwestii już się określili, pora, żeby powagę sytuacji zrozumiała Anna Zalewska.

DOROTA ŁOBODA,
Fundacja Rodzice Mają Głos

Podwyżki zaproponowane przez resort edukacji nie spełniają i nie mogą spełnić oczekiwań nauczycielek i nauczycieli. Pięcioprocentowy wzrost wynagrodzeń to zdecydowanie za mało. Pensje nie pozwalają nauczycielom na godne życie i spokojną, satysfakcjonującą pracę. Średnie wynagrodzenia, które publikuje ministerstwo, wzmagają gniew środowiska pedagogicznego, bo nie mają nic wspólnego z tym, co nauczyciele widzą co miesiąc na pasku wypłaty. Sądzę, że działania Anny Zalewskiej, a szczególnie ignorowanie postulatów związków zawodowych, manipulowanie danymi o płacach oraz niechęć do dialogu, doprowadzą w końcu do strajku nauczycieli. Sytuacja w szkolnictwie jest i tak napięta z uwagi na chaos spowodowany reformą; spór o podwyżki będzie kroplą, która przepełni czarę i doprowadzi do masowych protestów.

ANNA DZIERZGOWSKA,
historyczka w Wielokulturowym Liceum Humanistycznym im. Jacka Kuronia

Ministra Zalewska zmusza nas do pracy w coraz trudniejszych warunkach i odmawia nam godziwej zapłaty. Czy uda się zorganizować strajk generalny? Nie wiem, polskie procedury bardzo to utrudniają, zwłaszcza że formalnie strajk można zorganizować tylko przeciw własnej dyrektorce lub dyrektorowi, a nie przeciwko politykom – co jest w tej sytuacji absurdem. Pojawiają się więc, nie tylko wśród nauczycieli, twórcze formy strajku: jest już pomysł z braniem L4, można pomyśleć o strajku włoskim (drobiazgowo dopełnianie wszystkich formalności – można by świetnie pokazać nadmierne zburokratyzowanie szkoły), we Francji w ramach strajku wystawiano tylko dobre oceny... Kluczowe jest jednak nie to, czy strajk będzie „legalny”, bo nie o to chodzi w strajku, ale czy uczniowie i uczniowie oraz ich rodzice rozumieją, że protest – nawet jeśli w krótkiej perspektywie utrudni im życie – tak jak protesty pielęgniarek jest częścią wspólnej walki o wspólne dobro.

Not. Michał Sobczyk

Justyna Samolińska

Czy Jacek Kurski odejdzie z TVP? To pytanie po raz kolejny rozgrzewa debatę publiczną. Czy Kaczyński zdecyduje się zastąpić Kurskiego bardziej miękkim prezesem, czy po prostu każe mu nieco osłabić linię i przekaz? Kim jest Jacek Kurski i w jaki sposób dorobił się fotela prezesa mediów publicznych?

WSZYSTKIE PARTIE KURSKIEGO

Bywa nazywany „bulterierem Kaczyńskiego” – określenie to wydaje się o tyle nie na miejscu, że bulterier, jak każdy pies, odznacza się wiernością wobec właściciela, którego pod żadnym pozorem nie porzuci. Jacek Kurski jest raczej jak kot – zawsze spada na cztery łapy, wychodzi cało z każdej politycznej opresji, chadza własnymi ścieżkami, najchętniej tam, gdzie dostanie najwięcej śmietanki.

Karierę polityczną rozpoczął jeszcze w latach 80., w opozycji. Potem przewinął się przez niemal wszystkie prawicowe ugrupowania, zaczynając od Porozumienia Centrum, przez Ruch Odbudowy Polski, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Prawo i Sprawiedliwość, Ligę Polskich Rodzin i Solidarną Polskę. „Trafiłem na niego [na Jarosława Kaczyńskiego] jako student na strajku majowym w 1988 r. w Stoczni Gdańskiej, kiedy podczas jego wielogodzinnych pogadanek politycznych w stołówce doznałem iluminacji politycznej. Wtedy ułożył mi się pewien obraz świata, a że zgadza się on z rzeczywistością, to pozostałem mu wierny”, mówił w 2007 r. A przecież mimo tej „iluminacji” porzucał Kaczyńskiego nie raz.

Zacznijmy jednak od początku kariery Kurskiego, który do polityki przyszedł z mediów. Za czasów rządu Jana Olszewskiego dostał pracę w telewizji – prowadził program „Refleks”. Potem, po tzw. nocy teczek, kiedy Olszewski utracił władzę, zajął się pisaniem z Piotrem Semką książki „Lewy czerwcowy”. Zdobyła ona popularność dzięki (nigdy nieudokumentowanym) zarzutom wobec bliskiego współpracownika Lecha Wałęsy, Mieczysława Wachowskiego, który miał pracować dla Służby Bezpieczeństwa, oraz informacji, że Wałęsa chciał wyposażyć Polskę



Telewizja na smyczy

Lech Kaczyński nie akceptował Jacka Kurskiego.
Dlaczego hołubi go Jarosław?

w broń atomową. „Bombą atomową się nie przejmowałem, tam były powiedzione ważniejsze rzeczy. Bomba trafiła do notki na okładkę z powodów marketingowych”, wyznał wiele lat później beztrosko Kurski w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

W 1993 r. startował do Sejmu z listy Porozumienia Centrum, partii braci Kaczyńskich, która otarła się o próg wyborczy. Potem wrócił do mediów – pracował m.in. w TVP przy „Sprawie dla reportera”. W 1995 r. wyemitowano „Nocną zmianę” – film opowiadający o wydarzeniach z nocy teczek. Wielu uważa, że właśnie ta produkcja przyczyniła się do porażki Wałęsy w wyborach prezydenckich i zwycięstwa Aleksandra Kwaśniewskiego. Film ogląda się dzisiaj ciekawie, ale nie da się ukryć, że jest ostrą mani-

pulacją – otwarte dla mediów obrady Sejmu pokazane są jak spisek.

Tymczasem Kurski zapisał się do Ruchu Odbudowy Polski. Jego wypowiedzi z tamtego okresu przypominała „Gazeta Wyborcza”. O pogromie kieleckim Kurski mówił tak: „Był to obrzydliwy mord UB i sprowokowanej przez nich kieleckiej żulii. Nikt nie przeproszał nas za zamordowanych w stalinowskich więzieniach Polaków, a przecież wiadomo, że 30% aparatu UB stanowili Żydzi”. Z kolei pytany na spotkaniu z mieszkańcami Rzeszowa o to, dlaczego Marian Krzaklewski przyjmuje do Solidarności Żydów i masonów, odpowiadał: „Marian nie lubi masonów i Żydów, więc mam nadzieję, że ten proces będzie kontrolował. Z nimi tak jest, że nawet jak ich niewielu, to dużo mieszają”.

ROP w 1997 r. przegrał wybory, a Kurski ponownie zmienił barwy partyjne, tym razem na ZChN, gdzie pełnił funkcję wiceprezesa. W 2001 r. startował do Sejmu z pierwszego miejsca w okręgu toruńsko-włocławskim z listy AWS Prawica, gdzie ostatnie miejsce miał zająć Jacek Janiszewski, były minister rolnictwa w rządzie Jerzego Buzka. Kurski jako pełnomocnik wyborczy chciał wykreślić Janiszewskiego z listy, a kiedy okazało się to niemożliwe – dopisał dość przypadkowego naukowca z Gdańska, Michała Janiszewskiego. Przyznał, że zrobił to specjalnie, chcąc

do rządu. Potem Kurski budował kampanię Ligi do europarlamentu, w której udało się zdobyć kluczowe poparcie mediów o. Tadeusza Rydzika. Roman Giertych zaprzecza, że Kurski był autorem ogromnego sukcesu niewielkiej partyjki – 16% w wyborach – twierdząc, że tylko „przynosił herbatę”, ale wbrew jego tezom był to jeden z najbardziej rozpoznawalnych polityków LPR. I nagle w 2004 r. przeszedł do PiS – partii, której przez lata w sejmiku nieustannie krzyżował plany. Marszałek województwa, Jan Kozłowski z Platformy, która była z Prawem i Sprawiedliwością

owszem, dziadek Tuska był w Wehrmachcie, ale został do niego wcielony siłą i uciekł, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Kurski, zapytany przez Katarzynę Kolendę-Zaleską, dlaczego grzebał dziadkowi Tuska w życiorysie, odpowiedział: „Z tym Wehrmachtem to lipa, ale jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi”. Wielokrotnie wypierał się tych słów, jednak potwierdzają je świadkowie: Tomasz Lis i Wiesław Władyka. Lech Kaczyński przeprosił Tuska za słowa swojego spin doktora, Kurskiemu groziło nawet dyscyplinarne wyrzucenie z partii, ale skończyło się na naganie.

W 2007 r. wojujący spin doktor został posłem PiS, dwa lata później trafił do europarlamentu, gdzie zresztą nieszczerze się sprawdził. Przez rok wygłosił trzy wystąpienia plenarne, podczas gdy np. prof. Adam Gierk w ostatniej kadencji miał ich 69. Kurski zgłosił jedną poprawkę legislacyjną – Gierk 27. Podobnie wypadła w porównaniu z Jerzym Buzkiem czy Michałem Bonim, którzy wcale nie są najaktywniejszymi członkami Parlamentu Europejskiego. Clara Eugenia Aguilera García, socjalistyczna europosłanka z Hiszpanii, przemawiała w ciągu kadencji aż 377 razy.

Kaczyńskiemu tym razem był wierny dłużej – dopiero w 2011 r., wraz ze Zbigniewem Ziobrą i Tadeuszem Cymańskim, został wykluczony za krytyczne wypowiedzi. Wtedy właśnie powstała Solidarna Polska, w której jednak Kurskiemu nie szło tak dobrze – wynik w wyborach do europarlamentu miał fatalny. Pod pretekstem strat wizerunkowych związanych z kolejnym opisanym przez media wybrykiem drogowym wykluczono go z szeregow partii niemal

Lech Kaczyński: W polityce są wartości graniczne, a Jacek Kurski te wartości przekroczył.

zmniejszyć szanse kolegi z listy, zarzucił też byłemu ministrowi „niejasne powiązania biznesu i polityki”. Następnie odbył się jedyny w historii proces w trybie wyborczym, którym wystąpili przeciw sobie kandydaci z tej samej listy, zresztą żaden z nich nie znalazł się w Sejmie.

Po porażce AWS w wyborach w 2001 r. Kurski odszedł z ZChN (partia twierdziła, że wyrzucono go za „polityczne gangsterstwo”) i wstąpił do PiS. Jednak kiedy w 2002 r. nie dostał biorącego miejsca na liście w wyborach samorządowych, porzucił Kaczyńskiego na rzecz Ligi Polskich Rodzin – tam dawali mu biorącą jedynekę do sejmiku województwa pomorskiego i pozycję kandydata na prezydenta Gdańska. „Przestałem po prostu rozumieć politykę PiS, szczególnie na Pomorzu. Nie pojmuję, jak można bić się ze skorumpowanym, fatalnym układem trawiącym Warszawę, a jednocześnie popierać identyczny układ rządzący w Gdańsku, Gdyni, Sopocie i na Pomorzu”, tłumaczył przyczyny odejścia. Nie znosił Kurskiego Lech Kaczyński. „Ta postać jest dla mnie nie do zaakceptowania – mówił. – W polityce są wartości graniczne, a Jacek Kurski te wartości przekroczył. Nie wyobrażam sobie, żeby wszedł do prezydium sejmiku, bo to oznaczałoby, że każde fałdactwo w polityce popłaca”.

Tymczasem Kurski wszedł do prezydium sejmiku, został nawet jego wiceprzewodniczącym, LPR okazała się bowiem jęczkiem u wagi, jej trzy głosy były koalicji PO-PiS niezbędne

w koalicji, tak później wspominał to w rozmowie z „Wyborczą”: „Gdy Kurski był w LPR, robił wszystko, by utrudnić nam życie. To skończyło się natychmiast, gdy przeszedł do PiS. Podszedł do mnie i powiedział: przepraszam, to był okres walki, teraz jest okres współpracy. I raptem głosował już razem z nami. Opadła mi szczeka. On jest człowiekiem inteligentnym i zdolnym, ale też bezwzględny i cynicznym. Straszna mieszanka, bo nie przebiera w środkach. Dla niego liczy się tylko efekt. Dla mnie to najemnik polityczny”.

Wszystkie rozstania z Kaczyńskim

W PiS Kurski bardzo poważnie zaangażował się w kampanię Lecha Kaczyńskiego. Wtedy też wyciągnął Donaldowi Tuskowi „dziadka z Wehrmachu”. Szybko się okazało, że

Ciężka noga Kurskiego

Wpadki drogowe Jacka Kurskiego to osobny temat. Najbardziej znana historia wydarzyła się w 2008 r., kiedy „podczepił się” pod kolumnę policyjną na sygnale, przewożącą niebezpiecznego więźnia. Funkcjonariusze, przekonani, że ktoś chce odbić przestępcę, wezwali posiłki, a poseł Kurski został zatrzymany na blokadzie drogowej, gdzie zresztą machnął tylko legitymacją poselską i pojechał dalej. Kurskiemu zdarzało się jeździć o 80 km/godz. za szybko w terenie zabudowanym, co kilka miesięcy tabloidy pokazyują zdjęcie bmw obecnego prezesa zaparkowane w niedozwolonym miejscu, przekraczające podwójną ciągłą czy wyprzedzające inne auta z naruszeniem przepisów drogowych. Jak przyznał się sam Kurski, za punkty karne stracił kiedyś prawo jazdy, a ponowny egzamin przy pierwszym podejściu oblał.

► jednogłośnie. Nie było to wielkim problemem, bo w międzyczasie Kurski wygrał już sobie miejsce w PiS.

Często mówi się o nim: spin doktor. Sam Kurski uważa to określenie za „degradowane dla człowieka o jego horyzontach i ambicjach”. Rzadko jednak gra pierwsze skrzypce – zwykle stoi za plecami lidera. Tylko że wszystkich swoich wodzów wielokrotnie, często w najtrudniejszych dla nich momentach, zdradzał i opluwał.

O Jarosławie Kaczyńskim w 2014 r.: „Wydaje mi się, że Jarosław Kaczyński jest uzależniony od Antoniego Macierewicza. Jako najbardziej radykalny, stawiający najdalej idące tezy, sam Macierewicz w to nie wierzy. Najpierw mówi, że wybuch był u góry, a potem twierdzi, że jeszcze trzy osoby przeżyły i je dobijano. To jest tworzenie jakiegoś uzależnienia, kościoła smołęńskiego, w którym on jest szafarzem relikwii, kolejnych chorych teorii”.

O Antonim Macierewiczu w 2013 r.: „Mało kto wie, że Macierewicz to były wicemistrz Polski w skokach do wody. Tyle że wtedy jeszcze sprawdzał, czy woda w basenie jest”.

O Zbigniewie Ziobrze w 2014 r.: „Dzisiaj przeżywa dramat, bo delfin okazał się leszczem, jeśli nie leszczym, który pozbawiony jest wizji,



Jak długo jeszcze Jacek Kurski będzie potrzebny Jarosławowi Kaczyńskiemu?

W 2006 r. podczas programu „Teraz my!” zarzucił Donaldowi Tuskowi, że kampanię wyborczą w 2005 r. finansował nielegalnie ze środków wprowadzonych z PZU – to również nie było prawdą, przegrał sprawę w sądzie. O zniesławienie pozwał go także Paweł Orłowski, wiceprezydent Sopotu – Kurski twierdził, że odmawia on współpracy z CBA przy okazji śledztwa w sopockim ratuszu,

doskonale kreować wizerunek swój i przeciwników politycznych, a jeśli jego opinie nie zgadzają się z faktami – tym gorzej dla faktów. Ostro obrywało się m.in. jego poprzednikom. Janusza Dąbrowskiego oskarżał o fałszowanie budżetu telewizji, co okazało się nieprawdą. Z drugiej strony prezes przypisuje sobie wiele nieswoich zasług, jak choćby wykupienie transmisji meczów reprezentacji narodowej

Jan Kozłowski, były marszałek województwa pomorskiego: On jest człowiekiem inteligentnym i zdolnym, ale też bezwzględny i cyniczny. Dla mnie to najemnik polityczny.

pomysłu, wyposażony w charyzmę trzęsącej się galarety. I na dodatek co chwilę trzeba mu zmieniać pieluchę”.

Wszystkie kłamstwa i kłamstewka

Słynny „dziadek z Wehrmachu” to niejedyna wypowiedź, w której Jacek Kurski – delikatnie rzecz ujmując – miał się z prawdą. Jedną z gorętszych scen polskiego parlamentaryzmu było wystąpienie Romana Giertycha w 2007 r., kiedy lider Ligi Polskich Rodzin wykazał, że we wszystkich działaniach rządu PiS-LPR-Samoobrona, które Kurski przypisał PiS, obecny prezes TVP głosował przeciw albo był nieobecny. Cały Sejm skandował wtedy: „Kłamca, kłamca!”, a Liga wykorzystwała materiał w swoim spocie – Kurski pozwał ją w trybie wyborczym i przegrał; nie udało mu się udowodnić, że kłamcą nie jest.

ponieważ ma coś do ukrycia. „Jak ja mówię prawdę, którą trudno wszakże za każdym razem udowodnić, jestem skazywany. Jak o mnie kłamią i mnie spotwarzają, to się takich ludzi często uniewinnia, bo owszem – kłamali, ale przecież polityk musi mieć grubą skórę. Przegrałem nie dlatego, że mówiłem nieprawdę, ale dlatego, że taka, a nie inna jest kondycja polskiej demokracji, gdzie sądy bywają stroną w grze politycznej”, tłumaczył przyczyny przegranych spraw.

Co ciekawe, 12 lat temu w wywiadzie przeprowadzonym przez Piotra Najsztuba, pytany o to, czy marzy o byciu prezesem telewizji, odpowiedział tak: „Ja jestem politykiem. Dosić czynnym, twardym, nawet frontowym. Na IX piętrze nie powinien być polityk”. Jak widać, czasy się zmieniają, ale Jacek Kurski – niekoniecznie. Od czasu objęcia funkcji prezesa TVP wielokrotnie pokazał, że potrafi

w piłce nożnej. „W telewizji trzeba mieć intuicję i determinację. (...) Mieliśmy nosa, żeby walczyć o piłkę reprezentacji narodowej w TVP, i mieliśmy tyle determinacji, żeby doprowadzić ten przetarg, który dzisiaj wchodzi w życie, do końca – puszył się Kurski. – Piłka nożna jest współczesnym wyznacznikiem nowoczesnego patriotyzmu, a telewizja publiczna powinna jednoznacznie emocje Polaków wokół reprezentacji”. W rzeczywistości prawa do wyłącznej transmisji już w 2013 r. wykupił poprzedni zarząd telewizji, żadnej zasługi Kurskiego w tym nie było.

W 2017 r. podczas tzw. kryzysu sejmowego po głosowaniu nad ustawą budżetową, kiedy Beata Szydło wygłaszała swoje orędzie, nastąpiły niewielkie trudności w przekazie telewizji naziemnej. „Sprawa wydaje się dziwna i niezrozumiała, poinformowaliśmy o tym Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego”, mówił

wówczas prezes, który doskonale wiedział, że do awarii doszło w budynku na Woronicza i że miała ona charakter techniczny.

„Po raz pierwszy od kilkunastu lat TVP 1 i TVP 2 i cała grupa TVP poszła do góry pod względem oglądalności”, zachwalał także Jacek Kurski. Z tą tezę rozprawił się portal Oko.press, podając dane z KRRiTV z ostatnich 18 lat, według których oglądalność mediów publicznych, także za kadencji Kurskiego, mimo niewielkich wahań cały czas spada. „Ponieważ prezes Jacek Kurski po raz kolejny mija się z prawdą, po raz kolejny zmuszony jestem oświadczyć, że informacja ta jest nieprawdziwa”, stwierdził Juliusz Braun, prezes telewizji publicznej w latach 2011-2015. Podobnie ma się rzecz z oglądalnością „Wiadomości”. „Wiadomości” są (...) serwisem, który rzetelnie informuje o ważnych sprawach dla Polaków, wyświetla patologie w wielu obszarach życia publicznego, ciesząc się dużą wiarygodnością społeczną, o czym świadczy ciągle rosnąca, wielomilionowa widownia”, mówił Kurski w 2016 r., kiedy oglądalność programu spadła już o 500 tys. widzów. Obecnie „Wiadomości” ogląda zaledwie 2,4 mln osób, o ponad 1 mln mniej niż przed „dobrą zmianą”.

Wszystkie „Wiadomości” Kurskiego

Przed wszystkim jednak „polityczny gangster”, jak nazywają Kurskiego byli koledzy partyjni, wprowadził uznawane przez siebie metody walki politycznej do wszystkich programów informacyjnych i publicystycznych telewizji. Zaczął od masowych zwolnień – wiadomo o co najmniej 113, prawdopodobnie nie wszystkie zostały odnotowane.

Na pierwszej linii „dobrej zmiany” w TVP są „Wiadomości”. Krzysztof Leski, który ogląda je z dużym samozaparciem, pisze tak: „Paradoksalnie obecne »Wiadomości« są znacznie bardziej agresywne wobec opozycji, niż był »Dziennik Telewizyjny« wobec podziemnej Solidarności. (...) W PRL główny nurt propagandy opierał się na przemilczaniu wszelkich protestów, a dopiero gdy już się nie dawało – opozycję hejtowano, tak jak to robią dzisiaj »Wiadomości«. Materiały poświęcone opozycji były dość rzadkie, agresywne, ale także w znacz-

nym stopniu kpiące. Odnoszę jednak wrażenie, że »Dziennik Telewizyjny« był wobec podziemia solidarnościowego mniej pogardliwy niż obecne »Wiadomości« wobec opozycji”. Tylko w zeszłym roku, tylko w głównym wydaniu „Wiadomości” TVP, było co najmniej 100 materiałów o Adamowiczu „kryminaliście, oszuście, łapówkarzu”, bez oddania głosu oskarżanemu – zauważył dziennikarz na swoim Twitterze.

Nie sposób wyliczyć wszystkich manipulacji i przekłamań – to choćby ocenianie wypowiedzi Baracka Obamy, z której zniknęły słowa o „zaniepokojeniu sytuacją wokół Trybunału Konstytucyjnego”. Od przemilczeń „Wiadomości” też nie stronią – np. kiedy Agnieszka Holland została nagrodzona Srebrnym Niedźwiedziem za film „Pokot”, który władzy się nie podobał. Podobna cisza towarzyszy rekordowym zbiórkom na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

W ślad za „Wiadomościami” idą audycje publicystyczne. W „Kwadranse politycznym” Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, został nazwany na antenie „rzecznikiem esbeków i handlarzy roszczeń”. Z kolei prowadzone m.in. przez Magdalенę Ogórek „Studio Polska” zastępowało publikacji w trakcie programu antysemickich wpisów („Wreszcie Izrael i całe lobby żydowskie pokazuje swoją prawdziwą twarz”, „Naród polski rozczula się nad żydami, a żydzi kumają się z Niemcami!” itd.).

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych programów jest „Minęła 20” prowadzony przez Michała Rachonia. Pokazywane tam materiały, zwłaszcza te o zabarwieniu rasistowskim, wielokrotnie budziły oburzenie widzów. To u Rachonia pokazano materiał, który atakował Pawła Adamowicza za to, że powołał w mieście Radę ds. Migracji. Zilustrowano go zdjęciami zamieszek z udziałem czarnoskórych



Manifestacja przed siedzibą TVP po śmierci prezydenta Pawła Adamowicza, 21 stycznia 2019 r.

Głośne za to były materiały o lekarzach rezydentach, którzy podjęli strajk, domagając się podwyżek i zmian w służbie zdrowia. Ludzie Kurskiego przeszperali profile liderów protestu w mediach społecznościowych. Katarzynę Pikulską pokazano jako osobę, która „odwiedza egzotyczne zakątki świata” – ilustrację stanowiło zdjęcie lekarki z misji humanitarnej w irackim Kurdystanie. Pokazano też luksusowe auto – wypożyczone dwa lata temu podczas urlopu. U innego strajkującego rezydenta znaleziono zdjęcie kanapek, rzekomo z kawiozem, który okazał się pastą z oliwek.

mężczyzn (nie wiadomo, gdzie do nich doszło), pobicia i nielegalnego przekraczania granic. Podpis głosił: „Prezydent Gdańska zaprasza imigrantów do swojego miasta. Twierdzi, że w ten sposób ratuje honor Polski w oczach Europy i świata”. To nagranie wywołało falę skarg do KRRiTV, oburzył się również gdański ratusz. „Ten spisek to skandal – mówił wówczas rzecznik Adamowicza, Antoni Pawlak. – Sianie nienawiści, podbijanie ksenofobicznych nastrojów jest sprzeczne z misją telewizji chcącej uchodzić za publiczną. (...) Nie opuścimy tej sprawy. Wykorzystamy wszystkie dostępne kroki prawne ▶

► z procesem sądowym włącznie”. Materiał okazał się na tyle kontrowersyjny, że osoba odpowiedzialna za jego przygotowanie straciła pracę. Kurski, jak widać, został.

Pracę w TVP odzyskała też za Kurskiego Anita Gargars, autorka filmu „Anatomia upadku” forsującego tezę o zamachu smoleńskim. Za „dobrej zmiany” wróciła na antenę TVP po sześciu latach przerwy z autorskim programem śledczym, w którym „śledzono” wyłącznie opozycję. Dostało się m.in. Adamowiczowi. „Prawie dwie dekady władania Gdańskiem pod parasolem Platformy dały prezydentowi tego miasta Pawłowi Adamowiczowi poczucie niespotykanej bezkarności” – to zapowiedź jednego z programów.

Cena Kurskiego

Problem stanowią pieniądze. Mimo usilnych starań żadnemu medium nie udało się ustalić, ile kosztował zeszłoroczny sylwester w Zakopanem, podczas którego mogliśmy posłuchać „Despacito”, Zenka Martyniuka i Sławomira, TVP odmawia oficjalne-

go podania tych danych. Według publikacji „Gazety Wyborczej” mogło to być nawet 10 mln zł, sam Sławomir miał wziąć za występ 124 tys. zł. Szokujące są także nagrody dla ulubieńców Kurskiego – za 2016 r. kilkadziesiąt tysięcy złotych otrzymała Joanna Klimek, wówczas narzeczona, a obecnie żona prezesa TVP. 40 tys. zł dostał gospodarz programu „Studio Polska” Jacek Łęski, prowadzący „Wiadomości” Michał Adamczyk – 20 tys., a Marcin Tulicki, również dziennikarz serwisu – 15 tys. Pozostali – 19 osób, m.in. Jarosław Olechowski, Klaudiusz Pobudzin, Bartłomiej Graczak czy Jan Korab – przeważnie otrzymywali po 5 lub 10 tys. zł. W sumie na premie w TVP wydaje się ok. 2 mln zł rocznie. Tymczasem w samym 2018 r. TVP otrzymała z budżetu państwa ponad 1,6 mld zł na pokrycie bieżących kosztów działalności i żyje na kredyt. Spadająca oglądalność pokazuje, że „ciemny lud” mimo wszystko telewizji Kurskiego nie kupuje.

Sam Kurski na dotychczasowej karierze polityczno-medialnej całkiem nieźle się dorobił. Według oświadczenia majątkowego na ko-

niec kadencji w europarlamencie w 2014 r., gdzie zarabiał 30 tys. zł miesięcznie (nie licząc środków na prowadzenie biur), był posiadaczem dwóch mieszkań wartych łącznie 620 tys. zł, dwóch domów z działkami wartych w sumie ponad 1 mln zł i trzech samochodów – dwóch mercedesów i terenowego bmw. Z pewnością nieco zubożyły go rozwód (jak na Polaka katolika przystało, Kurski ożenił się niedawno po raz drugi) oraz nieudana kampania do Parlamentu Europejskiego w 2015 r., kiedy twarz polityka mogliśmy zobaczyć na wielu budynkach w Warszawie. Według „Newsweeka”, Kurski miał wydać na nią 450 tys. zł, 20% wszystkich środków Solidarnej Polski, w tym na same reklamy w TVN 24 tys. zł. Były to pieniądze wyrzucone w błoto – w Warszawie zdobył niewiele ponad 1% głosów. Z pewnością jednak odbił to sobie w TVP – od 2016 r. jako prezes zarobił już prawie 1 mln zł i na pewno niechętnie rozstanie się z tą posadą. Czy kolejny raz uda się „bulterierowi” spaść na cztery łapy?

Justyna Samolińska

Stop dla kradzieży treści przez internetowych gigantów

Google wykorzystuje polskich twórców i poprzez platformę YouTube zarabia krocie kosztem kultury. Czas to zmienić!

Wbrew propagandzie Google'a w interesie Polski, polskiej kultury, artystów, dziennikarzy i Twoim – Użytkownikowi jest uchwalenie dyrektywy Parlamentu Europejskiego o prawie autorskim. Dyrektywa wzmocni szanse dziennikarzy – twórców materiałów prasowych – na uzyskanie uczciwej rekompensaty za treści wykorzystywane bezprawnie w internecie.

Czego nie mówi Google?

1. Pomiń artystę

Nie mówi, że pomija wynagrodzenie artystów. Zasłania się przy tym argumentacją o rzekomym braku przychodów z tytułu publikowanych treści i „przypadkowości” zamieszczanych reklam.

2. Gigantyczne środki na reklamę

Nie mówi, że pracuje dla niego sztab PR-owców, marketingowców i lobbystów. Google nie chce płacić więcej, chce więcej zarabiać – kosztem Twoim, naszym i naszych twórców.

3. Google = YouTube

Wujek Google jest właścicielem platformy YouTube, która zarabia miliardy kosztem twórców na całym świecie. YouTube w samym tylko 2018 r. zarobił na reklamach 800 mld dol., przekazując twórcom zaledwie (!) 1,33% swoich przychodów reklamowych.

Po wprowadzeniu dyrektywy **nic nie zniknie z sieci**, a Ty będziesz miał dostęp do rzetelnych informacji. Dyrektywa **nie ograniczy** dostępu do treści, **nie ograniczy** wolności i swobody wypowiedzi ani **nie spowoduje** zamykania stron internetowych.



Nie dajmy się otumanić rekinom internetu!

Justyna Samolińska

Owsiak wraca, hejt ma się dobrze

Odrażający typ znów przy korycie – tak prawicowe media komentują decyzję szefa WOŚP

W zeszłym tygodniu napisaliśmy o odejściu Jerzego Owsiaka ze stanowiska prezesa Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pod wpływem wydarzeń z Gdańska, gdzie podczas koncertu WOŚP zamordowany został Paweł Adamowicz. Decyzję tę tłumaczył z jednej strony poczuciem odpowiedzialności za tragedię, a z drugiej ogromną falą hejtu pod swoim adresem, wieloletnimi insynuacjami i obelgami, powszechną i bezkarną nienawiścią, która jego zdaniem doprowadziła ostatecznie do śmierci prezydenta Gdańska. Zanim tamten numer PRZEGŁĄDU trafił do kiosków, Owsiak zdecydował się wrócić na stanowisko po tysiącach apeli ze strony wolontariuszy, ludzi kultury i osób związanych z działalnością charytatywną (m.in. Anny Dymnej, s. Małgorzaty Chmielewskiej, Janiny Ochojskiej), a także tych, którzy żyją dzięki sprzętowi od fundacji. – Wracam do roboty, bierzemy się za robotę, cztery razy mocniej, dziesięć razy mocniej. Tak, będę prezesem fundacji.

Zmiana decyzji wzbudziła entuzjazm, ale też falę krytyki – pojawiły się głosy, że cała sytuacja była teatrem, chwytem marketingowym. Portal wPolityce.pl cytuje opinie „internautów” (oczywiście nie zauwa-



Stanisława Michalkiewicza (tego samego, który porównywał Owsiaka do Stalina i do organizacji hitlerowskich), który „przewidział” powrót prezesa WOŚP. „Gada jak guru sekty. Ofiara z człowieka złożona, wracamy do roboty” – to z kolei komentarz na portalu „DoRzeczy”. W krzyżówce „Gazety Polskiej” pojawiło się hasło:

Internetowa telewizja wRealu24 Marcina Roli sugeruje, że Owsiak zyskał na śmierci prezydenta Adamowicza.

żając popularności hashtagu #murzemaOwsiakiem, demonstracji, petycji i apeli do Owsiaka o pozostanie na stanowisku). „Ten odrażający typ nie odpuści nawet zmarłemu!”, napisał Pan A.D. na Twitterze, dodając do posta ikonkę przedstawiającą wymioty. Zdaniem owego Pana A.D. wywiad z Magdaleną Adamowicz w „Wyborczej” pisany był na zamówienie, w dodatku przez grafomanę. Wyjątkowo neutralnie o sprawie napisano na portalu TVP Info, ale już internauci w komentarzach nie zawiedli. „Koryto ważniejsze od honoru” – to przewijało się najczęściej. „Owsiak strzelił focha, ale już wraca”, zatytułował artykuł „Najwyższy Czas!”. Tygodnik ten cytuje

„Pasożyt ludzki, co po dodaniu jednej samogłoski staje się nudziarzem w czerwonych okularach”.

Na portalu Niezależna.pl możemy przeczytać, że słowa „pozdrawiam Krystynę” wypowiedziane przez Jerzego Owsiaka na jednej z konferencji prasowych to prowokacja. Internauci są mniej oględni. „Dla naiwnych była ta narracja z rezygnacją z prezesowania WOŚP. Kto rezygnuje z zabawki, która jest »trampoliną« w przestrzeni społecznej i w sferę dostatku »konfitur«? Tę manipulację – niestety – przejął w genach od Tatuńcia”, pisze anonimowo kok. blondi, nawiązując do pracy ojca Owsiaka w milicji. „Owsiak to prostak, który zdemoralizował pokole-

nia młodych ludzi, sieje nienawiść a swoim zachowaniem przyzwala swojej »sekcji« lżyć i poniżać” – to już wpis całkowicie anonimowy. „Mam Cię za nic ... Owsiaku ... jesteś dnem”, „Zwykły cul w czerwonych galotkach”, „Ten naczelny hohsztapler żebrze i tak na koszt podatnika” (pisownia oryginalna), „Plastus stworzony przez niemieckie media”, „Udał się Kiszczakowi ten gnom” – wpisów na portalu jest kilkaset, wszystkie podobnej treści.

Owsiakiem zajęła się też internetowa telewizja wRealu24, prowadzona przez Marcina Rolę, a nadająca z budynku PAST-y w Warszawie, symbolu walki powstańczej. Zaproszony do niej Grzegorz Braun twierdził, że źródłem (a raczej, jak sam powiedział, studzienką ściękową) tego „wielkiego projektu propagandowego” są generałowie bezpieczeństwa z lat 80., którzy szukali sposobu na zatrzymanie antykomunistycznych postaw wśród młodzieży po stanie wojennym. Balli Marzec, kazachska „opozycyjna działaczka społeczna” i ulubienica prawicowych mediów, uważa zaś, że Owsiak jest jedną z osób, które zyskały na śmierci Adamowicza – w programie kilkakrotnie pojawiają się sugestie, że należy się zastanowić nad tym, kto na zamachu zyskał, żeby odkryć, kto za nim stoi, bo historia jest „podejrzana”. ■

DasCoin działa nadal

W artykule „Polak – bardzo nieufny i równie łatwowierny” (PRZEGŁĄD, nr 2/2019) napisaliśmy, że uznawana za piramidę finansową firma DasCoin miała upaść. Dostajemy jednak informacje, że firma działa nadal, mimo postępowania wszczętego przez prokuraturę na wniosek Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów oraz interwencji CBŚ.

Jest inna droga niż tylko Platforma i PiS

Niech Morawiecki, Kopacz, Szydło zmierzają się z Biedroniem na spotkaniach w terenie! Przy jednym ustaleniu: że nie zwozimy ludzi autobusami, przychodzą miejscowi

Rozmawia Robert Walenciak

Ciężko rozmawiać po takiej tragedii, jaką była śmierć prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

– Każda śmierć jest dramatem, ale ta przerwała radosne życie tak niespodziewanie i brutalnie, że tży same cisną się do oczu. Rodzina pana prezydenta przeżywa dziś straszny czas i składałam im najgłębsze wyrazy współczucia z powodu tej tragedii.

Ta śmierć, szok w społeczeństwie spolaryzowały nastroje. Jest się albo za PiS, albo za PO. Gdzie tu miejsce dla ruchu Biedronia?

– Po tych tragicznych wydarzeniach miałem okazję być m.in. na spotkaniach w Toruniu, Opolu, Chrzanowie czy Zielonej Górze

KRZYSZTOF GAWKOWSKI

– szef struktur ruchu Roberta Biedronia

i słyszałem zupełnie inną opowieść. Ludzie mają dość wojny polsko-polskiej. Dość języka nienawiści, który fundują im od kilkunastu lat PiS i PO. Chcą odnowy życia publicznego, otwartości i szczerości, w końcu wierzą, że to właśnie Biedroń może zmienić oblicze polskiej polityki. Czuć, że wieje wiatr zmian, pozytywnych zmian.

W czym Robert Biedroń jest lepszy od SLD?

– W Sojuszu mam wielu przyjaciół, bardzo ich szanuję i pozostało mi dużo ciepłych wspomnień. Jednak to w polityce uprawianej przez Biedronia widzę szansę na zmianę obowiązujących od lat dogmatów polskiej polityki. Robert to polityk, który czuje potrzebę przeciwstawienia się duopolowi PiS i Platformy i nie pójdzie w tej sprawie na żaden zgniły kompromis.

SLD ma sufit?

– Nie wiem, czy ma sufit, ale gdyby wszystko było dobrze, to SLD przez ostatnie 16 lat byłby w stanie odbudować poparcie na poziomie kilkudziesięciu procent, a nie tylko starać się przekroczyć próg wyborczy. Sam przecież o to walczyłem, próbowałem zmieniać Sojusz, ale i popełniałem błędy. Żegnając się z SLD, podziękowałem za współpracę i przeprosiłem tych, którzy uważają, że mogłem zrobić coś lepiej. Myślę, że SLD znajdzie się w parlamencie, i razem z Robertem Biedroniem temu kibicujemy.

Siedzieliśmy w jednej ławce

Znacie się z Biedroniem dobrze.

– Znamy się od bardzo dawna. Cała moja obecność w SLD to był czas z Robertem.

Ta znajomość zaczęła się w młodości SLD?

– Nić porozumienia łączyła nas nie tylko w świecie polityki, ale i w edukacji. Siedzieliśmy w jednej ławce na studiach doktoranckich. Mamy wspólne wspomnienia, które dotyczą nie tylko polityki. W tym czasie przegadaliśmy wiele godzin. Łączyła nas podobna przeszłość. To, z jakich środowisk pochodziliśmy, jak potraktowała nas reforma Balcerowicza. W polityce ważne jest też zaufanie. A my je poprzez wiele lat znajomości zbudowaliśmy.

Pierwszy raz spotkaliście się...

– ...na jednym z protestów społecznych. W obronie niesłusznie zamkniętego klubu.

Le Madame.

– Broniliśmy klubu, uczestnicząc w strajku okupacyjnym do rana. Wiele rozmawiając. Mamy podobne życiorysy. Odnoszę wrażenie, że w Polsce ci, którym udało się przejść transformację suchą stopą, są dziś albo w Platformie, albo w PiS. A ci, którzy rzeczywiście chcą zmieniać Polskę, a nie tylko udają, że chcą zmieniać – są na centrolewicy.

Gdy siedzieliście razem podczas protestu, to rozmawialiście o Polsce, o swoich doświadczeniach z tamtego okresu? Mówiliście, że Balcerowicz musi odejść?

– Nie musiałem o tym rozmawiać, ja to wynosiłem z własnych doświadczeń. Balcerowicz kojarzył mi się z tym, że mojej rodzinie gorzej się żyło.

Nie jeździłem do księgarni

A miało być lepiej.

– W roku 1989 miałem dziewięć lat. Dla takiego chłopca do roku 1989 życie było w miarę normalne. I nagle wszystko zaczęło się walić. Dlaczego? Ja tego nie rozumiałem. Pierwszy raz o Balcerowiczu usłyszałem, gdy rodzice narzekali, że jest strasznie. A zrozumiałem, co to znaczy, gdy trzeba było coś kupić, a mama powiedziała: ale ja nie mam pieniędzy.

W roku 1995 rozpoczynałem naukę w technikum. Ale żebym tam poszedł, do Warszawy, do szkoły, wcześniej musieliśmy w rodzinie przeprowadzić dyskusję, czy będzie nas stać na moje codzienne dojazdy. Bo bilety były dla nas drogie. Mo-

głem jeździć do Warszawy dlatego, że mój bilet miesięczny sponsorował dziadek. Miałem szczęście – miałem dziadka, którego było stać na kupienie mi biletu miesięcznego!

Podobnie było w rodzinie Roberta Biedronia. On nie miał pieniędzy na studniówkę.

– Jego droga jest podobna do mojej. To droga, którą przeszły miliony Polek i Polaków i po prostu wstydzą się dziś o tym mówić. Oni nie wyrosli w świecie, w którym stać ich było chociażby na książki. Bo ja, jeśli chciałem mieć książki, to nie jeździłem do księgarni.

A gdzie?

– Było takie miejsce w Warszawie, plac Dąbrowskiego, gdzie sprzedawano książki używane. Nie kupowałem nowych w księgarni, tylko na stoisku. To są moje doświadczenia. A każdego dnia rano, przed technikum, jeździłem na Stadion Dzieściolecia, gdzie rozpakowywałem paczki z towarami. Ale poza tym było wspaniale, bo poznałem ludzi z mojego pokolenia. Podobnych do mnie. Którzy chcieli coś zrobić w swoim życiu i którzy sami nie mieli łatwo. Tamte czasy mnie ukształtowały.

To jest pański punkt odniesienia.

– Dlatego wiem, że Polska nie jest krajem wyrównanych szans.

Ci, którzy rzeczywiście chcą zmieniać Polskę, a nie tylko udają, że chcą – są na centrolewicy.

Płaca minimalna, dzisiaj na poziomie 2,2 tys. zł, nie daje możliwości normalnego życia. Zresztą w Polsce jest tak, że jeżeli mamy koniunkturę, która trwa dwa, trzy, pięć lat, to wszyscy są szczęśliwi, a jak mamy kryzys, to miliony znów zostają wypchnięte na umowy śmieciowe. Decyzje Donalda Tuska z lat 2007-2008 to pokazują. Że jeżeli trzeba było w Polsce oszczędzać, to oszczędzaliśmy nie na najbogatszych, tylko na najbiedniejszych. A to był czas, kiedy wchodziłem na rynek pracy. I pamiętam, co mi mówiono: jest kryzys i nie będziesz więcej zarabiał! W Polsce szacunek mieli ci, którym się udało. Mówiono: jesteście superfajni! Tym, którym się nie udało, nie mówiono, dlaczego im się nie udało, tylko etykietowano: jesteś nieudacznikiem! Nikt z moich koleżanek i kolegów nie chciał być nieudacznikiem, a właśnie

do tej kategorii decyzje polityków nas spychały.

Czućcie więc pokoleniową?

– W poszukiwaniu odpowiedzi, jakiej chcę Polski, sięgam do moich doświadczeń z przeszłości. Wiem doskonale, że aby pomóc Polakom, którzy mają dzisiaj gorzej, nie wystarczy powiedzieć: musicie sobie jakoś poradzić. Gdy widziałem prezydenta Komorowskiego, który mówił: weźcie kredyt, to nóż mi się w kieszeni otwierał. I chciałem wołać: to idź, człowieku, do banku i weź ten kredyt! Zaraz usłyszysz, że cię na niego nie stać, że nie masz tzw. zdolności kredytowej. I nie mówię o kredycie na mieszkanie, bo większości z nas nie stać na kartę kredytową. I pomysłmy, dlaczego firmy, które udzielają chwilowych pożyczek, prosperują w Polsce tak dobrze.

Przychodzą i bardzo chcą gadać

Jacy ludzie przychodzą na spotkania z Robertem Biedroniem? Do tej pory wojna PiS z PO spychała miliony Polaków na bok. To tacy?

– Wojna PiS z PO ich męczy. Wielu z tych ludzi mówi nam otwarcie: głosowałem na PO! Niektórzy głosowali nawet na PiS... Ale męczą się tą wojną i tymi partiami.

W jakim wieku są ci ludzie?

– Są różni. Młode pokolenie i najstarsze, ci z wyższym wykształceniem i z podstawowym. To są ludzie, którzy przychodzą nie tylko, żeby usłyszeć, co było w przeszłości. Oni przede wszystkim chcą usłyszeć, co mówimy o przyszłości, jaką Polskę chcemy mieć w roku 2020, a także w 2025. Co zrobić, żeby Polska miała silniejszą pozycję w Unii Europejskiej? Co zrobić, żeby płaca minimalna była wyższa, żeby ludzie więcej zarabiali? Żeby leki były cenowo dostępne, żeby ludzie mogli dostać się do lekarza? Padają pytania, jak zmodernizować drogi w małych miastach, bo do niektórych nawet nie sposób dojechać. Co zrobić, żeby w mniejszych miejscowościach na nowo otworzyć posterunki policji? Jak nie dopuścić do wykluczenia, bo właśnie zamykają szkołę czy przedszkole? Po tych spotkaniach ▶

► jestem bardzo zbudowany. Przez lata tkwiło we mnie przekonanie, że Polacy nie chcą rozmawiać o polityce. Ale okazuje się, że chcą. Pod jednym warunkiem – żeby była to rozmowa na poważnie.

I chcą gadać?

– Bardzo chcą. Także dlatego, że te spotkania nie mają charakteru wykładu. To ma być akt uczestniczący. Każdy ma prawo się wypowiedzieć, każdy ma prawo napisać kartkę z propozycją programową. Więcej – każdy postulat zostanie przedstawiony na Torwarze, na konwencji programowej Roberta Biedronia 3 lutego. I to jest piękne!

Na spotkania z Biedroniem przychodzą tylko jego zwolennicy?

Przeciwników nie ma?

– W Łomży przyszło trzech mężczyzn, którzy powiedzieli, że głosowali na PiS, i próbowali rozbijać spotkanie. Ale tylko w pierwszej części, a po spotkaniu, jak wychodzili, to mówili: no, ten Biedroń nie jest zły... W Wałbrzychu, gdzie sala mieściła 500 osób, przyszło prawie 600. Nie było miejsc siedzących, ludzie stali pod ścianami, w przejściach...

Biedroń może zmienić oblicze polskiej polityki.

Kiedy spotkanie się skończyło, poszedł do mnie mężczyzna, starszy, doświadczony, i zaczął mówić, że on ma 88 lat, że nie był na wyborach od ośmiu, ale teraz pójdzie, bo on chce głosować na Biedronia. W Tarnowskich Górach przyszło kilkaset osób. Po zakończeniu podeszła kobieta i mówiła, że tylu ludzi tu nie było od czasów kampanii prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego, od 2000 r. Przed spotkaniem w Warszawie, ogłaszanym tylko w internecie, w ciągu dwóch dni zapisało się 1,5 tys. osób i wyczerpała się pula miejsc. Przyszło tak dużo ludzi, że trzeba było wynająć kolejną salę, obok, żeby wszystkich zmieścić. Niech więc oni wszyscy, Morawiecki, Kopacz, Szydło, zmierzają z Biedroniem na spotkania w terenie! Przy jednym ustaleniu – nie zwozimy ludzi autobusami, przychodzą tylko miejscowi.

Nie chcemy 100 tys. członków

Myśli pan, że na te spotkania przychodzą zwolennicy Biedronia?

Może raczej ludzie, którzy chcą zobaczyć celebrytę?

– To są ludzie, którzy chcą uczestniczyć w polityce na serio. Przychodzą i mówią, że wierzą, że on ich nie zawiedzie. Mówią o programie, ale mówią i tak: nie godzimy się na to, żebyście szli w koalicji ze zjednoczoną opozycją, macie startować w wyborach sami. My nie chcemy, żeby Grzegorz Schetyna, polityk z największym procentem nieufności społecznej, był liderem opozycji. My chcemy polityka, któremu uwierzyliśmy i który nas nie oszuka.

Co Biedronia napędza?

– On ma charyzmę, która go pcha jak silnik napędzany energią ze źródeł odnawialnych. On nam pokazuje, że w polityce nie trzeba mówić językiem, który ma się podobać. Trzeba mówić swoim językiem. Na przykład zapowiedział, że zamknie kopalnie do roku 2035. Powiedział: możemy to zrobić, 63 tys. górników pracujących pod ziemią może lepiej zarabiać, bo stworzymy im miejsca pracy w sektorze odnawialnych źródeł energii, będą mogli zarabiać więcej niż pod ziemią. Która partia dzisiaj jest w stanie powiedzieć:

najbliższe 16-17 lat poświęcimy, by zrestrukturizować polskie górnictwo? Biedroń w swoim programie będzie miał rzeczy, których żadna partia polityczna w Polsce nigdy nie miała. To będą także rozwiązania pomagające angażować społeczeństwo w wybory. A z drugiej strony – która partia jest w stanie dzisiaj powiedzieć, że chciałaby, żeby płaca minimalna w Polsce sięgała 3 tys. zł? To nie jest populizm. Mamy wszystko policzone.

Co się zdarzy 3 lutego na warszawskim Torwarze?

– Ludzie zobaczą, że jest inna droga niż tylko Platforma i PiS. Po konwencji zawiążemy partię polityczną. Nową, aktywną, ciepłą, nikogo niewykluczającą. Ale też mówimy jasno: nie ma miejsca dla ludzi, którzy przychodzą robić karierę, nie ma miejsca dla ludzi, którzy chcą zarabiać na polityce pieniądze. Będzie to partia kadrowa. Nie chcemy 100 tys. członków. Nie chcemy takiej sytuacji, że ludzie będą myśleć: tu można przyjść, dadzą stanowisko i będzie można się nachać. Interesują nas ci zaangażowani,



aktywni i mający przeświadczenie, że trzeba zmienić Polskę. W ten sposób rozpocznie się droga Roberta Biedronia, której pierwszym etapem będą wybory do europarlamentu, a kolejnym krokiem wybory parlamentarne.

Mamy struktury

Dacie radę? W tej sytuacji...

– Wszyscy będą nas atakować. Wiem. Trudno! Atakują nas od początku. Że nie mamy szans. Że nie zbudujemy struktur. Że nie jesteśmy w stanie zbudować partii w każdym okręgu wyborczym.

Tak mówiono w listopadzie. A teraz słyszałem, że obiecał pan całą Polskę i zbudować struktury. To prawda?

– Ruch Roberta działał dobrze już przed moim przyjściem, a ja dołożyłem tylko kolejną cegietkę. Dziś mamy struktury we wszystkich 41 okręgach wyborczych, a w przeddzień konwencji ruch ma umocowanie prawie w każdym powiecie. Ilu partyjnych liderów w Polsce może zadzwonić do każdego powiatu i powiedzieć: pomóż, a w odpowiedzi usłyszeć: jestem, czego potrzebą? My to zrobiliśmy w ciągu dwóch miesięcy. Mamy pasję. Biedroń potrafi pracować siedem dni w tygodniu, po kilkanaście godzin, nie męcząc go wyjazdy w Polskę, a napędza poparcie społeczne.



Burza mózgów – spotkanie Roberta Biedronia z mieszkańcami stolicy, 29 listopada 2018 r.

– na tych, którzy znaleźli się na górze i nazwali elitą, i tych, którzy za to wszystko zapłacili.

Spotykamy się w restauracjach, w klubach

Co najbardziej nakręca ludzi tworzących ruch Biedronia?

To, że mogą być w parlamencie?

– Nie. Najbardziej nakręca ich to, że mogą zmienić Polskę. Warto się przyjrzeć, jak pracują, jak dyskutują. Dominuje myślenie: w czym mogę pomóc, jak zorganizować kolejne spotkanie, jak dopisać do programu kolejną rzecz, która będzie się cieszyła popularnością, jak zmienić Polskę, jak pomóc ludziom, którzy są dziś wykluczeni, jak zorganizować jakąś akcję społeczną? Oni łączą się w grupy i widzą, że czerpią przyjemność ze spotykania się. Jeżdżą na spotkania. Nie mamy biur, ale to żadna przeszkoda! Spotykamy się w restauracjach, w klubach, w jakichś kafejkach.

Po parafiach raczej nie.

– Nie (śmiech). Jesteśmy przekonani, że musi być jasny rozdział państwa od Kościoła. Ksiądz ma być opodatkowany, tak jak zwykły obywatel. Religia ma być wyborem młodego człowieka. Fundusz Kościelny – ten etap trzeba zakończyć. Ale będziemy w tym wszystkim nieagresywni. Nie będziemy walczyć z Kościołem ani bić się z Panem Bogiem. Mówimy jasno: jest rozdział państwa od Kościoła. Państwo idzie swoją drogą, a Kościół – swoją. Jedni do drugich nie powinni się wtrącać, ale jedni i drudzy powinni się szanować. Koniec, kropka.

Czego Biedroniowi brakuje? Intelktualistów, naukowców?

– Biedroniowi niczego nie brakuje, to polskiej polityce potrzebna jest regeneracja. Zespół ludzi, których Robert przedstawi, gdy powstanie partia, zaskoczy nawet największych krytyków. Będą to ludzie ideowi, niezwykle barwni, ciekawi, a zarazem doświadczeni. Osoby, po których nikt się nie spodziewa, że mogą się angażować w politykę. Sam pan zobaczy. Lepsza Polska jest możliwa!

Robert Walenciak

Kto jeszcze jest z wami?

– Setki osób w całym kraju. Zaanżelowanych i oddanych. Najbliższym współpracownikiem Roberta jest Marcin Anaszewicz, szef sztabu wyborczego, który ma rozeznanie, jak łączyć politykę ze świetną organizacją. To niezwykle kompetentna osoba, z którą wspaniale się pracuje. Jest z nami także doskonała prawniczka Gabriela Morawska-Staniewska z Katowic, która pracuje nad tym, żeby nasz projekt sprawnie działał. Jest Monika Gotlibowska, która dba o finanse i gwarantuje, że nie będzie wpadki jak w przypadku

Gdy szybko buduje się struktury, nie sposób nie popełnić błędów. Historia to pokazuje. Różni byli ludzie w ruchu Palikota, różni trafili do Kukiza czy do Nowoczesnej, chociażby poseł Gryglas, radny Kałuża. Po prostu takiej grupy nie sposób sprawdzić, wielu osób się nie zna.

– Z Biedroniem nie budujemy partii na zasadzie: nie znamy ludzi, którzy są na liście! Nie po to jeżdżę po całej Polsce, nie po to spędziłem kilkaset godzin w samochodzie czy pociągach, żeby nie znał ludzi, których będziemy mieli w partii. Robert

W polityce nie trzeba mówić językiem, który ma się podobać. Trzeba mówić swoim językiem.

Nowoczesnej. Za prace programowe odpowiada Dariusz Standerski, a jest z nami także Paulina Piechna-Więckiewicz, która dołączyła do Biedronia, bo ufa, że w polityce można być oddanym swoim przekonaniom do końca.

I nie chciała iść do PO razem z Barbarą Nowacką.

– Paulina jest bardzo ideowa i za to niezmiennie ją cenię. Zresztą w ruchu Roberta to cecha charakterystyczna. Poza tym jesteśmy zróżnicowaną grupą ludzi i w pełni parytetową. Na 41 okręgów wyborczych mamy 21 pełnomocniczek. Są okręgi wyborcze, np. w Wielkopolsce, gdzie szefowymi są same kobiety.

wielokrotnie rozmawiał z każdym pełnomocnikiem okręgowym, a Marcin Anaszewicz ma doskonałe rozeznanie w strukturach powiatowych.

Są u was ludzie z Solidarności?

– Są! Przychoǳą do nas ludzie zewsząd. Ale jeśli z Solidarności, to z tej grupy, która w III RP znalazła się wśród wykluczonych. W Solidarności było 10 mln Polaków. Po tem z tych 10 mln sukces odniosło 100 tys., a pozostali to byli ci, którzy zapłacili cenę. Nie byli beneficjentami przejścia z jednego ustroju do drugiego. Więcej, oni po reformie Balcerowicza zostali wyrzuceni na bruk. Tak podzielona została Polska

Katarzyna Wierzbicka

Najciężej jest, jak pani w nocy nie śpi – opowiada 35-letnia Oksana ze Lwowa. – Wtedy trzeba czuwać całą noc. Czasami wychodzę na chwilę, jak trzeba coś kupić. Modłę się wtedy, żeby nic się nie stało przez te 10 minut.

Oksana zaczęła jeździć do Polski pięć lat temu. Zostawiła na Ukrainie męża i dwójkę dzieci w wieku pięciu i siedmiu lat. Tam księgowa, w Polsce zajmuje się całodobowo osobami starszymi. Zaczynała od prac sezonowych, potem przez kilka lat opiekowała się leżącą staruszką: sprzątanie, gotowanie, leki, zmienianie pieluch. Po jej śmierci znalazła pracę przy 90-latce z alzheimerem. Tu, podobnie jak w poprzednim domu, jest jedyną osobą mieszkającą z podopieczną. Pracuje siedem dni w tygodniu. Zarabia 2 tys. zł miesięcznie. – Pani bywa trudna, ale co robić? To nie jej wina. Czasami tylko chciałoby się z kimś porozmawiać, zwierzyć się.

Rozmawiam z Oksaną przez telefon, w jej głosie słychać zmęczenie. Opowiada o ostatnich kilku latach swojego życia: poszukiwaniu pracy na Ukrainie, żalu, że trzeba było zostawić dzieci, wyjazdach, tęsknocie. Co chwila pada: „Ale rodzina bardzo uprzejma, płaci, nie mogę narzekać”.

„Nie mogę narzekać” powtarza się niemal za każdym razem: – Ja teraz wcale nie pracuję tak dużo. A rodziny, u których sprzątam, są bardzo dobre – zaczyna 42-letnia Waleria, która sprząta polskie domy także siedem dni w tygodniu, od godz. 7 do 20. – Proszę mi tylko zmienić imię. Nie chcę, żeby się państwo dowiedzieli.

Waleria jest ekonomistką. Do Polski przyjeżdża od kilkunastu lat. Zaczęła, kiedy została sama z kilkuletnią córką. Kiedy ona sprzątała w Polsce, dzieckiem zajmowała się babcia. Wymieniają się co pół roku, teraz w opiece już nie nad córką i wnuczką, ale nad starzejącym się ojcem i mężem. Do pracy doliczyć należy jeszcze zmianę nocną – pomoc przy sparaliżowanej matce właścicielki mieszkania, od której Waleria z matką na zmianę wynajmują pokój („Za to płacę bardzo mało za zakwaterowanie”).

Informacji o tym, ile Ukrainek pracuje w polskich domach jako pomoce domowe, opiekunki do

NIEWIDZIALNE

Zatrudniane w polskich domach Ukrainki są potężną siłą roboczą. Pracują za minimalne stawki, często w trybie półniewolniczym



dzieci czy całodobowe pielęgniarki, właściwie nie ma. Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców wnioski o pobyt w Polsce – w większości czasowy – w 2017 r. złożyło 125 tys. obywateli Ukrainy. Jak podaje z kolei „Rzeczpospolita”, powołując się na MSWiA, w tym samym roku polskie konsulatory wydały 1,15 mln wiz dla Ukraińców – mimo że od 11 czerwca 2017 r. obowiązek wizowy został zniesiony w stosunku do tych, którzy nie planują pobytu dłuższego niż 90 dni w okresie 180-dniowym. Rzecz w tym, że nie wiadomo, jaki procent wydanych dokumentów dotyczy kobiet zatrudnianych przez osoby prywatne bez umowy.

Wszelkie szacunki są tym bardziej utrudnione, że ich formy pobytu bardzo się różnią. Niektóre osoby przyjeżdżają na zaproszenie, inne starają się o pobyt czasowy.

Wiele z nich ma wykształcenie wyższe, znaczna część zostawia na Ukrainie dzieci. Dlatego przyjeżdżają do Polski na kilka lub kilkanaście miesięcy i żyją u nas bardzo oszczędnie,

żeby jak najwięcej zarobionych pieniędzy wystać rodzinie.

Oksana: – Nie byłoby mnie stać na przeniesienie się do Polski na stałe. Musiałabym wtedy wynająć osobne mieszkanie, a to za drogo.

– Gdyby nie praca w Polsce, nie utrzymałabym siebie i córki. A ona nie mogłaby studiować w Kijowie. Trzeba przecież zapłacić za jej mieszkanie, życie. Dostała się na prawo – dodaje z dumą Waleria.

– Ukrainki pracujące jako opiekunki osób starszych są zatrudniane najczęściej z zakwaterowaniem – mówi Mirosława Keryk, historyczka, socjolożka i prezeska Fundacji Nasz Wybór. – Dla wielu oznacza to dyspozycyjność 24 godziny na dobę za niewielkie pieniądze. Większość dąży więc do tego, żeby w końcu dostać pracę „dochodzącą”, najczęściej jako gosposia. Te, którym to się udaje, mogą sobie pozwolić na wynajęcie pokoju wspólnie z innymi osobami. Rzadko zdarza się, że wynajmują w pojedynkę.

Zatrudniane przez osoby prywatne, pracujące w polskich domach

obywatelki Ukrainy są praktycznie niewidzialne – bez umowy, bez prawa do opieki zdrowotnej, bez ochrony przed nadużyciami.

W CZTERECH ŚCIANACH

„Zatrudnię Ukrainkę do zadań domowych – ogłasza się w serwisie Gumtree właściciel domu o powierzchni 300 m kw. z ogrodem. – Obowiązki: sprzątanie domu, prace w ogrodzie, gotowanie. Praca tylko z zamieszkaniem”. Inne ogłoszenie: „Poszukuję sprawnej fizycznie Ukrainki do sprzątania i pomocy w gospodarstwie”.

Zarówno z ogłoszeń, jak i z opowieści pracujących w Polsce kobiet wynika, że rzadko są one zatrudniane do jednego zadania – do opieki nad seniorem zwykle dochodzi gotowanie, sprzątanie itp. Do sprzątania – gotowanie, czasami zajmowanie się dziećmi. Często zakres obowiązków poszerza się sukcesywnie. Rzecz jasna, nie idzie za tym podwyżka.

Mirosława Keryk: – Ponieważ nie są spisywane umowy, niejasny jest również zakres obowiązków. Większość nadużyć przybiera formę „miękkiej” presji: pracodawcy stwarzają wrażenie, że łącząc ich z tymi kobietami relacja jest niemal przyjacielska. Więc „proszą” o coraz to nowe „przysługi”. Z tym że zatrudniona kobieta nie może odmówić, szczególnie jeśli mieszka tam, gdzie pracuje. Niektóre stają się *de facto* służącymi. One same zresztą często mówią o swoich pracodawcach jako o panach albo państwu – w sensie nie grzecznościowym, ale hierarchicznym.

Ukrainkę rzadko zatrudnia się do jednego zadania – do opieki nad seniorem dochodzi gotowanie, sprzątanie i inne obowiązki domowe.

Do nadużyć zawołanych dochodzą jawne. – Dwa lata temu zgłosiła się do nas kobieta, która zatrudniła się do opieki nad ojcem właścicielki domu, w którym pracowała – opowiada prezeska fundacji. – Jednak poza opieką robiła też wszystko inne, łącznie z obsługiwaniem swojej pracodawczyni. A ona, uznając, że robi jej przysługę, udostępniając pokój, płaciła jej 1 tys. zł miesięcznie. Zdarzają się także sytuacje mobbingu czy przemocy polegającej na tworzeniu relacji władzy. Na przykład niektóre

Ukrainki mają zakaz zaglądania do lodówki, dostając na wliczone w opiekę wyżywienie niedużą kwotę. Zdarzają się oskarżenia o kradzież, przed którymi nie ma jak się bronić. Często w grę wchodzi stereotypy, np. że „Ukrainki kradną mężów”. Bywa i tak, że kobieta z Ukrainy ogłaszająca się jako szukająca pracy przy sprzątaniu dostaje serię SMS-ów z propozycjami seksu.

Ukraińskie pomoce domowe i opiekunki są na łasce swoich pracodawców.

Według Justyny Segeš-Frelak, byłej kierowniczkę programu polityki migracyjnej Instytutu Spraw Publicznych, częsta dyskryminacja i wykorzystywanie kobiet z Ukrainy są związane z ich słabą pozycją na polskim rynku pracy. Najczęściej przejawia się ona w gorszych warunkach pracy, większej liczbie obowiązków i niższym wynagrodzeniu. Opinię o gorszym traktowaniu ukraińskich pracowników potwierdza przeprowadzone w 2015 r. badanie Fundacji Dobrych Inicjatyw – z 51 przepytanych imigrantek zza wschodniej granicy (wszystkie z wyższym wykształceniem) prawie jedna czwarta doświadczyła dyskryminacji ze względu na swoje pochodzenie, a ponad połowa była świadkiem złego traktowania rodaczek. Kobiety zatrudniane na słowo w polskich domach są w o tyle gorszej sytuacji, że nie mają gdzie zwrócić się o pomoc. A ich pracodawcy jako osoby prywatne również są poza kontrolą. Oznacza to, że ukraińskie pomoce domowe i opiekunki dosłownie są na łasce pracodawców. Dla niektórych „państwa”

Galina, przyjeżdżająca do Polski od 10 lat: – Pracowałam kiedyś u takiego pana, z którego mamą było bardzo źle. Fizycznie była zupełnie sprawna, do tego silna. Ale miała chyba alzheimera, bo nic nie kojarzyła. Przykro było patrzeć. Ten pan nie mieszkał z nami, tylko w mieszkaniu obok. I ja kiedyś spuściłam ją na chwilę z oka, a ona w tym czasie zdążyła się rozebrać i ubrudzić własnymi odchodami. Zawołałam pana po pomoc, a on powiedział mi: „No to ją umyj, za to ci płacę”.

– Zdarzały się bardzo drastyczne opowieści, włącznie z molestowaniem seksualnym, mobbingiem, uwiązaniem psychicznym, które nie pozwalało odejść z pracy – mówiła Justyna Segeš-Frelak portalowi ForSal.pl trzy lata temu. – Tyle że niestety wystarczy kłótnia o pieniądze, coś się nie spodoba w tym, jak pracuje opiekunka, albo ma problemy z pobytem w Polsce, i przy braku umowy praca może być zerwana praktycznie z dnia na dzień.

Mirosława Keryk: – Trzeba pamiętać, że tu chodzi o przestrzeń prywatną, domową. Tu nie wkroczy Państwowa Inspekcja Pracy ani żaden związek zawodowy.

WYJŚĆ Z UKRYCIA

Brak umowy i odpowiedniego zaplecza oraz zależność od polskich pracodawców sprawiają, że znaczna część nadużyć pozostaje w ukryciu. Same pracujące w polskich domach Ukrainki o złych doświadczeniach mówią niechętnie. – Jeśli coś się zdarzy, to mogę zrezygnować i szukać nowego domu. Bo gdzie mam pójść? – pyta retorycznie Oksana.

– Niewiele ukraińskich pomocy domowych chce zgłaszać nadużycia. Częściowo wynika to z nieznajomości swoich praw, one często nieuczciwe lub poniżające zachowanie pracodawcy przyjmują z dobrodziejstwem inwentarza, sądząc, że tak już jest – zwraca uwagę Mirosława Keryk. – Kiedyś prowadziliśmy warsztaty dla kobiet z Ukrainy na temat tego, czym jest przemoc. Wiele z nich było zdziwionych. „Przecież ja mam to ze swoim pracodawcą”, mówiły. Wcześniej uważały, że przemoc może być tylko fizyczna.

► Zajęcia wykonywane przez pracownice i pracowników z Ukrainy podlegają swoistej hierarchizacji – najniższą plasują się prace przy zbiorach owoców. Najwyższe – w sektorze usług: fryzjerstwie, kosmetyce, hotelarstwie czy gastronomii. Po drodze są jeszcze budownictwo, produkcja i handel. Według portalu Money.pl

legalnie Ukraińców powoli się polepsza – zarówno jeśli chodzi o wynagrodzenie, jak i o warunki pracy.

Zatrudniające obywateli Ukrainy przedsiębiorstwa podlegają Państwowej Inspekcji Pracy i kontroli fiskalnej. Jeżeli firma zatrudnia kogoś nielegalnie, może on się zgłosić np. do Międzyzakładowego Związku

nia została u nich jak najdłużej. To tu najczęściej (choć i tak bardzo rzadko) się zdarza, że pracodawcy podpisują z ukraińską pracownicą umowę i odprowadzają składki na ZUS.

Praca na czarno również podlega prawom rynku – a największe zapotrzebowanie jest właśnie na opiekunki osób starszych. I będzie ono rosło, bo seniorów będzie coraz więcej, a publiczny system opieki jest niewydolny. Jak podaje GUS, w 2018 r. osób w wieku powyżej 70 lat było 4,3 mln, a w roku 2025 ma ich być już 5,6 mln. Koszty miesięcznego pobytu w domu opieki zaczynają się od 3 tys. zł, mniej więcej tyle samo płaci się przeciętnie opiekunce zatrudnionej legalnie. Ukraińskie opiekunki bez umowy zarabiają od 1,3 do 2 tys. zł, w zależności od miasta. Polki co najmniej 500 zł więcej.

Pracujące w Polsce Ukrainki i Białorusinki wypełniają potężną lukę w systemie opieki nad osobami starszymi. Pytanie, czy stać nas na to, żeby nie miały żadnych praw.

Katarzyna Wierzbicka

W najlepszej sytuacji są zwykle opiekunki do dzieci – rodzicom zależy, żeby sprawdzona niania została jak najdłużej.

liczba legalnie zatrudnionych pracowników z Ukrainy sięgnęła w 2017 r. 2 mln osób. Szacunki na rok 2018 mówiły o 3 mln. Mimo to pracowników zza wschodniej granicy wciąż jest za mało. „Pracownicy z Ukrainy zajmują miejsca w branżach, gdzie ręk do pracy brakuje – czytamy na portalu. – Dane ukraińskich urzędów mówią o tym, że w modelu idealnym do Polski mogłoby przyjechać łącznie 5,4 mln Ukraińców”. Niedostatek siły roboczej w niektórych sektorach sprawia, że sytuacja zatrudnionych

Zawodowego Pracowników Ukraińskich w Polsce. Gorzej wygląda sytuacja kobiet zatrudnianych przez osoby prywatne. A zdaniem Justyny Segeš-Frelak ukraińskie opiekunki osób starszych poza szarą strefą właściwie nie wychodzą. Zazwyczaj to początkowy etap pracy w Polsce. Im dłuższy pobyt, tym większy wybór. Po kilku latach niektórym udaje się zdobyć lepiej płatne i lżejsze zajęcia. W najlepszej sytuacji są zwykle opiekunki do dzieci – zatrudniającym je rodzicom zależy bowiem, żeby sprawdzona nia-



**kwartalnik
kulturalno-polityczny**

Bez Dogmatu

**Do nabycia
w księgarniach
i empikach
oraz w wydawnictwie
Książka i Prasa
redakcja@iwkip.org**

Z Galicji



Jan Widacki

Traumatyczne zdarzenia powodują, że pokazujemy, jacy naprawdę jesteśmy. Zabójstwo Pawła Adamowicza było takim wydarzeniem.

Najpierw zareagowali dziennikarze. Sądząc po ich pierwszych reakcjach, najważniejsze dla nich było, czy zamach na prezydenta Gdańska był aktem terrorystycznym i czy chorobę psychiczną można symulować. To ostatnie pytanie generowało kolejne: czy z zabójcy ktoś celowo chce zrobić chorego psychicznie, aby uwolnić go od odpowiedzialności karnej. Już takie postawienie sprawy sugerowało wiarę w jakiś spisek. Stefan W. zapewne działał na czyjeś zlecenie, a teraz „chcą z niego zrobić wariata”.

Gdy wiadomo już było, że Stefan W. właśnie wyszedł z więzienia, gdzie spędził pięć i pół roku, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie z właściwą sobie obseją oraz chronicznym brakiem elementarnej wiedzy prawniczej

Tym wyraźniej zajaśniały postacie Magdaleny Adamowicz, o. Ludwika Wiśniewskiego czy zastępczyni prezydenta Gdańska, a teraz jego następczyni, Aleksandry Dulciewicz. Wystąpienie tej pierwszej, spokojne, mądre, pozbawione jakiegokolwiek patosu, a tym bardziej nienawiści, wycisnęło łzy z oczu obecnych. Dawno nikt w Polsce nie przemawiał tak mądrze, tak szlachetnie, tak po chrześcijańsku. Nikt dawno nie powiedział rządzącym tyle prawdy w oczy. Bez nienawiści, bez emocji. Podobnie dominikanin o. Wiśniewski. To nie liczni na pogrzebie biskupi i arcybiskupi, ale on był sumieniem Kościoła. Piętnował zło, którego owocem była śmierć prezydenta, i nie taił, że to zło jest także w Kościele.

Przy tej okazji Polska poznała dotąd znaną zapewne tylko gdańszczanom zastępczynię zabitego prezydenta. Słuchając jej, mogła się przekonać, że o ważnych sprawach da się mówić zupełnie innym językiem niż ten, którym na co dzień posługują się

PO POGRZEBIE PAWŁA ADAMOWICZA

i kryminologicznej publicznie postawił pytanie, dlaczego Stefan W. dostał taki łagodny wyrok, i obiecał to zbadać. Faktycznie, gdyby dostał dożywocie, jeszcze by siedział, a więc nie dokonałby zabójstwa. To co, wszystkich profilaktycznie wsadzać na dożywocie? Świetny pomysł! Dorównujący szefowi mądrością i kompetencją wiceminister od razu zauważył, że na pewno popełniono błędy w organizacji finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, dając do zrozumienia, że w gruncie rzeczy za zabójstwo prezydenta Adamowicza odpowiada Jurek Owsiak i jego WOŚP.

Okazało się jednak, że reakcja społeczna na zabójstwo prezydenta Gdańska jest silna i jednoznaczna, więc politycy zaczęli kombinować, jak ją wykorzystać dla siebie. PiS generalnie udawało wielką powściągliwość, jego fighterzy, zwykle obzuczający WOŚP i Owsiaka błotem, na chwilę się wyciszyli. PiS i Platformę połączyła nie tyle żaloba, ile amnezja. Poza zupełnie plugawymi wyjątkami politycy i publicyści PiS zapomnieli nawet, że jeszcze niedawno insynuowali, że Paweł Adamowicz to przestępca i aferzysta. Prezydent z premierem, mimo wyraźnej – zdaje się – niechęci rodziny zmarłego postanowili wziąć udział w pogrzebie i pokazać się przed kamerami. Politycy PO demonstrowali miłość do zabitego prezydenta z taką żarliwością, a jego zasługi dla Gdańska i demokracji wychwalali z takim przekonaniem, że aż trudno było uwierzyć, że nie poparli go w ostatnich wyborach, wystawiając w nich konkurenta. Kościół zapomniał, jak dotąd traktował Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, i sprawiał wrażenie, że chyba nawet ją i Jurka Owsiaka lubi. Wyleciało mu też z pamięci, jaki ma udział w podziale społeczeństwa, w sianiu nienawiści. Teraz nagle odnalazł swoją misję i głosami hierarchów nawoływał do wyrzeczenia się nienawiści, do miłości bliźniego.

politycy. Gdy zaś Aleksandra Dulciewicz oświadczyła, że to ona usadziła prezydenta z premierem w piątym rządzie i że bierze za to odpowiedzialność, pokazała, że ma odwagę cywilną.

Ale przede wszystkim dni uroczystości pogrzebowych Pawła Adamowicza pokazały, że Polacy potrafią być solidarni, że nie są tak podzieleni jak klasa polityczna. A rekordowe wpłaty na WOŚP dowiodły, po czyjej stronie jest ich sympatia.

Wróć na chwilę do początku felietonu. Oczywiście Stefan W. nie jest żadnym terrorystą. Nie jest nim ani w normalnym sensie tego słowa, ani żadnym innym słownikowym. Jeśli to prawda, co podają media, jest człowiekiem chorym psychicznie. Podobno jeszcze w czasie odbywania kary rozpoznano u niego schizofrenię paranoidalną. Co w takim razie robił od tego momentu w zakładzie karnym? Dlaczego nie znalazł się w szpitalu? A może tę diagnozę postawiono za późno? Może był źle zdiagnozowany, gdy trafił na pięć i pół roku za kraty zamiast na leczenie? Dlaczego zlekceważono ostrzeżenia matki zgłoszone przed jego wyjściem z więzienia? Może minister sprawiedliwości ze swoim zastępcą potrudziliby się nad odpowiedzią na te pytania? Przez ostatnie ponad trzy lata to kierowany przez nich resort odpowiadał za Stefana W.

Oczywiście w każdym czasie i w każdym społeczeństwie może się zdarzyć, że ktoś chory psychicznie zabije z motywów chorobowych, psychotycznych. I nie pomoże tu żadna ochrona. Czasem zabije osobę najbliższą, czasem osobę publiczną. W tym drugim wypadku wybór ofiary podyktowany jest atmosferą, której zabójca ulega. Ci, którzy przez ostatnie lata przyczynili się do siania nienawiści, ci, którzy na nienawiść nie reagowali, nie mogą mieć czystego sumienia. Nie mogą twierdzić, że nie mieli wpływu na czyn chorego psychicznie. Mieli.

Robert Walenciak

PASJA ŻYCIA

Prof. Grzegorzowi W. Kołodce na 70-lecie urodzin

Grzegorz Kołodko do dzisiejszej Polski nie pasuje. W kraju politycznej bijatyki, gdzie trzeba być albo po jednej, albo po drugiej stronie, on jest ponad. Ani w PO, ani w PiS.

Gdy zaprosi się go do mediów, nigdy nie wiadomo, co powie. W kraju, gdzie jest się albo za, albo przeciw, a dziennikarze zapraszający gości doskonale wiedzą, jakich opinii po kim można się spodziewać, taki wolny elektron wywołuje stan niepewności, a czasami paniki.

Ma własne poglądy. Nie sposób zapisać go do ekonomistów związanych z PO, wywodzących się z neoliberalizmu. Obcy jest też tym krążącym wokół PiS, powtarzającym jak mantrę: repolonizacja, firmy narodowe itd. „Nowy nacjonalizm – także ten polski – to bękart neoliberalizmu, który służył wzbogacaniu nielicznych kosztem większości. Musi znaleźć się inna droga niż neoliberalna czy populistyczno-nacjonalistyczna” – tak odpowiada jednym i drugiem. Ta droga to Nowy Pragmatyzm. Jak sam ją określa – nieortodoksyjna, interdyscyplinarna teoria ekonomii i strategia rozwoju. Ale o tym za chwilę.

Ma niewłaściwe pochodzenie. W czasie obrad Okrągłego Stołu był

rozmowy, zresztą nie tylko dziennikarzem. Jest piękna anegdota z czasów, gdy Grzegorz Kołodko był przymierzany po raz pierwszy na stanowisko wicepremiera i ministra finansów, jeszcze w rządzie Waldemara Pawlaka, i w związku z tym miał spotkanie z klubem SLD. Spotkanie się rozpoczęło, Kołodko tłumaczył, wyjaśniał, mijały kolejne kwadransy. Aleksander Kwaśniewski podał Józefowi Oleksmu karteczkę. Oleksy ją dyskretnie przeczytał i potakująco kiwnął głową. Na karteczce były cztery słowa: „Boże, on nas zamęczy...”.

Ma rękę do ludzi. W polskiej polityce rzadko to się zdarza. Zbyt często politycy dobierają sobie na współpracowników głupszych od siebie, a potem cierpią, bo coś zostało źle zrobione, coś nie działa, wybucha jakiś skandal. Wolty, awantury, wzajemne pretensje – to chleb powszedni. Tymczasem kiedy popatrzymy na ekipę Kołodki, którą skonstruował,

terapii), Polska mogłaby iść ścieżką rosyjską, a tam neoliberalne reformy doprowadziły niemal do upadku państwa. U nas upadku nie było – ale czy nie dlatego, że w porę zastosowano odpowiednie lekarstwo? Że Kołodko ze swoją wiedzą, jak funkcjonuje gospodarka, ale i swoją energią, pasją, miał siłę, by przestawić to wszystko na dobre tory?

Kołodko nie pasuje też do tego kraju, bo zbyt szeroko patrzy na świat. Jego książki, „Wędrujący świat”, „Świat na wyciągnięcie myśli”, „Dokąd zmierza świat”, „Droga do teraz”, były przejściem do najwyższej ligi.

Wcześniej znaliśmy go jako znakomitego stratega gospodarki, a tu pokazał się jako intelektualista, myśliciel, który na nowo wyłożył nam wizję światowej gospodarki i jej mechanizmów. Nie ukrywam, nigdy nie przekonywała mnie uparcie wtłaczana wiara, że ekonomia jest jak matematyka. Że kieruje się ogólnymi, matematycznymi prawami – wystarczy je stosować i wszystko będzie dobrze. I tak samo.

Jeżeli ktoś czytał na studiach Maxa Webera i miał zajęcia z prof. Jerzym Tomaszewskim poświęcone II RP i dziedzictwu zaborów, musiał być wobec tej neoliberalnej wiary sceptyczny. Pachniała ona starym, zmruszałym marksizmem, jego ortodoksyjną wersją, która wszystko tłumaczyła walką klas. Neoliberalizm też tłumaczył wszystko, choć na kilometr pachniał ogólną teorią wszystkiego serwowaną dla niedokształconych.

No i Grzegorz Kołodko to myślenie z hukiem odrzucił. Już w czasie „Strategii dla Polski”, w pierwszym okresie, w którym kierował polską gospodarką, tłumaczył, że demokracja i wolny rynek to jedno, ale potrzebne są jeszcze instytucje, które by te żywioły ogarniały. I zasady, które by regulowały ich działanie. Czas pokazał, że miał rację. Rychło potem do „instytucji” zaczął dorzucać kolejne

Wchodząc do polityki, postawił sobie dwa cele: sanację gospodarki i przeciągnięcie Polski na Zachód. I oba zrealizował.

po niewłaściwej stronie. Zawsze związany był z lewicą i jej się nie wyparł. To rzadka cecha w Polsce – lojalność wobec własnej formacji. Przecież gdyby wykonywał gesty w jedną lub drugą stronę, byłby dziś fetowany i rozrywany. Albo przez PiS, albo przez PO. Przykładów takich karier jest przecież aż nadto. A Kołodko nic. Olimp.

Woli naukę od polityki. Ale tę przez duże N. To też w gruncie rzeczy rzadkość, profesorowie w Polsce chętnie sprzedają swoje umiejętności – a to w polityce, a to w gospodarce, a to w dyplomacji. Kołodko, staromodnie, wybiera świat uniwersytetów.

Za dużo wie. W Polsce nawet profesorowie są w większości krótkodystansowcami, po 15-20 minutach zaczynają się powtarzać. O, Grzegorz Kołodko jest z innej gliny, biada tym, którzy nie są dobrze przygotowani do

wprowadzając „Strategię dla Polski”, zauważymy, że zdecydowana większość tych ludzi porobiła wspaniałe kariery. Nazwisk nie będę wymieniał, bo miejsca brakuje, poza tym łatwo je sprawdzić. A to on ich powyciągał z uniwersyteckich katedr, powierzył odpowiedzialne zadania – i się nie zawiodł. Potrafił kierować zespołem takich indywidualności, był autorytetem.

Gdy wspominam „Strategię dla Polski”, lata 1993-1997, kiedy gospodarka rosła, a inflacja spadała, myślę, że Kołodce za ten czas powinniśmy przypisać jeszcze jedną zasługę. To on uratował Leszka Balcerowicza i jego legendę. Być może i Kołodko, i Balcerowicz będą z tego niezadowoleni, ale takie z perspektywy lat mam wrażenie – gdyby nie „Strategia...”, szybkie ociosanie neoliberalnej terapii (Kołodko powiedziałaby: szoku bez



Rada Gabinetowa u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Nz. wicepremierzy Jarosław Kalinowski i Grzegorz Kołodko, 6 listopada 2002 r.

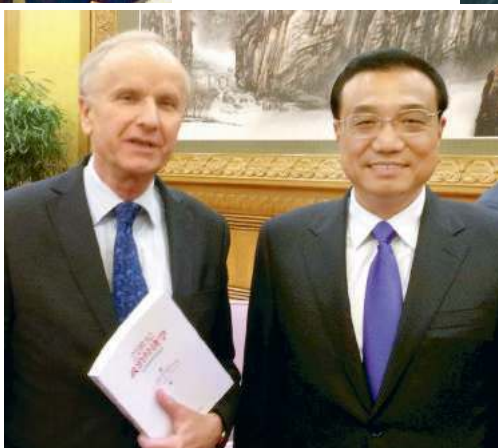
Prof. Kołodko jest też melomanem. Z żoną Alicją na premierze „Damy Kameliowej” w Teatrze Wielkim, 20 kwietnia 2018 r.



elementy, niezbędne, by zrozumieć, dlaczego dany kraj wybiera taką, a nie inną drogę. „Chcieliśmy mieć rynek i demokrację, to mamy. Tylko okazuje się, nie po raz pierwszy, że demokracja nie wyklucza głupoty, a rynek nie eliminuje nieuczciwości. Potrzebne jeszcze jest coś więcej. To coś więcej to jest właśnie kapitał społeczny” – to jedna z jego niedawnych wypowiedzi. „Czasami jest tak, że instytucjonalne, strukturalne rozwiązania, także te w sferze prawa, regulacji krajowych i europejskich, są właściwe. A potem okazuje się, że z jakichś powodów – i te powody trzeba wyjaśnić – niewłaściwi ludzie znajdują się na niewłaściwych miejscach”.

Bo matematyka tego nie wyjaśnia... Trzeba więc sięgać do innych nauk. „Albo ekonomia otworzy się na wielopłaszczyznowe, intelektualnie płodne współdziałanie z innymi naukami i dobrze będzie sprawowała swą służebną rolę, albo się zasklepi we własnym zaścianku i nie będzie umiała udzielić odpowiedzi na wielkie pytania, przed którymi stoi cywilizacja i ludzkość – pisał w „Świecie na wyciągnięcie myśli”. – Już ma z tym trudności, bo tradycyjna ekonomia nie potrafi odpowiedzieć zadowalająco nawet na pytanie, dlaczego tak, a nie inaczej ewoluuje gospodarka światowa. Jej zawiłości na gruncie ortodoksyjnych, wąsko ekonomicznych teorii wyjaśnić nie sposób, jest bowiem zbyt skomplikowanym fenomenem”.

„W historycznym procesie rozwoju szczególne znaczenie odgrywają uwarunkowania kulturowe – doda-



Z premierem Chin Li Keqiangiem.

wał. – Kulturę trzeba pojmować szeroko – od stopnia wiedzy oraz jakości kapitału ludzkiego i społecznego, poprzez system wyznawanych wartości, w tym religię, do kultury *sensu stricto*. Ekonomiści nie lubią tej konstatacji, bo wprowadza do rozważań elementy »miękkie«, nietatwo mierzalne, a czasem wręcz w ogóle niemierzalne. Ale to właśnie kultura ma coraz większe znaczenie i bez zagłębienia się w jej meandry niekiedy na nic zdaje się manipulowanie stopami procentowymi, podatkami, kursami walutowymi, taryfami celnymi i innymi instrumentami polityki gospodarczej, o których nieustannie tak głośno w mediach, choć jakże często nie jest to w ogóle warte całej owej wrzawy”.

Oto więc droga, którą przeszedł i która doprowadziła go do Nowego Pragmatyzmu. Czyli czego?

Posłużę się słowami prof. Macieja Bałtowskiego: „Od czasów Oskara Langego i Michała Kaleckiego, a więc od ponad 50 lat, Grzegorz W. Kołodko jest pierwszym polskim ekonomistą, który podjął wyzwanie wniesienia twórczego wkładu do światowej eko-

nomii nie tylko w postaci przyczynkarskich artykułów naukowych, lecz przez kompleksową i spójną koncepcję teoretyczną odnoszącą się do zasadniczych problemów ekonomicznych współczesności i przyszłości. (...) Co jest najważniejsze w koncepcji Kołodki?

(...) Po pierwsze, w ujęciu nowego pragmatyzmu ekonomia przyszłości musi być w znacznym stopniu nauką kontekstualną i multidyscyplinarną, bo gospodarka – przedmiot badań ekonomii – jest bytem głęboko zróżnicowanym i zmiennym, a wartości, na których opiera się polityka gospodarcza, i w konsekwencji cele, które powinna realizować, nie są jednolite w skali globalnej. Ta różnorodność gospodarek (systemów gospodarczych), w których realne procesy determinowane są w coraz większym stopniu czynnikami pozaekonomicznymi, zwykle pomijanymi w ortodoksyjnej ekonomii, przekłada się właśnie na różnorodność i multidyscyplinarność ekonomii. W konsekwencji klasycznie rozumiane prawa uniwersalne mogą mieć w ekonomii tylko ograniczone znaczenie.

Po drugie, ekonomia w rozumieniu nowego pragmatyzmu powinna być nauką głęboko zanurzoną w aksjologii, można powiedzieć – humanistycznej i antropocentrycznej. Nauką, która absolutnie nie pozostaje obojętna wobec wielkich problemów i bolączek współczesnego świata i w której ujęcie normatywne jest równie ważne jak deskryptywne. Tak rozumiana ekonomia w warstwie opisowej



Z Ireną Szewińską podczas akcji „Biegnij, Warszawo”, 2 października 2011 r.

Sportowy poranek premiera w Atenach, 16 kwietnia 2003 r.

▶ powinna potrafić oceniać i rozróżniać »dobre« oraz »złe« gospodarki (systemy gospodarcze). W warstwie postulatycznej zaś ekonomia powinna wskazywać rozwiązania prowadzące do »dobrych« gospodarek, powinna proponować aktywne i skuteczne w różnych sytuacjach programy rozwoju. Ekonomia może, i powinna, współkształtować przyszłość gospodarczą świata na gruncie zasady umiaru oraz rozwoju potrójnie zrównoważonego (ekonomicznie, społecznie oraz ekologicznie). Ekonomia nie może przy tym abstrahować od politycznych uwarunkowań i determinantów współczesnej gospodarki. Kołodko dystansuje się przy tym wyraźnie od wszelkich utopii i wystrzega iluzji co do skali możliwości nadawania przyszłości pożądaných kształtów, akcentując imperatyw praktycznego, pragmatycznego podejścia.

Po trzecie, nowy pragmatyzm uznaje nieuchronność procesów globalizacji, a samą globalizację traktuje jako czynnik determinujący zachowania gospodarcze na wszystkich poziomach. Punkt ciężkości nauki ekonomii, a także polityki gospodarczej, przesuwają się zatem z problematyki makroekonomicznej na globalną. Dobra gospodarka na poziomie systemu gospodarczego zawsze może być tylko elementem właściwie zorganizowanej i odpowiednio regulowanej globalnej gospodarki, co bynajmniej nie oznacza rezygnacji z zabiegania o zachowanie racjonalności mikroekonomicznej”.

Mocne słowa, ale tak się stało, że po latach pracy w rządzie Grzegorz Kołodko poświęcił się temu, co ceni i lubi najbardziej – życiu naukowemu, akademickiemu. Odwiedził wszystkie kraje świata, obserwując, jak działają



ich systemy gospodarcze. Zastanawiając się, dlaczego te same recepty dają tak różne wyniki. Napisał kilka książek. Przetłumaczono je na kilkanaście języków. Wykładał na uczelniach na wszystkich kontynentach.

Trzeba mieć niebywałą determinację, by temu wszystkiemu podołać. I tu mogę dopisać, że Grzegorz Kołodko nie pasuje do tego kraju jeszcze z jednego powodu – prowadzi mało polski tryb życia. Narzucił sobie ścisłą dyscyplinę. Regularnie biega i pływa. Jest wegetarianinem. Nie pije alkoholu ani nie pali. Śpi krótko, żeby móc dłużej pracować.

Poza tym, co też nad Wisłą dziwnie wygląda, martwi się o Polskę, o przyszłość. Bo przecież Polak nie martwi się o swój kraj, tylko jest z niego dumny, i bardziej interesuje go przeszłość niż przyszłość. Kołodko jest więc inny.

Pamiętam go, gdy w lipcu 1996 r. w Paryżu podpisywał umowę o przy-

stąpieniu Polski do OECD. Szczęśliwy machał dzwonkiem, że to sygnał naszych zachodnich aspiracji. Że to pierwszy krok na drodze Polski do zachodnich struktur. Pamiętam go też z Kopenhagi, z 13 grudnia 2002 r., podczas dramatycznych negocjacji, które przesądziły, że jesteśmy członkami Unii. Można rzec, wchodząc do polityki, postawił sobie dwa cele – sanację gospodarki i przeciągnięcie Polski na Zachód. I oba zrealizował.

Potem, już jako profesor, czasami w roli publicysty, o tych celach wciąż pamiętał. Po to też m.in. pisał książki. By wprowadzić racjonalną debatę do społeczeństwa. I tam zawarł taką przestrożę: „Bynajmniej nie oczekuję od wszystkich grup społecznych profesjonalnych analiz i teoretycznych wniosków, ale zbyt wiele poglądów, opinii, sądów opiera się nie na lekturze książek i głębszych przemyśleniach, lecz na czytaniu gazet i powierzchownych refleksjach. Dotyczy to – co już jest poważną sprawą – również części środowiska akademickiego. (...) Takie »myślenie mediami«, z których zbyt duża część jest przeideologizowana, służebna wobec grup specjalnych interesów oraz skrajnie skomercjalizowana, nie tylko stanowi zagrożenie dla jakości elit, bez wysokiego poziomu których nie może być mowy o znaczącym postępie, lecz także powoduje wręcz swoistą intelektualną zapaść społeczeństwa”. Bo to chore, dodaje, gdy profesorowie powołują się na media, a nie odwrotnie. Przytaczam te słowa nie w imię jakiegoś samobiczowania, ale by przypomnieć kolejną batalię, którą Kołodko prowadzi – z otaczającym nas chaosem informacyjnym, którego jest coraz więcej.

Tak oto Grzegorz W. Kołodko dobił 70 lat. Śmiało możemy mu gratulować udanego życia: naukowego, politycznego, i ze spokojem czekać na jeszcze. Bo profesor płynnie przechodzi do roli, o jakiej chyba marzył najbardziej – autorytetu przez duże A. Już nie profesora od ekonomii, ale intelektualisty, rozumiejącego i tłumaczącego świat i Polskę.

Napisałem na początku, że Grzegorz Kołodko nie pasuje do dzisiejszej Polski. Może więc czas, by Polska zaczęła pasować do niego?

Panie Profesorze, sto lat!

Robert Walenciak



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

ŚWIĘTE JEDNO

Teraz się Polacy zjednoczą, teraz musimy być jednością, ponad podziały, uderzmy się w piersi, tak, tak, nawet we własne, jak usadzony w piątej ławce prezydent na pogrzebie Pawła Adamowicza. Przestańmy, wybaczymy, co się jeszcze musi stać, ktoś zginie, właśnie zginął, to zginie następny. Gdzie jest ochrona, policja to nie ochrona, chyba że jako ochrona stoi pod TVP Info, kiedy prawdziwa ochrona szarpie, obłapia i przewraca protestujących przeciw temu, co wyrabia najbardziej upartyjniona w ostatnim 30-leciu TV, nominalnie nazywana wciąż publiczną. Ale wojna o telewizję to nie moja wojna, to ich wojna.

Ich, czyli czyja? Tych, co są antyrządowi, a nienawidzą bardziej niż ci, którzy są prorządowi i nienawidzić nie muszą. Kiedyś, za Smoleńską, nienawidzili bardziej, a teraz mniej. Co mają nienawidzić? Czują, słyszą, są zapewniani, że to ich rząd i dla nich dobry i że im to po prostu się należy, a tamci to obcy. Nienawidzą bardziej od tych, co przeciw rządowi, tylko tych, co zawsze: Żydów, muzułmanów, uchodźców i gejów.

A opozycji nie nienawidzą. To znaczy nienawidzą, ale słabiej. Tak mówią naukowe badania, co je zrobiło

Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, zbadawszy tysiącosobową (reprezentatywną) grupę. No i masz babo placek. Nóż w serce, a tu nóż w plecy. Dobra opozycja nienawidzi bardziej – nawet jak ma kontakt z prorządowymi, bo oni, kiedy mają kontakt, to słuchają, przyznają rację. Niemożliwe, żeby akurat w tym badaniu tak jak w wielu lub wszystkich innych troszki oszukiwali. No bo każdy szczerze powie: nienawidzę, życzę złe, szczególnie w ankiecie. Ale może ci, co przeciw rządowi, to nie ci, co naprawdę przeciw rządowi? Bo ci, co naprawdę, to na ulicy, pod pałacem, pod sądami, pod TVP, a nie w kapciach przed telewizorem na ankietera czekają.

Wojna. Ale chyba nie ma badań (bo jeszcze wtedy nie były tak popularne) i trudno było próbę skompletować. Kto kogo nienawidził bardziej? Hitlerowcy radzieckich czy radzieccy faszystów? I tak sobie wyobrażam newsa: po przebadaniu reprezentatywnej grupy walczących pod Stalingradem okazało się, że żołnierze Armii Czerwonej nienawidzą bardziej niż ci z Wehrmachtu i SS. Z kolei Amerykańcy i Brytole Włochów wcale nie nienawidzą, ale Włosi jeszcze mniej ich nienawidzą, właściwie ich lubią.

Polskie fałszywe zakłęcie jedności zakotwiczone jest w edukacji i katechezie. W szkole ma być cicho i spokój, w klasie ani mru-mru, pani ma rację, a ty nie masz głosu, wyjdź, niech przyjdzie rodzic, dziecko rozmawia, dziecko

mówi niepytane, a zapytane – milczy. Inaczej niż inni, którzy są jednością milczącą.

W kościele to samo: pomódlmy się, nic nie mówmy, ksiądz powie, my w ciszy powtórzymy, co do powtórzenia. Co tu gadać, już wszystko zostało powiedziane. Bądźmy jednością, wszyscy umiemy to samo wyrecytować, to nasza realna wspólnota, bez krzyków, przemocy, nienawiści, kradzieży, gwałtów – nieprawdaż? A inne historie, ta cała pedofilia, głosy przeciw uchodźcom, to atak na najważniejszą instytucję zaufania w Polsce, która przecież wydała z siebie najważniejszą kobietę stulecia (wedle Konfederacji Kobiet RP), świętą siostrę Faustynę. Co to jest ta konfederacja? Ano organizacja zrzeszająca inne organizacje, które wyznają takie wartości jak: „angażowanie się w promocję i obronę macierzyństwa, małżeństwa i rodziny. Naszym celem jest prezentowanie w przestrzeni publicznej stanowiska ogromnej większości kobiet, które w oparciu o wspólnie wyznawane wartości stoją na straży rodziny, naturalnie rozumianej kobiecości oraz szacunku dla ludzkiego życia”.

Brzmi znajomo? Jak z kościelnej ciszy? Skłodowska-Curie się nie załapuje. Taka wizja polskości. Czy Polska Faustyny i Skłodowskiej

to jedna Polska? Tych samych wartości? Nie. I tradycyjnie jest tak, że w Polsce z wartościami Skłodowskiej byłoby miejsce dla Faustyny, ale odwrotnie już słabo. I kto kogo bardziej by nienawidził? Ci od Skłodowskiej tych od Faustyny czy na odwrót?

Jedność jest fałszywym mitem, jest tak naprawdę żądaniem, żeby wszyscy byli tacy sami (w domyśle jak Faustyna), jest konsekwencją nacjonalistycznej definicji wspólnoty, bo wszyscy Polacy to jedna rodzina... A konkretna rodzina może być całkiem inna – skłócona, nienawidząca się, milcząca, wroga, przemocowa.

Słowem zaklęciem opasującym nasze zjednoczenie, naszą świetlaną narodową jedność, jest w ostatnich dniach nienawiść, trudna do zmierzenia, trudna do porównania, bo jej istota bardziej zasadza się nie na tym, co ktoś nienawidzący uważa albo czego jest świadom, ale na tym, jak dotyka tych, w których jest wymierzona. Toczy się więc dość amatorsko niby-akademicka dyskusja prowadzona językiem teologicznej troski, pełnej jednoznaczności i rozchwianych pojęć. Problemy społeczne zostają osamotnione na boku, a recepty wypracowane przez dekady – schowane do szuflad. Polska odkrywa świat po swojemu od nowa. Kopernik narodów. Porusza Słońce, zatrzymuje Ziemię.

Ukochany kraj, umiłowany kraj. Bez nienawiści.

Polskie fałszywe zakłęcie jedności zakotwiczone jest w edukacji i katechezie.

Ewa Rogowska

Marzena, 27-latka, miała glejaka mózgu. 19-letni Artur cierpi na silne bóle migrenowe. Anna ma 69 lat i choruje na jaskrę. Każde z nich od miesięcy korzystało z marihuany. Marzena żyje, choć rokowania były bardzo złe – pacjenci z glejakiem wielopostaciowym zazwyczaj nie przeżywają roku. Uważa, że to zasługa m.in. marihuany. Artur i Anna czują, że objawy ich chorób są dzięki marihuanie znacznie lżejsze. Wszyscy troje mieszkają w małych miejscowościach. Obawiają się mówić o terapii marihuaną. Nawet anonimowo. Mimo że docierałam do nich przez zaufane osoby.

Marzena, Artur i Anna dostali od swoich lekarzy recepty na marihuanę medyczną. Jeszcze ich nie zrealizowali. Mimo doniesień mediów, że od 17 stycznia specyfik jest dostępny w aptekach, w ich miejscowościach aptekarze powiedzieli, że jeszcze nie ma go w hurtowniach. I pozbyli się kłopotu. Bo marihuana medyczna to nadal temat tabu. Po co narażać się na hejty, skoro można bez stresu sprzedawać suplementy diety?

WZGLĘDY BEZPIECZEŃSTWA

Od października ub.r., kiedy to Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych dopuścił marihuanę do obrotu w Polsce, media kilkakrotnie podawały daty jej wejścia na polski rynek: październik, listopad, potem trąbiono o 17 grudnia, przed świętami, po... Wydawało się, że za tą zwłoką stoją antymarihuany, chcący zastopować import. Tymczasem już na początku grudnia kanadyjska firma Spectrum Cannabis w swoich magazynach w Niemczech przygotowała do wysyłki 7 kg suszu. – Nie wiem, skąd się wzięła data 17 grudnia w doniesieniach prasowych – dziwił się w grudniu Grzegorz Ćwiek, prezes InnerLook, firmy zajmującej się public relations Spectrum Cannabis w Polsce. – Wprawdzie przebrnęliśmy przez wszystkie formalności w kraju i otrzymaliśmy zgodę Głównego Inspektoratu Farmaceutycznego na import, ale nadal odpowiednik GIF w Niemczech nie wydał zgody na eksport. Takie zgody

ROZSADEK GÓRĄ

Medyczna marihuana w końcu pojawiła się w aptekach



W pewnym stopniu dostęp do medycznej marihuany traktuję jako zwycięstwo męża – mówi Anna Kalita, wdowa po Tomaszu Kalicie.

w Polsce i w Niemczech trzeba będzie otrzymywać przy każdym imporcie marihuany.

Wprowadzenie marihuany do polskich aptek było operacją typu tajne przez poufne. W tajemnicy trzymano przez długi czas informację, który z trzech największych dystrybutorów wyrobów farmaceutycznych będzie się zajmował rozprowadzaniem marihuany. Nie podawano także, które apteki będą ją sprzedawały. W przypadku informacji o punktach sprzedaży argumentowano, że prawo farmaceutyczne zabrania aptekom reklamowania się. Jednak jakimś cudem do mediów wyciekła informacja, że sprzedaż będą prowadzić trzy apteki należące do Grupy Aptek Prima: we Wrocławiu, w Poznaniu i w Koninie. W prasie i na portalach internetowych podawano ich adresy. W tym momencie zarząd GAP, w obawie, że może to być odebrane jako reklama, podjął decyzję, że nie będzie udzielał mediom żadnych informacji.

Dopiero 17 stycznia br. Grzegorz Ćwiek wysłał do dziennikarzy wiado-

mość, że marihuana jest już w Polsce. Poinformował też, że Spectrum Cannabis podpisało umowę na dystrybucję z firmą Pharmapoint SA. I że w sprawie realizacji recepty na marihuanę medyczną należy się kontaktować z apteką, w której zazwyczaj dokonuje się zakupów.

NIE MA W HURTOWNI

Dzwonię do wielu losowo wybranych aptek w mniejszych i większych miastach. Słyszę, że albo w hurtowniach nie ma jeszcze marihuany, albo że aptekarz jeszcze nie próbował ściągać specyfiku, albo że lek jest dostępny jedynie w trzech aptekach w kraju. Kolejne telefony nie mają sensu, skoro w kraju jest orawie 13 tys. aptek. Kontaktuję się z dystrybutorem. – Pierwsze dostawy wyjechały do aptek 17 stycznia albo 18 rano – mówi Błażej Ajzert, zastępca działu marketingu w Pharmapoint SA. – Apteki wchodzą na strony internetowe hurtowni, widzą, że tego specyfiku nie ma w wykazie, i kończą swoją przygodę z marihuaną. Jednak

część aptek i wielu pacjentów dzwoni od czwartku do naszego działu handlowego, skarżąc się, że produkt nie jest dostępny. Nam jako dystrybutorom nie wolno się reklamować i informować, że jesteśmy jedyną hurtownią, która ma ten produkt w ofercie.

Ajzert opisuje procedurę zakupu. – Wygląda ona tak: pacjent przychodzi do apteki z receptą, apteka zamawia u nas określoną ilość marihuany, a my dostarczamy ją następnego dnia z naszego magazynu w Łodzi – wyjaśnia. – Nie mamy prawa analizować recept. To aptekarz decyduje, ile specyfiku zamawia. Są apteki, które w chwili dotarcia do Polski marihuany miały 10-12 recept oczekujących. Dostarczyliśmy już do aptek kilka kilogramów specyfiku. Następną dostawę planujemy na przełomie stycznia i lutego.

Do tej pory marihuanę wysłano do wielu miejscowości, m.in. do Koni, Warszawy, Lublina. Marihuana medyczna, która otrzymała zgodę na dystrybucję w Polsce, ma postać kwiatów konopi siewnych *Cannabis sativa L.*, czyli konopi siewnych podgatunek indyjski. Produkt jest standaryzowany, dokładnie określono w nim zawartości THC, czyli tetrahydrokannabinolu (19%), oraz CBD, czyli kannabidiolu (1%). Kwiaty są pakowane w pojemniki po 5 g i 10 g. Aptekarz powinien zamówić co najmniej 10 g specyfiku. Tylko specjalista w aptece może otworzyć pojemnik i odważyć taką ilość marihuany, jaką przepisał lekarz. Lekarz może zapisać przyjmowanie leku m.in. w postaci waporyzacji.

Apteka, która przyjmuje do realizacji receptę na marihuanę, musi mieć zabezpieczenia obowiązujące dla środków odurzających grupy I-N, tzn. zabezpieczone pomieszczenie z zamkniętymi metalowymi szafami lub kasetami przymocowanymi do ścian albo podłóg.

ODWAGA

O dostęp polskich pacjentów do medycznej marihuany od lat walczyło wiele osób. Wśród nich rzecznik Sojuszu Lewicy Demokratycznej Tomasz Kalita, u którego stwierdzono glejaka mózgu. Na pewnym etapie choroby sięgał po marihuanę, która m.in. uśmierzała ból. Opowiadał

o tym, jak musi zdobywać marihuanę na czarnym rynku, i twierdził, że obowiązkiem państwa jest zapewnienie pacjentom dostępu do terapii, a więc i do tego specyfiku. Anna Kalita, wdowa po Tomaszu, uważa możliwość legalnego zakupu medycznej marihuany za bardzo istotną sprawę. – Czy traktuję to jako zwycięstwo męża? W pewnym stopniu tak, choć przecież walka trwała długo, zaczęła się, zanim włączył się do niej mąż, aktywne było całe środowisko – mówi. – To, że zachorował polityk, sprawiło, że sprawa stała się bardziej słyszalna. To bardzo piękne, że chorym ludziom przywrócono godność. Myślę, że dostęp do medycznej marihuany to w pewnym sensie wielkie dzieło życia mojego męża. Jakby potwierdzenie, że „nie wszystek umrę”. Jest mi bardzo przykro, że mąż nie doczekał tej chwili.

że nie ma nigdzie twardych danych, które upoważniałyby do jej szerokiego wejścia na polski rynek. Nie ma również jasnego sygnału ze strony Ministerstwa Zdrowia, jak lekarze powinni traktować ten nowy na naszym rynku farmaceutycznym specyfik – ani stanowiska Naczelnej Rady Lekarskiej. Temat jest kontrowersyjny, więc bezpieczniej udać, że sprawy nie ma.

Głośno było o dr. Marku Bachańskim, neurologu dziecięcym, który w Centrum Zdrowia Dziecka leczył marihuaną małych pacjentów z lekooporną padaczką. W wielu przypadkach z kilkudziesięciu czy nawet kilkuset napadów dziennie udawało się zejść do kilku. Ze względu na kontrowersje wokół tej metody dr Bachański został zwolniony z CZD. Sąd prawdopodobnie przywrócił go do pracy, ale placówka – zamiast wykorzystać jego



Walka o medyczną marihuanę trwała długo.

Jest tajemnicą poliszynela, że wielu chorych zaopatrywało się w medyczną marihuanę na czarnym rynku. Były minister zdrowia Konstanty Radziwiłł zaliczał się do jej zagorzałych przeciwników. Mówił, że czegoś takiego jak medyczna marihuana nie ma. Twierdził też, że co najwyżej kilkudziesięciu chorych w kraju, szczególnie przy lekoopornych padaczkach, wymaga stosowania tej substancji. Jego następca Łukasz Szumowski także nie jest entuzjastą marihuany. W jednym z wywiadów powiedział,

wiedzę i doświadczenie – zatrudniła go do... opisywania wyników badań EEG. Wielu rodziców dzieci, które były leczone przez dr. Bachańskiego, stało w jego obronie. Na pewno jego przypadek przyczynił się do tego, że lekarze z rezerwą podchodzą do terapii marihuaną, bojąc się reakcji przełożonych.

Znanym bojownikiem o medyczną marihuanę jest dr Jerzy Jarosz, anesteziolog i specjalista leczenia bólu, który w 2015 r. w Poradni Przeciwbólowej i Medycyny Paliatywnej działającej przy Hospicjum Onkologicznym

► w Warszawie otworzył pierwszy w Polsce punkt konsultacyjny informujący o leczniczym wykorzystaniu tej substancji. Zgłaszają się do niego nie tylko chorzy czy ich rodziny, ale także lekarze, którzy szukają informacji na temat wykorzystania konopi indyjskich w procesie leczenia. Z inicjatywy dr. Jarosza hospicjum onkologiczne i Koalicja Medycznej Marihuany już kilkakrotnie organizowały na ten temat szkolenia dla pracowników ochrony zdrowia. Jako wykładowcy byli zapraszani nie tylko lekarze polscy, ale i najlepsi lekarze praktycy z Izraela.

karskich z propozycją bezpłatnych szkoleń dla aptekarzy „Konopie medyczne w teorii i praktyce”. Dlaczego zdecydowano się szkolić aptekarzy, a nie lekarzy? Nie wiadomo. Gdańska Okręgowa Izba Aptekarska jako pierwsza izba w Polsce zorganizowała 12 stycznia 2019 r. szkolenie pierwszego stopnia z medycyny konopnej. Rzecznik prasowy tej izby Andrzej Denis sam nie był na szkoleniu, bo miał inne ważne zajęcia, ale wie, że wzięło w nich udział od 200 do 300 osób. Wielu aptekarzy zapisało się w ostatniej chwili, tuż przed rozpoczęciem szkolenia w ho-

nikała choćby z tego, że nie ma oficjalnych danych, jak liczna jest grupa chorych, którzy jej potrzebują. Organizacje pacjentów mówią o 300 tys. osób, a nawet o milionie. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia uważa, że ta liczba jest niewielka.

Poważny problem ograniczający wykorzystanie medycznej marihuany stanowi koszt terapii. Do tej pory w przypadku importu docelowego Ministerstwo Zdrowia bardzo rzadko zgadzało się na refundację. Susz firmy Spectrum Cannabis też nie jest refundowany. Początkowo firma przymierzała się do ceny 80 zł za

Lekarze nie są przygotowani do wykorzystywania marihuany w leczeniu bólu, lekoopornych padaczek, chorób Parkinsona i Alzheimerera czy stwardnienia rozsianego.

Dorota Gudaniec jest osobą znaną w środowisku chorych leczących się marihuaną i ich rodzin. Jej syn Max, chory na padawkę, był pierwszym w kraju pacjentem, który w terapii prowadzonej pod opieką dr. Bachańskiego legalnie korzystał z marihuany. Była ona sprowadzana w ramach tzw. importu docelowego z zagranicy. Teraz Dorota Gudaniec dzieli się z innymi rodzicami zdobytą wiedzą. Podejmuje też działania mające przybliżyć tę problematykę środowisku medycznemu. Organizuje szkolenia, na których wykłady prowadzą najlepsi specjaliści w tej dziedzinie. Ofertę szkoleń dla personelu medycznego złożyła także w Ministerstwie Zdrowia. Żadna odpowiedź nie przyszła.

NA NAUKI

Już w grudniu ub.r. Polish Institute of Medical Cannabis, czyli organizacja wspierająca wprowadzenie konopi medycznych do leczenia, zgłosił się do okręgowych izb apte-

telu Sheraton w Sopocie. Dokładne dane na temat uczestników ma Polish Institute of Medical Cannabis.

Zadzwoniłam do instytutu, by uzyskać informacje o szkoleniach, m.in. które izby, poza gdańską i katowicką – ta planuje szkolenie w marcu – zamierzają je zorganizować i czy będą szkolenia dla lekarzy. Kobieta, z którą rozmawiałam, poprosiła o przysłanie mejla z pytaniami i zapewnieniem, że otrzyma odpowiedź do autoryzacji. Wysłałam. Niefortunnie chyba zamieściłam też prowokacyjne pytanie: „Czy faktycznie takie szkolenia są potrzebne aptekarzom, skoro dilerzy nie mają żadnych uprawnień i handlują marihuaną niemedyczną?”. Nikt się nie odezwał. To chyba jeden z wielu sygnałów, że temat marihuany medycznej wciąż jest bardzo delikatny.

DROŻEJ, ALE LEGALNIE

Tylko jedna firma produkująca medyczną marihuanę zdecydowała się wejść na polski rynek. Nieufność wy-

1 g suszu, ostatecznie jednak ją obniżono. W aptekach cena marihuany wynosi ok. 65 zł za 1 g. Błażej Ajzert z firmy Pharmapoint SA mówi, że u nich, czyli u dystrybutora, ta cena jest dużo niższa, ale nie chce podać konkretów. Podobno cena w Polsce nie może być zbyt niska, gdyż pacjenci niemieccy, zamiast kupować ją w swoim kraju, przyjeżdżaliby po nią do polskich aptek. Określenie takiego pułapu cen powoduje, że wielu chorych nie będzie stać na medyczną marihuanę. Również tych, którzy do tej pory kupowali susz na czarnym rynku, bo na nim w niektórych regionach kraju cena 1 g rozpoczyna się od 30 zł, a podobno dla stałych odbiorców schodzi do 20-25 zł. Część chorych pozostanie więc zapewne przy marihuanie nielegalnej. Mimo że nie wiadomo, jaki jest skład preparatu.

– Ilość marihuany, której potrzebują pacjenci, jest bardzo różna, nawet przy tych samych chorobach – mówi Dorota Gudaniec. – Znam dwóch pacjentów chorujących na fibromialgię, powodującą ból całego ciała. Jeden potrzebuje 3 g dziennie, a drugiemu wystarczy 1 g tygodniowo.

Koszt leczenia to nie ostatni problem, jaki dotyczy medycznej marihuany. Lekarze nie są przygotowani do wykorzystywania marihuany w leczeniu bólu, lekoopornych padaczek, parkinsona, alzheimera, stwardnienia rozsianego czy innych chorób. A recepta sama się nie wypisze.

Ewa Rogowska

Dziennikarz „NIE” z wizytą na pisowskich salonach i z mową miłości na ustach. W najnowszym numerze przeczytajcie o tym, czym odpowiedzieli premier, ministrowie i reżimowi publicyści.



Płacowy bałagan w ochronie zdrowia

Prawo nie powinno dzielić pracowników, którzy współpracują dla dobra pacjentów

Renata Górna



Wynagrodzenia pracowników ochrony zdrowia to gorący temat, który ostatnio dominuje w dyskusji publicznej, nie tylko wśród samych zainteresowanych, ale także wśród pacjentów. Ci ostatni co jakiś czas słyszą o niesprawiedliwej, niskiej płacy niektórych grup zawodowych, zagrażających zdrowiu pacjentów niedoborach kadr czy protestach wybuchających w placówkach medycznych. Warto się zastanowić, w czym tkwi problem płac w ochronie zdrowia.

Jedną z przyczyn to zaniedbania systemowe i brak przejrzystych, systemowych zasad zatrudnienia i wynagradzania. Płace często nie odzwierciedlają nakładu pracy, doświadczenia, odpowiedzialności czy ryzyka zawodowego. Można także powiedzieć, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nieproporcjonalności i tzw. rozszynchronizowania wynagrodzeń poszczególnych grup zawodowych. Z drugiej strony wycena świadczeń zdrowotnych często jest nierealna i nie uwzględnia kosztów pracy. Generalnie jest za niska. Zarządzający placówkami medycznymi nieraz muszą rozstrzygać, skąd i której grupie zawodowej oraz w jakiej wysokości przekazać pieniądze na wynagrodzenia, określone w „wycinkowach”, branżowych aktach prawnych.

Dziś poważnym problemem jest źródło finansowania podwyżek wynagrodzeń dla pracowników. To nie dodatkowe pieniądze budżetowe, ale pochodzące z tej samej puli Narodowego Funduszu Zdrowia. Finansowanie wynagrodzeń z NFZ paradoksalnie doprowadziło do tego, że płatnik świadczeń medycznych stał się pracodawcą dla wielu pracowników ochrony zdrowia. To sytuacja, która w dłuższej perspektywie spowoduje pogorszenie i tak już nie najlepszego dostępu pacjentów do świadczeń zdrowotnych. Pracodawcy, opierając się na danych z Ministerstwa Zdrowia, wskazali, jakie będą koszty wynagrodzeń – dla NFZ i szpitali w perspektywie kolejnych trzech lat (2020-2022). Dla NFZ to ok. 13 mld zł, a dla szpitali – drugie tyle. Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych zwracało uwagę, że koszty oszacowane przez NFZ nie są całkowitym kosztem, jaki poniosą placówki medyczne. Doliczyć do tego należy pochodne wzrostu wynagrodzeń: wyższy koszt dyżurów, godzin nadliczbowych itd.

Polityka płacowa realizowana przez kilku ostatnich ministrów zdrowia podzieliła środowisko pracownicze. Na skutek doraźnych protestów niektóre grupy zawodowe wywalczyły sobie znaczące podwyżki: pielęgniarki i położne otrzymały ponad 4 mld zł na wzrost wynagrodzeń w 2018 r.; lekarze i lekarze dentyści ze specjalizacją – otrzymają łącznie w roku 2018 i 2019 nieco ponad 1 mld zł, a ratownicy medyczni – ok. 400 mln zł.

Pytanie, gdzie są pozostali pracownicy. I czy dla nich znajdują się dodatkowe pieniądze. Jak to mają zrobić – protestować czy usiąść do stołu i rozmawiać? Jakie są pomysły i czy jest rozwiązanie tego problemu?

Partnerzy społeczni, członkowie Rady Dialogu Społecznego inicjują dyskusję i podejmują ten temat w rozmowach z rządem od kilku miesięcy. Domagają się od rządu odpowiedzi na pytanie, czy jest szansa na systemową regulację wynagrodzeń uwzględ-

niającą wszystkie osoby wykonujące zawody w ochronie zdrowia, z gwarancją środków finansowych na ich wypłacanie. OPZZ od lat zgłasza postulat wyrównania dysproporcji płacowych pomiędzy wszystkimi grupami zawodowymi i podniesienia wynagrodzeń najniższ zarabiającym pracownikom tego sektora. Nie do zaakceptowania jest podział pracowników na medycznych i niemedycznych, a tym samym dawanie podwyżek tylko wybranym. Sprawne funkcjonowanie szpitala opiera się nie na samych wiodących grupach zawodowych, takich jak lekarze czy pielęgniarki, ale również na innych pracownikach, których rola jest niedoceniana. Każdy zawód ma swoje ważne miejsce w szpitalu i w systemie.

Najważniejsze miejsce do negocjacji i podejmowania decyzji to Rada Dialogu Społecznego i jej zespoły eksperckie. Od miesiący przypominamy, że w dzisiejszych przepisach brakuje regulacji zobowiązań wobec wielu grup zawodowych, dla których kończą się porozumienia w tym zakresie. Planowane na początku 2019 r. spotkania w celu podpisywania indywidualnych porozumień to kontynuowanie złych tradycji. Może to być przyczyną dalszej radykalizacji nastrojów społecznych w kwestiach płacowych. Ważne jest też zapewnienie odpowiednich środków na ten cel w budżecie państwa.

OPZZ proponowało, by źródłem finansowania wynagrodzeń pracowników ochrony zdrowia był budżet państwa, a nie środki przeznaczone na świadczenia z opieki zdrowotnej w ramach NFZ. Wnioskujemy także o podjęcie dyskusji na temat procentowego wydzielenia kosztów pracy z kosztów świadczenia zdrowotnego.

OPZZ proponowało, by wynagrodzenia pracowników ochrony zdrowia finansował budżet państwa, a nie NFZ ze środków przeznaczonych na leczenie pacjentów.

W czasie prac nad ustawą o sposobie ustalania najniższego wynagrodzenia zasadniczego pracowników wykonujących zawody medyczne wskazywaliśmy konieczność urealnienia współczynników pracy stanowiących podstawę naliczania podwyżek wynagrodzeń. Największą wadą ostatnio uchwalonego prawa jest wybiórcze traktowanie grup pracowników, którzy na co dzień ściśle współpracują, wykonując swoje obowiązki na rzecz pacjentów. Prawo nie powinno konfliktować.

W ramach zainicjowanej przez ministra zdrowia ogólnopolskiej debaty „Wspólnie dla Zdrowia” 17 stycznia br. przy współudziale partnerów społecznych odbyła się debata poświęcona kadrom w ochronie zdrowia, wynagrodzeniom i nowym zawodom w medycynie. Wspólnym mianownikiem zagadnień pracowniczych w ochronie zdrowia, w tym wynagrodzeń, jest systemowość rozwiązań, co OPZZ wskazywało w dyskusji. Bałagan płacowy, w jakim znajdują się pracownicy ochrony zdrowia, sprawia, że nadszedł wreszcie czas na podejmowanie dojrzałych i odważnych decyzji w tej sprawie.

Autorka jest radcą OPZZ w Zespole ds. Zdrowia, Warunków Pracy i Osób Niepełnosprawnych

AMERYKAŃSKI SEN W TODZE

W USA jeden prawnik przypada już na 300 obywateli, ale nie rozwiązuje to problemów systemu

Mateusz Mazzini

Analizę rynku prawniczego w Stanach Zjednoczonych należy zacząć od umiejscowienia dyplomu z prawa w tamtejszej piramidzie społecznej. Za oceanem, podobnie jak w innych krajach anglosaskich, studia prawnicze traktowane są raczej jak kurs zawodowy niż tradycyjna edukacja uniwersytecka. W Europie przyzwyczailiśmy się, że prawo to kolejny kierunek, na którym naukę rozpoczyna się po ukończeniu szkoły średniej. Owszem, większość krajów Starego Kontynentu utrzymuje jakąś formę państwowej certyfikacji prawa do wykonywania zawodu, jednak najczęściej następuje ona zaraz po studiach i jest praktycznym kursem tego, czego przyszli prawnicy uczyli się na uniwersytecie.

Prawnicy nie podejmują się obrony imigrantów, bo ci najczęściej nie mają pieniędzy.

W Stanach tzw. szkoły prawnicze, czyli wydziały nauk prawnych, są ciałami dużo bardziej niezależnymi od reszty uczelni i działają na skalę wręcz masową. Oferowane przez nie kursy są niejako obok tradycyjnego podziału na studia pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia. W USA prawo to najczęściej kolejna kwalifikacja, kurs zawodowy wybierany przez ludzi mających już w CV dyplomy z nauk politycznych, dziennikarstwa czy ekonomii. Ponadto status dyplomu szkoły prawniczej w ostatnich dekadach bardzo się zdewałowował.

Jak zauważa Jordan Weissmann z magazynu „The Atlantic”, jeszcze w latach 70. prawnik był zawodem prestiżowym, kojarzącym się z ważną misją społeczną, z odpowiedzialnością za współtworzenie wymiaru sprawiedliwości. Jednak w kolejnych latach, wraz z rozrostem sektora usług finan-

sowych i doradczych oraz rozwojem ogromnych korporacji prawniczych, amerykański prawnik przeobraził się niemal w robotnika, wyrabiającego setki godzin w miesiącu nad stosami dokumentów. Dziś młodzi absolwenci szkół prawniczych muszą się liczyć z morderczym wręcz początkiem kariery, pochłaniającym zdecydowaną część ich tygodniowego harmonogramu. Żeby jednak w ogóle myśleć o rozpoczęciu praktyki w zawodzie, muszą się zmierzyć z wyzwaniem jeszcze trudniejszym niż nielimitowany czas pracy. Muszą tę pracę w ogóle dostać, co na dzisiejszym amerykańskim rynku usług prawniczych robi się coraz trudniejsze.

Według danych think tanku Brookings Institution obecnie w Stanach Zjednoczonych jest 1,34 mln prawników. Daje to prawie jednego

certyfikowanego przedstawiciela tej profesji na 300 mieszkańców kraju. Co więcej, w ciągu ostatnich 11 lat liczba ta niemalże podwoiła się, z nieco ponad 750 tys. Do tej grupy zaliczają się oczywiście adwokaci, ale i prawnicy korporacyjni, odpowiedzialni m.in. za obsługę dużych firm i koncernów międzynarodowych. Do tego należy dodać ok. 10% absolwentów szkół prawniczych, którzy nigdy nie podeszli do egzaminów zawodowych, więc przynajmniej w teorii nie mogą praktykować. Te ponad 100 tys. osób często jednak służy jako „podręczna pomoc prawna” wewnątrz struktur firmowych. Pracodawca w ten sposób oszczędza na zewnętrznym doradztwie prawnym, a pracownik nie ma poczucia, że ukończenie jednego z najbardziej wymagających kursów w amerykańskim systemie było bezcelowe.



Amerykański prawnik z prestiżowego członka społeczności przeobraził się niemal w robotnika.

Przy tak ogromnej liczbie prawników pytanie o ich nadprodukcję nasuwa się samo. Czy Ameryka naprawdę potrzebuje aż tylu przedstawicieli zawodów prawniczych? I tak, i nie.

Paul Caron, dziekan szkoły prawniczej Pepperdine University, zwraca uwagę na najważniejsze czynniki zwiększające w ostatnich dekadach zapotrzebowanie na prawników. Zaczyna od tego, że Amerykanie się bogacą, przynajmniej wirtualnie. Cykliczna hossza na rynku nieruchomości sprawiła, że coraz więcej osób decydowało się najpierw na kredyt hipoteczny, a potem na zakup własnego mieszkania bądź domu. W połączeniu z coraz mniejszym wkładem państwa w mieszkalnictwo i spadkiem liczby mieszkań komunalnych spowodowało to, że wielu Amerykanów po raz pierwszy w życiu musiało podpisać tak ważną umowę. Stworzyło to pierwszą falę zapotrzebowania na prawników, którzy w ten sposób z zawodu obecnego w życiu społeczeństwa od święta przekształcili się w doradców życia codziennego.

Jako drugi czynnik Caron wspomina rozwój sektora korporacyjnego. Coraz bardziej rozbudowany system finansowy, wymagający znajomości regulacji prawnych całego świata, potrzebuje



nieustannego wsparcia prawnego. Dlatego w dzielnicach finansowych światła w kancelariach prawniczych palą się równie długo jak te na piętrach bankowców.

Rozrost Wall Street wymógł też zwiększenie zatrudnienia po stronie rządowej, bo trzeba było zacząć dużo dokładniej regulować banki. W administracji stworzono również nowe urzędy nadzorujące, chociażby Biuro Finansowej Ochrony Konsumentckiej, którego pierwszym szefem była wiodąca dziś postać Partii Demokratycznej i przyszła kandydatka na prezydenta USA, senator Elizabeth Warren.

Do tej listy należy dodać poszerzający się katalog praw obywatelskich. Prawa mniejszości seksualnych czy imigrantów są coraz powszechniejszym tematem na salach sądowych, przez co w ostatnich 20 latach niezwykle wzrosła bezwzględna liczba spraw z powództwa cywilnego. Wymusiło to stworzenie nowych specjalizacji wewnątrz samej profesji prawniczej. Dziś na sprawach związanych z wolnościami obywatelskimi najlepsi amerykańscy prawnicy budują kariery.

Nie zawsze oznacza to, że system zapewnia wsparcie wszystkim, którzy tego potrzebują. Doskonałym przykładem jest niedobór prawników w sądach imigracyjnych. Prawna re-

gulacja statusu obcokrajowców, również tych nielegalnie przekraczających południową granicę i chcących ubiegać się o azyl, jest dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości jednym z największych wyzwań. Problemy te nie zostaną jednak prędko rozwiązane, również z powodu braku prawników gotowych brać sprawy w tego typu sądach.

Jak donosi Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (ACLU), w tej chwili kolejka nierozpatrzonej wniosków o uregulowanie statusu obcokrajowców sięga 800 tys., a w ciągu

Co z tego, że amerykańskich prawników liczy się w milionach, skoro tam, gdzie potrzeba ich najbardziej, nie ma ich wcale?

najbliższych dwóch miesięcy – również w konsekwencji trwającego zawieszenia pracy rządu federalnego – może dojść do miliona. Co więcej, ponad 550 tys. spraw czeka na rozpatrzenie w sądach imigracyjnych w stacjach wzdłuż granicy z Meksykiem. Prawnicy nie podejmują się obrony imigrantów, bo ci najczęściej nie mają pieniędzy, by zapłacić za usługę, a wygranie walki z administracją federalną staje się bardzo trudne.

Co z tego zatem, że amerykańskich prawników liczy się już w milionach,

skoro nierzadko tam, gdzie potrzeba ich najbardziej, nie ma ich wcale?

Przesycenie rynku prawniczego w niektórych częściach kraju to kolejny aspekt niewydolności systemu. W samym stołecznym Dystrykcie Kolumbii jeden prawnik przypada na 22 osoby. Z kolei w Nevadzie, Wyomingu i na Alasce prawników wręcz brakuje. Mimo dostępności danych na temat niedoborów w administracji czy firmach prawniczych absolwenci wciąż kierują się przede wszystkim na Wschodnie Wybrzeże. Nawet w małym stanie Delaware na każdy prawniczy wakat co roku przypada 3,8 kandydata. W Massachusetts to już ponad czterech kandydatów, w Vermont – 5,08. Nowy Jork czy liderująca na zachodzie kraju Kalifornia nie mają jeszcze tych wskaźników na tak wysokim poziomie tylko dzięki odpowiedniemu rozwojowi sektora finansowego i ekspansji Doliny Krzemowej. Statystyka ta dość wyraźnie pokazuje, że rynek usług prawniczych podąża przede wszystkim za pieniędzmi, a nie za rzeczywistymi potrzebami obywateli.

Wreszcie kwestią, która dowodzi nierównego rozwoju systemu prawniczego w USA, jest jego skład rasowy. Według danych opublikowanych w ubiegłym roku przez Departament Sprawiedliwości tylko 4,8% prawników w Stanach to osoby czarnoskóre. Białych jest w tym gronie aż 88%. Ta rażąca dysproporcja pokazuje, jak bardzo uzależniony od pochodzenia jest dostęp do zawodu prawniczego. Zaczyna się już w momencie przyjęcia do szkół prawniczych, gdzie odsetki poszczególnych grup rasowych są bardzo podobne. Nie oznacza to, że

dysproporcji tego typu nie można zniwelować. Jeszcze w latach 70. kobiety stanowiły w USA jedynie 5% absolwentów szkół prawniczych, jak podaje portal Above The Law (ang. Ponad Prawem). Dziś niemal co druga osoba (48%) kończąca studia prawnicze w Ameryce to kobieta. Wyrównanie szans jest zatem jak najbardziej realne. Jednak aby to się stało, potrzebna byłaby zmiana całego systemu – z rynkowego na prospołeczny. Niestety, w obecnym klimacie politycznym wydaje się to mało prawdopodobne. ■

Bogdan Galwas

Migracja ludności stała się w ostatnich latach, ze względu na rozmiary, wielkim problemem świata. Miliony ludzi zmuszonych wojną, prześladowaniami albo głodem do porzucenia rodzinnych stron, szuka lepszych warunków życia w nowym miejscu zamieszkania. Wędrowka jest zwykle drogą przez mękę i upokorzenia. W nowym kraju przybysze bardzo rzadko przyjmowani są przychylnie, nie znają języka, brakuje im kwalifikacji, by podjąć pracę. Ich dzieci często z opóźnieniem trafiają do szkół. Wieleletnie życie na zasiłkach pozostawia niezatarty uraz w psychice. Potrzeba kilku dekad, aby ich potomkowie poczuli się jak u siebie w domu, a i to nie jest regułą.

NIERÓWNOŚCI PRZYZYNA MIGRACJI

Mechanizmy uruchamiające procesy migracyjne są złożone. Jednym z nich są wojny i wojny domowe, skutkujące terroryzmem i destabilizacją polityczną, prowadzące często do upadku administracji państw. Procesy takie obserwujemy w wielu krajach, w całych regionach (Bliski Wschód z Irakiem i Syrią), a nawet w skali kontynentów (Afryka z Somalią i Erytreą).

Drugi mechanizm wywołujący migrację ma naturę ekonomiczną. Nieprzerwanie rosną nierówności w uzyskiwanych dochodach i poziomie życia ludzi wewnątrz społeczeństw. Także między krajami obserwujemy zróżnicowanie poziomów życia, które staje się przyczyną migracji. Bardzo ciekawy jest przypadek Polski po wejściu w 2004 r. do Unii Europejskiej. Różnice warunków pracy i życia nie były ogromne, mimo to w kilka lat ponad 2 mln Polaków przeniosło się do krajów Europy Zachodniej. Migracje wewnątrz Unii Europejskiej raczej usuwają napięcia, niż je wywołują. Sytuacja jest inna w przypadku napływu do Europy kilku milionów ludzi z Bliskiego Wschodu (Syrii, Iraku), uciekających z obszarów ogarniętych wojną domową, czy też mierzonej setkami tysięcy migracji mieszkańców Afryki. O ile działania wojenne w tych krajach ustają, a sytuacja polityczna powoli się normalizuje, o tyle mechanizm wywołujący migrację

PRAWDZIWA POMOC DLA AFRYKI

Jesteśmy w stanie zbudować 300 szkół w Sudanie Południowym w ciągu 10 lat i wykształcić nauczycieli

z Afryki do Europy działa nieustająco i coraz silniej.

Afryka jest domem dla jednej szóstej ludności naszej planety, wytwarza nieco ponad 3% nominalnego globalnego PKB, wynoszącego ok. 80 bln dol. Nominalny PKB *per capita* przypadający na mieszkańca Afryki jest pięć i pół razy mniejszy od dochodu przypadającego średnio na mieszkańca globu i 18 razy mniejszy od dochodu przypadającego na mieszkańca Unii Europejskiej. Sytuacja gospodarek państw afrykańskich w regionie poniżej Sahary jest jeszcze trudniejsza. W raportach Banku Światowego kraje strefy subsaharyjskiej (dla przykładu Etiopia, Madagaskar, Mozambik, Niger, Burundi) zajmują ostatnie pozycje, z dochodami nominalnymi PKB *per capita* poniżej 1 tys. dol. Liczba ludności tych krajów dochodzi do 1 mld, przy rocznym przyroście ok. 25 mln obywateli. Produktywność gospodarek jest bardzo mała, a społeczeństwa żyją w głębokim niedostatku. 72% populacji żyje za mniej niż 2 dol. dziennie. To obszar największej biedy na naszym globie. Wyjątkiem jest w pewnym stopniu Afryka Południowa, z rozbudowanym przemysłem wydobywczym, ale i tam silne zróżnicowanie dochodów powoduje, że znaczna część społeczeństwa żyje na progu biologicznego przetrwania.

Można było oczekiwać, że państwa Afryki z granicami wyznaczonymi sztucznie przy podziałach terytoriów między państwa kolonialne, bez uwzględniania więzi plemiennych, kulturowych i religijnych, staną się źródłem nieustających konfliktów i wojen. Tak też się stało. W warunkach zacierania cywilizacyjnego, ogromnego

Dzieci uchodźców z Somalii w jednej ze szkółek prowadzonych przez studentów wolontariuszy z różnych krajów.



rozwarstwienia społecznego, klęsk nieurodządu i głodu, rejestrujemy wybuchy konfliktów plemiennych i religijnych, wojny domowe, ekspansję terroryzmu, upadek administracji państwowych (państwa upadłe) i gigantyczne katastrofy humanitarne.

Morze Śródziemne oddziela Afrykę od Unii Europejskiej, która jest obszarem dostatku, pokoju i bezpieczeństwa socjalnego. Różnica poziomów życia mieszkańców Europy i Afryki tworzy siłę popychającą do migracji na północ. Nie ulega wątpliwości, że miliony ludzi mieszkających w Afryce zrobią wszystko, by znaleźć się na północnym brzegu Morza Śródziemnego. W końcu to nie Ocean Atlantycki. Napływ migrantów do Włoch i Hiszpanii w ostatnich latach to dopiero początek.

Czy kraje Afryki rozwijają swoje gospodarki, rolnictwo, infrastrukturę? Analiza danych potwierdza rozwój. W wielu regionach znaleziono ropę, gaz, złoto i uran. Europejczycy, Amerykanie i Chińczycy (!) inwestują tam w przemysł wydobywczy. Rośnie liczba miejsc pracy. Czy to oznacza, że dystans między rozwijającymi się krajami Afryki a rozwiniętymi krajami Europy maleje, a mechanizm napędzający migrację osłabnie? Niestety nie.



Wielu polityków sądzi, że budując mury i płoty z drutu kolczastego, powstrzymamy napływ migrantów, a przynajmniej spowolnimy jego tempo. Uszczelniając swoje granice, unikamy wewnętrznych problemów związanych z przybyciem setek tysięcy niewykształconych i bezradnych ludzi. Jednak nie rozwiązujemy tą drogą żadnego z ich problemów, odwracamy się i odgradzamy od nich, pozostawiając ich własnemu losowi. Wielu z nas uznaje takie postępowanie za nieetyczne i niemoralne, a dokładniej mówiąc – nieludzkie. Oczywiście nie można setek milionów mieszkańców Afryki przenieść do Europy. Unia Europejska jest solidnym, dobrze pływającym statkiem, ale przeładowana może zatonać. Rozwiązania trzeba szukać w innym miejscu.

EUROPEJSKIE ZASOBY EDUKACYJNE

Różnice między Europą i Afryką dotyczą nie tylko gospodarki, ale również wykształcenia mieszkańców. Dla wielu z nas jest oczywiste, że system kształcenia i poziom rozwoju gospodarczego są dwiema stronami medalu. Łatwo zauważyć, że kraje o rozwiniętych gospodarkach mają

wysoko rozwinięte systemy edukacyjne. Można pójść krok dalej: rozwój systemu edukacji wyprzedza rozwój gospodarki, nie można rozwinąć gospodarki bez należytego wykształcenia społeczeństwa (wyjątkami są państwa posiadające ogromne, łatwe w eksploatacji złoża ropy i gazu, np. Arabia Saudyjska czy Katar). W wielu krajach wartościowymi zasobami, często jedy- nymi, są wykształcone społeczeństwa

Napływ migrantów do Włoch i Hiszpanii w ostatnich latach to dopiero początek.

i systemy kształcenia oparte na doskonale przygotowanych kadrach nauczycieli od przedszkola do uniwersytetu. Przykładem są kraje skandynawskie.

Współczesny, powszechnie akceptowany model systemu edukacji powstał w Europie, w wielowiekowym procesie ewolucji i modyfikacji. Drogę kształcenia podzielono na trzy etapy: poziom podstawowy, średni (czasami dwustopniowy) i wyższy (trzystopniowy). W modelu tym młody człowiek wykorzystuje 15-18 lat życia na dojście do stopnia naukowego dobrego uniwersytetu. Uniwersytety są ostatnim i najważniejszym szczeblem tego systemu kształcenia.

Co więcej, praktyka ostatnich dekad pokazała, że utrzymanie wysokiego poziomu umiejętności specjalisty wymaga ustawicznego dokształcania, zgodnie z zasadami *lifelong learning*, „kształcenia przez całe życie”. Do trójpoziomowych systemów kształcenia dodano nowe, kosztowne narzędzia: studia podyplomowe, MOOC – masowe otwarte kursy online, otwarte zasoby edukacyjne, konferencje, czasopisma i warsztaty naukowe oraz wiele innych.

Współczesne systemy kształcenia w krajach rozwiniętych to twory bardzo złożone organizacyjnie i kosztowne, budowane wiele dziesiątków lat, dysponujące ogromnym majątkiem i budżetem, zatrudniające znaczącą część społeczeństwa. Działanie tych systemów oparte jest na złożonych uregulowaniach prawnych, wypracowanych mechanizmach kształcenia i awansowania kadry na własne potrzeby.

Systemy kształcenia krajów afrykańskich rozwijają się w tempie podobnym do rozwoju gospodarek, pozostając daleko w tyle za Unią Europejską. Aby porównać systemy kształcenia w różnych krajach, UNESCO wprowadziło parametr *school life expectancy*. Jest to mierzona w latach, oczekiwana długość kształcenia dzieci rozpoczynających edukację w danym roku. Dla krajów UE ten parametr mieści się w granicach 16-20 lat. UNESCO raportuje, że w większości krajów na południe od Sahary nie przekracza 10 lat. Dodajmy do tego, że 35 mln dzieci nie jest

tam objętych obowiązkiem szkolnym, a znacząca część porzuca szkołę, nie uzyskując wykształcenia podstawowego*.

Omawiany parametr nie uwzględnia poziomu kształcenia uczniów, wyposażenia szkoły, przygotowania nauczycieli. W rezultacie zróżnicowanie poziomów wykształcenia społeczeństw Europy i Afryki może nawet przewyższa olbrzymie zróżnicowanie produktywności gospodarek, PKB *per capita* i dochodów ludności.

Z powodu braku wykształconych obywateli większość państw Afryki nie jest w stanie wypracować właściwej organizacji administracji państwowej, systemu prawnego i podatkowego, stworzyć elementarnej sprawnej służby zdrowia czy też opisywanego systemu edukacyjnego. ▶

► Ustrój polityczny ma zwykle formę mniej lub bardziej zakamuflowanej dyktatury. W krajach z niewykształconym społeczeństwem nie lokuje się zakładów przemysłu wysokiej technologii. Jeśli są tam bogactwa naturalne – powstają kopalnie i przemysł włókienniczy, wykorzystujące niewykształconych miejscowych pracowników. Porty lotnicze i morskie, stacje radiowe i telewizyjne obsługiwane są przez zagranicznych specjalistów. Pułapka niedorozwoju i biedy wydaje się domknięta, bez wyjścia, bo przecież różnicowanie poziomów wykształcenia społeczeństw utrwala, a nawet pogłębia różnicowanie dochodów.

MOŻEMY SIĘ PODZIELIĆ

Miliony mieszkańców państw Afryki zdają sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji. Warunki życia i marne perspektywy na przyszłość skłaniają setki tysięcy ludzi do porzucenia rodzinnych stron i wędrowki w nieznane, do krajów o rozwiniętych gospodarkach i wysokiej stopie życiowej. Wielu z nich postrzega migrację do Europy jako jedyne wyjście. Zamknięcie portów dla pontonów płynących z Afryki nie jest akceptowalnym rozwiązaniem. Rozwiązaniem było i jest nadal podniesienie poziomu wykształcenia społeczeństw tych krajów. W imię solidarności ludzkiej, a także w trosce o własne bezpieczeństwo, najwyższy czas pomóc krajom rozwijającym się – Afryce w szczególności – w stworzeniu ich własnych systemów kształcenia. Tylko to umożliwi wprowadzenie ich społeczeństw

na drogę szybkiego rozwoju, budowy produktywnych gospodarek i organizacji struktur własnych państw.

W naszym, europejskim rozumieniu krajowy system edukacyjny to sieć specjalnie zbudowanych i wyposażonych budynków szkolnych, kadra wykształconych i godziwie opłacanych nauczycieli, sieć szkół zawodowych

Budując mury i płoty, nie rozwiązujemy żadnego problemu uchodźców.

i technicznych, wreszcie sieć uniwersytetów kształcących prawników, lekarzy, inżynierów i pedagogów. Utworzenie takich systemów w krajach rozwijających się zajmie ćwierć wieku i pochłonie setki miliardów euro. Nasza euroatlantycka cywilizacja, wydająca rocznie – przypomnijmy – setki miliardów euro na zbrojenia, jest w stanie sprostać takiemu zadaniu.

Nasze uniwersytety już teraz mogą utworzyć ścieżki bezpłatnego kształcenia specjalistów, lekarzy, pedagogów, którzy podejmą zadania edukacyjne w swoich krajach. Być może trzeba będzie opłacać przez jakiś czas ich etaty, drukować podręczniki, pomagać tworzyć platformy internetowe, być może trzeba będzie przygotowywać przez dwa lata maturzystów – przyszłych studentów, by podolali trudnym studiom medycznym i technicznym. Mam jeszcze w pamięci program „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Wybudowaliśmy wtedy w bardzo niezamożnej Polsce ok. 1,4 tys. szkół. Teraz, z gospodarką znacznie bardziej rozwiniętą, my, Polacy, jesteśmy w stanie zbudować 300 szkół w Sudanie Południowym w ciągu 10 lat i wy-

kształcić dla nich nauczycieli. Może pójdziemy tą drogą?

Należy w tym miejscu odnotować, że w ostatnich dekadach liczba osób studiujących poza granicami swojego kraju rośnie i obecnie sięga 10 mln. Znaczna liczba studentów z Azji, mniejsza z Ameryki Południowej i Afryki studiuje na uniwersytetach Europy, USA, Australii i Kanady. To dużo i specjaliści wracający do macierzystych krajów z pewnością wnoszą pozytywny wkład w ich rozwój. Jednak nasze uniwersytety przyjmują zagranicznych studentów ze względów komercyjnych. Miejsce studiowania jest dobrze sprzedającym się towarem. Nie ulega wątpliwości, że wolny rynek miejsc studiowania nie rozwiąże problemu wyjścia wielu krajów z pułapki niedorozwoju. Program wyjścia musi być finansowany z funduszy krajów rozwiniętych.

Pilnym zadaniem dla krajów Unii Europejskiej jest uruchomienie programów pomocy krajom rozwijającym się, prowadzących do zorganizowania i wyposażenia własnych systemów edukacyjnych. Uruchomienie i realizacja takich programów to konieczność, jeśli chcemy stworzyć ład światowy wolny od terroru, przemocy i wojen. Naszą gotowość do wysyłania broni i żołnierzy należy zastąpić gotowością kształcenia nauczycieli oraz wyposażania szkół i uniwersytetów.

Bogdan Galwas jest emerytowanym profesorem Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej i wieloletnim członkiem Komitetu Prognoz PAN

* Education at a Glance 2018: OECD Indicators, OECD Publishing, Paris.

ALEKSANDER MAŁACHOWSKI – CZŁOWIEK UNII PRACY

Aleksander Małachowski, wybitny publicysta i gorący patriota, zmarł 26 stycznia 2004 r. Środowisko ludzi związanych z Unią Pracy pamięta, że wraz z Karolem Modzelewskim i Ryszardem Bugajem zakładał Solidarność Pracy, z której w 1992 r. narodziła się Unia Pracy. Był wtedy niezwykle popularny jako twórca oglądanego przez miliony Polaków programu „Telewizja nocą”. Pokazywał biedę i nieszczęścia, które dotyczą ludzi. Próbował im pomagać. Ostro występował przeciwko bezdusznosci władz i nietoleran-

cji. Był symbolem Unii Pracy, która w wyborach w 1993 r. zdobyła ponad 40 mandatów poselskich. Został wicemarszałkiem Sejmu. A później przewodniczącym Unii Pracy (1997-1998). Potrafił jak mało kto gromadzić wokół siebie ludzi. Był autorem projektu budowania „drzewa oliwnego” na polskiej lewicy. Politykę pojmował jako służbę ludziom. Unia Pracy przyznała Mu tytuł Honorowego Przewodniczącego. A co roku wręcza Nagrodę im. Aleksandra Małachowskiego za niezależność dziennikarską.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

ŚWIEŻE KWIATY

Czemu zabójstwo prezydenta Gdańska zrobiło tak wstrząsające wrażenie, taka głęboka była żałoba? Chwila, gdy to się stało, była symboliczna. Brutalność mordu – nóż robi większe wrażenie niż pistolet. Żałoba to polska specjalność, taką mamy tradycję. W końcu ważna była popularność Pawła Adamowicza i powszechność pocucia, że w Polsce bardzo źle się dzieje. Że niszczone jest nasza demokracja, a kraj zatruty nienawiścią i kłamstwem. W tym uczuciu żałoby, żalu, oburzenia kumulują się emocje trzech koszmarnych lat PiS i naszej na nie niezgody. W te dni pokazała się ta Polska, którą kochamy, którą szanujemy. Tych ludzi jest jednak wielu.

Czy to, co się stało, zmieni mapę polityczną? Nie. Tylko strona liberalna będzie jeszcze bardziej poruszona, oburzona i, mam nadzieję, zmobilizowana. A ludzie PiS są już okopani na swoich pozycjach, wierzą w kłamstwa, to wiara niemal religijna. Walka wyborcza będzie więc się toczyć o te 5% wahających się. I tu to, co się stało, może mieć znaczenie.

Czy to, co się stało, zmieni mapę polityczną? Nie.

Po latach ponownie czytam książkę Patryka Pleskota „Niewiadomski. Zabić prezydenta”. Znakomita. Thriller polityczny, a przy okazji świetny klucz do początków Polski między wojnami. Zaczyna się od słów, które brzmią proroctwo. We wstępie autor ostrzega, do czego może prowadzić hejt zalewający Polskę. Zabójstwo Narutowicza poprzedziła spirala nienawiści. Rozkręcała się z coraz większą mocą. Pierwsza część tej książki to zbeletryzowany opis dni, a potem minut poprzedzających mord. Autor, wykorzystując różne punkty widzenia, ukazuje, jak wszystko zmierza do katastrofy. Co za okrutny zbieg okoliczności – morderca wystrzelił do Narutowicza trzykrotnie, jak trzy ciosy zadał morderca prezydenta Adamowicza. I też nie uciekał. Obaj mieli misję do wykonania i liczyli na spektakl. Ale są też ogromne różnice. Eligiusz Niewiadomski był opętany ideą narodową, był niezłym malarzem, zdolnym historykiem sztuki, a morderca Adamowicza prostym człowiekiem, kryminalistą. Jednak w sferze emocji, w poczuciu krzywdy zdają się bardzo do siebie podobni, schemat był ten sam. Niewiadomskiego również podejrzewano o schizofrenię. Ale wtedy też nikt nie miał wątpliwości, że do mordu doprowadziła fala nienawiści. I antysemityzm – Niewiadomski przed Hitlerem uprawiał go w stylu hitlerowskim.

Narutowicz otrzymywał podłe anonimy, dzwonił telefon z pogrozkami. Gdy jechał dorożką, tłum obrzucał go obelgami i kamieniami, nabito mu wielkiego guza na czole. Kilka dni przed zamachem mówił do Piłsudskiego: „Ma pan rację, to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tym, kto karki im deptał i bił po pysku”.

Śmierć prezydenta była szokiem dla Piłsudskiego, to zresztą on miał paść ofiarą zamachu, szczęśliwie dla siebie nie pojechał do Zachęty. W maju 1926 r., uzasadniając obalenie rządu prawicy w drodze zamachu stanu, Piłsudski nazwał to zabójstwo „najcięższą zbrodnią dokonaną w Polsce”. Marszałek doszedł do przekonania, że Polacy nie dorośli do demokracji – w Polsce, przynajmniej na początku, trzeba rządzić za pomocą bata.

W II Rzeczypospolitej temperatura sporu, rozpiętego na podobnych jak teraz biegunach, była gorętsza niż dzisiaj, wylewała się na ulice, było sporo mordów politycznych, ginęli demonstranci, prawicowi pałkarze bili Żydów i socjalistów. Ależ to było kłębówisko! Czasami zastanawiam się, czemu teraz tak gorąca nasza wojna na słowa i na emocje tak rzadko jednak przybiera formy brutalne. Czy oskarżany o rozniesienie mrocznych namiętności internet nie jest rodzajem terapii, agresja wyładowuje się w pisanii? Ale przecież anonimowa podłość w takiej skali też nie jest bezkarna.

Mam wrażenie, że dotknąłem mordu Narutowicza, witając się, a potem żegnając uściskiem dłoni z poetką Kazimierą Iłłakowiczówną. Był środek lat 70., pamiętam spotkanie z nią w Poznaniu, już niewidoma opowiadała mi, że była w ten straszny dzień w Zachęcie. Padł strzał. Zawołała ją jej dawna przełożona, poetka była pielęgniarką w czasie I wojny światowej. Przybiegła, prezydent skołał na jej rękach. Nie mogła potem zmyć krwi z dłoni.

17 lat po egzekucji mordercy pierwszego prezydenta RP Melchior Wańkowicz był na Powązkach, napisał: „Grób na Powązkach spiętrzony gnijącymi kwiatami. Naręcza kwiatów, tony kwiatów. To tu pochowano zabójcę Prezydenta. Wtedy zrozumiałem, że istnieje jeszcze straszniejsza rzecz niż błoto, niż plwocina, które przecie mogą być silniejsze nad stał: to ta zgniła woń hołdu dla obłąkania, dla zbrodni”.

A na grobie Niewiadomskiego nadal są świeże kwiaty.

Szczęśliwe Krakowa przypadki

Ocaleniu od wojennych zniszczeń, systematycznej odnowie zabytków i grupie mądrych polityków miasto zawdzięcza dzisiejszą świetność

Andrzej Kurz

Niektórym przychodzi to z trudnością, ale przecież muszą przyznać, że Kraków stał się jedyną obok Warszawy międzynarodową metropolią w Polsce. A tym, co się nazywa marką, przewyższa nawet stolicę. Spełnia wszystkie kryteria metropolii w tworzeniu wartości i ich promieniowaniu, sile duchowego przyciągania, dostępności komunikacyjnej, sprawności infrastruktury i usług, a nawet podstawowej harmonii rozwoju. Tylko w czystości powietrza wlecze się w ogonie Europy, ale i tu zapowiada w miarę szybką poprawę.

Ten stan rzeczy, zresztą wcale nie zagwarantowany na zawsze, jest wynikiem różnych czynników i osobliwego powojennego rozwoju, a przy tym okoliczności, które można uznać za szczęśliwe. Tylko fatalny zawijas koryta przepływającej przez Kraków Wisły utrudnia jego naturalne przewietrzanie i zawsze będzie osłabiać walkę z destrukcyjnymi czynnikami cywilizacyjnymi.

Chcę jednak tutaj opowiedzieć o kilku przypadkach szczęśliwych, wciąż niedocenianych przez opinię publiczną, celowo niezauważanych przez media i bezmyślnie albo beczelnie fałszowanych przez oślawioną politykę historyczną. O tych tylko przypadkach, których jako stary krakus, przez 70 lat czynny w życiu publicznym tego miasta (to chyba nawet rekord zupełnie przez autora niezamierzony) i wciąż jeszcze żywy, byłem świadkiem i uczestnikiem.

•
Szczęściem największym było chyba to, że nie podjęto wobec Krakowa ani w Krakowie decyzji powstańczej w roku 1944, chociaż w tych samych kręgach, które zdecydowały o samobójczym zrywie Warszawy, o tym myślano. Co nie znaczy, że Kraków przeszedł przez wojnę i okupację szczęśliwie – Niemcy wymordowali prawie 30% jego mieszkańców. Ale

substancja materialna miasta (poza wysadzonymi przez uciekającego okupanta mostami i wiaduktami) pozostała w zasadzie nienaruszona, a nawet została wzbogacona na potrzeby stolicy Generalnego Gubernatorstwa.

I to ocalenie od zniszczenia przez wojnę jest najważniejszym w konsekwencjach przypadkiem, decydującym o dzisiejszej świetności miasta. Na temat tego ocalenia jako rezultatu znakomitego manewru wojsk marsz. Iwana Koniewa krążyły w Polsce Ludowej i krążą dzisiaj różne mity. O tym, co było najbliższe prawdy, dowiedziałem się od samego marszałka w czasie jego dwu- albo trzydniowej wizyty w Krakowie, w czasie której jako I sekretarz miejskiego komitetu partii i przewodniczący Frontu Jedności Narodu (tak to się nazywało) towarzyszyłem mu niemal bez przerwy. Byłem bowiem akurat tym prominentem, który jako tako mówił po rosyjsku, chociaż nigdy nie byłem w Związku Radzieckim dłużej niż dwa tygodnie, i to na młodzieżowych wczasach w Soczi.

Rozmowa o wyzwaniu Krakowa zaczęła się od mojego błędu. Przypuszczałem, że Koniew przebywa w Krakowie już trzeci raz – pierwszy w 1945 r., drugi w 1955 r., kiedy został honorowym obywatelem miasta, i wreszcie teraz, w 20-lecie wyzwolenia. A Koniew spokojnie sprostował: „W 1945 r. nie byłem w Krakowie, operacją dowodziłem z okolic Częstochowy, potem poszedłem dalej”. Potwierdził natomiast, że celem strategicznym jego manewru było jak najszybsze, zaskakujące zajęcie Śląska z możliwie najmniejszymi zniszczeniami górnictwa, na którego dostawy liczyła Kwatera Główna wobec pełnego zrujnowania przemysłu ciężkiego w europejskiej części Związku Radzieckiego. „Ale – opowiadał dalej Koniew – kiedy przedstawiałem plan manewru Stalinowi, ten pokazał na mapie Kraków i powiedział: To stare miasto. Ja tam bywałem u Lenina”. Koniew mówił to w sposób zupełnie naturalny, bez żadnych propagandowych

zadęć i ozdobników. Choć cały czas, we wszystkich opowiadaniach, przejawiał niemal nabożny stosunek do Stalina, lekceważący do Chruszczowa (świeżo wtedy odwołanego) i nienawiść do Berii, na którego w grudniu 1953 r. wydał wyrok jako przewodniczący sądu wojskowego. (Na moje beczelne pytanie, czy Beria został uśmiercony po procesie, popatrzył na mnie uważnie i odpowiedział spokojnie: „Młody człowieku, daję słowo, sądziłszy go żywego i skazali. To był zły i zdemoralizowany człowiek”).

Mogę więc przypuszczać z zupełną niemal pewnością, że Koniew nie dostał od Stalina szczególnego rozkazu ocalenia Krakowa, ale palec wodza wskazujący to miasto na mapie nie oznaczał: „zniszcz je” ani nawet: „potraktuj je obojętnie na drodze do głównego celu operacji”.

Walki wokół Krakowa i bezpośrednio przy zdobywaniu miasta (co trwało dwa dni, trzeba było bowiem przeprowadzić wojska przez głęboko zamrożoną, ale bronioną ogniem maszynowym Wisłę) kosztowały życie ok. 1,9 tys. żołnierzy Armii Czerwonej. Straty w ludności cywilnej Krakowa okazały się przy tym bardzo niewielkie, więcej, bo 79, było rozstrzelanych przez Niemców w ostatniej egzekucji, 15 stycznia 1945 r., mieszkańców dzielnicy Dąbie.

Spotkałem się z Koniewem ten jeden raz. Później dane mi było wielokrotnie, długo i po przyjacielsku rozmawiać z jego ukochaną córką Mają, inżynierem mechanikiem i żoną młodego, bardzo tajnego generała od wojsk rakietowych. Maja wykonywała w Moskwie z zapałem i kompetencją zawód wydawcy przekładów polskiej literatury pięknej, w której była zakochana. Ja zaś zrzędzeniem różnych wypadków wyrosłem na jej starszego kolegę – wydawcę w Polsce. Pozostała w najbliższych, wręcz przyjacielskich stosunkach z Kornelem Filipowiczem i Wisławą Szymborską.

To jedyne spotkanie z Iwanem Koniewem zawdzięcza właściwie Lucja-



18 stycznia 1965 r. Akademia w hali Wisły. Nz. od lewej: Iwan Koniew, Andrzej Kurz, Lucjan Motyka, Czesław Domagała.

nowi Motyce, który pod koniec roku 1964 kończył chwalębnie, po prawie ośmiu latach, swoją krakowską misję I sekretarza komitetu wojewódzkiego partii. Został bowiem kopniakiem w górę mianowany ministrem kultury i sztuki. Ale na wizytę Koniewa do Krakowa przyjechał, ponieważ formalnie partyjne odwołanie nie było jeszcze dokonane. Zdążył więc zdecydować, że to ja będę gospodarzem uroczystości 20-lecia wyzwolenia, choć w KC została już także podjęta decyzja o likwidacji miejskiego komitetu partii (pod skrywanymi zarzutami mojego rewizjonizmu i „odchylenia prointeligencznego”). W związku z tym przybyły

przeniesiono w porozumieniu z władzami Rosji i rodzinami poległych do specjalnego kwartału na cmentarzu Rakowickim (zresztą niedaleko kwatery lotników alianckich strąconych nad Krakowem). Za tą rozważną decyzją stał początkujący wówczas wojewoda krakowski, a wkrótce prezydent Krakowa, prof. Jacek Majchrowski. To był wstęp do jego rządów, trwających już prawie 20 lat, rekordowych w historii tego miasta. I co roku 18 stycznia prezydent Majchrowski z niezbyt okazałą grupą obywateli – tych, co jeszcze pamiętają, że zostali tego dnia w roku 1945 wyzwoleni od codziennej śmierci, i tych, którym

Urząd prezydencki może w końcu małymi krokami doprowadzić do pokrycia całego miasta planem „składanym”. Ale przynajmniej w ostatnich latach śmiały i kompetentny dyrektor od miejskiej zieleni konsekwentnie realizuje długofalowy plan odnowienia parków i skwerów.

W ocaleniu Krakowa początek ma także inny szczęśliwy przypadek. Ważnym czynnikiem uroku i atrakcyjności Krakowa jako metropolii jest znakomity stan wielkiej liczby jego zabytków. Bierze się on stąd, że od roku 1985 Polska przeznaczająca na ich odnowę corocznie ok. 30 mln zł na podstawie wciąż ważnej ustawy przyjętej przez Sejm PRL. Pozwala to odnawiać rocznie ok. 100 spośród kilku tysięcy ważnych zabytków.

Dysponuje tym funduszem i wzbogaca go, wręcz podwaja, Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa powołany przez Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu równo 40 lat temu, w grudniu 1978 r. Mówi się i pisze o tym dziś bardzo mało, nawet w samym Krakowie. Narodziło się wokół powołania społecznego komitetu i jego działalności wiele mitów i nieprawd. W tej sprawie mogę dać świadectwo, tym wiarygodniejsze, że byłem przy powstawaniu komitetu odnowy, a nawet przez wiele lat współkierowałem jego inicjatywami i działaniami w tej mierze.

Warto zacząć od przypomnienia, że już w pierwszej połowie XIX w., kiedy w całej Europie nastąpiła narodziła troska o zabytki historii i kultury, ▶

Od 1985 r. Polska przeznaczająca na odnowę zabytków Krakowa corocznie ok. 30 mln zł na podstawie ustawy przyjętej przez Sejm PRL.

do Krakowa twardogłowy Czesław Domagała, wyznaczony na nowego partyjnego lidera, choć uczestniczył we wspomnianych uroczystościach, to jednak im nie przewodniczył.

Po wielu latach, po upadku Polski Ludowej, w odruchu wielce patriotycznej małoduszności usunięto z Krakowa pomnik marsz. Koniewa (skądinąd wybitny rzeźbiarstwo, prosty i godny, dłuta Antoniego Hajdeckiego). Ale przecież znalazło się szczęśliwsze niż w innych miastach rozwiązanie sprawy symbolicznego cmentarza poległych przy wyzwolaniu Krakowa żołnierzy Armii Czerwonej. Nie zbezczeszczonego ich pomnika ani mogił, lecz z miejsca fatalnie pierwotnie wybranego (przy samym Barbakanie)

wiedza o historii to podpowiada – oddają na cmentarzu część zmarłym w walce o wolny Kraków. Bo w 50. rocznicę, w 1995 r., pamiętała i rozmawiała o tym już tylko Kuźnica.

Agresja i kłamstwo atakowały nie tylko sferę symboli i pamięci. Demokratycznie wybrana, ale terroryzowana przez oszołomów rada miejska nie przyjęła w końcu nowoczesnego i niezbędnego dla życia miasta planu zagospodarowania przestrzennego, przygotowanego pod koniec lat 80. przez światły zespół Zygmunta Ziobrowskiego. Nie była jednak – do dziś zresztą – w stanie opracować i przyjąć innego. Długoletni stan chaosu wykorzystali różni szemrani przedsiębiorcy, zwłaszcza z branży deweloperskiej, za nic mający ochronę środowiska.



Kazimierz Barcikowski przewodniczy sesji Rady Narodowej Miasta Krakowa, 1979 r.

► również w ubożuchnym Krakowie zaczęto intensywnie myśleć i mniej intensywnie działać. A zabytki, z Wawelem włącznie, były w stanie ruiny. Szczęśliwie jednak wskutek tej właśnie krakowskiej biedy nie wyburzono ich do spodu, aby dać miejsce pod kapitalistyczną świetność i rozwój, które do Krakowa długo nie przychodziły. Zachowały się więc w stanie pozwalającym najczęściej myśleć o ich uratowaniu od zupełnego unicestwienia. W 20-leciu międzywojennym opieką niepodległego państwa otoczono przede wszystkim Wawel, ale miasto w ogóle zaczęło dość szybko się podnosić z galicyjskiej biedy.

W Polsce Ludowej zaś, wbrew temu, co lubi się dziś opowiadać, ogromnie wzrosła odwaga, inicjatywa i kompetencja tej krakowskiej inteligencji, która z wojny i okupacji ocalała, i tej, którą owa przedwojenna wykształciła i uformowała. Bo chociaż mieszczański Kraków nie został pupilem władzy robotniczo-chłopskiej, zbudowano w nim najpotężniejszy w Europie kombinat metalurgiczny, dający miastu szczególną w Polsce pozycję. Drugorzędnym argumentem przy podejmowaniu tej decyzji była chęć proletaryzacji społeczności Krakowa. Nie mówiąc już o nieprawdziwej, ale uparcie powtarzanej tezie, że tak ogromny wysiłek całego kraju był skierowany na ukaranie krakowskiego mieszczaństwa. (Pomysły o wyrzucaniu pieniędzy na karanie, a nawet uszczęśliwianie lokalnej społeczności godne są dzisiaj „dobrej zmiany”). Wśród argumentów prze-

mawiających za budowę Nowej Huty były: położenie Krakowa nad Wisłą, która łączyła kombinat ze Śląskiem i zapewniała wodę potrzebną do produkcji, dostatek siły roboczej, a przede wszystkim zaplecze kadrowe, którym tylko Kraków z szybko rozwijającą się Akademią Górniczo-Hutniczą podówczas dysponował. W dodatku, żeby dzisiejszym mitomanom było jeszcze głupiej, wyposażenie huty zamierzano początkowo kupować w Stanach Zjednoczonych, a nie w Związku Radzieckim, skąd (oczywiście obok Śląska) miały płynąć podstawowe surowce.

Kombinat hutniczy, którego budowę „ukarani” przyjęli raczej z entuzjazmem (bo inicjatywa ta przezwyciężała przedwojenną słabość gospodarczą Polski, katastrofalną dla jej wojennych losów), później z mocy arbitralnych decyzji rozbudowywał się w molocha produkującego nie wyjściowe 1,5 mln ton stali rocznie, lecz pięć razy więcej, w dodatku w technologii niszczącej środowisko naturalne. Grozę klęski ekologicznej pogłębiała działalność produkcyjna oddalona o 10 km od krakowskiego Rynku huty aluminium w Skawinie. Ten wielki zakład zbudowano niemal po kryjomu ze względu na wyjątkowe znaczenie militarne produkcji i eksportu tego strategicznego metalu. Przy okazji Skawina truła okolicę straszliwym dla ludzi fluorem.

Wszystko to doprowadziło w drugiej połowie lat 70. do katastrofalnego wręcz zagrożenia zdrowia mieszkańców Krakowa i stanu jego zabytków. I wtedy znów zbiegły się szczęśliwe dla tego miasta przypadki.

Wybuch wolności związany z kryzysem władzy w sierpniu 1980 r. rozbudził opinię społeczną, która zobowiązała władze partyjne Krakowa (szczególny był nacisk ekologów i Komitetu Odnowy Zabytków) do zdecydowania o czymś w ówczesnym systemie niewyobrażalnym. Zlikwidowano tak ważną dla zbrojeń całego obozu, a najbardziej szkodliwą dla zdrowia krakowian, surowcową produkcję huty aluminium w Skawinie, a Hutę Lenina zmuszono do przynajmniej częściowej zmiany priorytetów i uznania ochrony środowiska i człowieka za zadanie pierwszorzędne.

Niemal równocześnie, a nawet trochę wcześniej, słabnąca władza państwowa okazała się gotowa do uznania, że nie tylko odbudowa zniszczonej stolicy, Warszawy, ale i odnowa zabytkowych wartości starej stolicy, Krakowa, jest narodowym obowiązkiem.

Kraków zaś był już do tego zadania przygotowany. Nie tylko bowiem, pobudzany przez swoje autorytety, takie jak Bolesław Drobner, Karol Estreicher czy Jerzy Szablowski, od razu po wojnie podejmował wysiłki – niewystarczające, ale przecież na miarę możliwości materialnych – ratowania zabytków, np. Wawelu, ołtarza mariackiego, Rynku i siedzib uniwersytetu, ale przede wszystkim kształcił kadry historyków sztuki i konserwatorów zabytków. W 1950 r. utworzono przy akademii sztuk pięknych spory wydział konserwacji zabytków. Zaraz po wojnie stworzono też wojewódzki, a następnie miejski wydział ochrony

zabytków i wielką instytucję kierownictwa odbudowy Zamku Królewskiego na Wawelu. Zorganizowano również ogromny, zatrudniający w szczytowym okresie ok. 800 osób, krakowski oddział Pracowni Konserwacji Zabytków zajmujący się nie tylko ich renowacją, lecz także badaniem oraz inwentaryzacją na wielką skalę, przygotowującymi przyszłe możliwości odnowicielskie.

Wtedy właśnie, w roku 1978, skierowano do Krakowa – pozbywając się go z Warszawy, gdzie okazał się jako członek władz centralnych za duży i niewygodny – człowieka, który Krakowa zupełnie nie znał, bo pochodził ze wsi w Kongresówce. Ale wyrósł w Polsce Ludowej na prawdziwego, dobrze wykształconego inteligenta (był przez pewien czas współszefem świetnego wydawnictwa Iskry), a spędzona w akowskim podziemiu wczesna młodość uwarściła go na historię. Nazywał się Kazimierz Barcikowski, a wyznaczony został na I sekretarza krakowskiego komitetu partii.

Spółeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa został powołany 40 lat temu, w grudniu 1978 r.

Barcikowski został namówiony do podjęcia inicjatywy powołania ogólnopolskiego organizmu działającego na rzecz odnowy zabytków Krakowa – sprawy, której nie był w stanie zrealizować ani hamowany przez gospodarko oszczędnego Gomułkę Lucjan Motyka, ani światły i odważny, ale niecierpiany przez Gierka i Ślżaków Józef Klasa. Motyka i Klasa potrafili za to po zwrotach politycznych Października '56 i Grudnia '70 prowadzić w Krakowie odważną lokalną politykę liberalnego otwarcia oraz mecenasu nad środowiskami i instytucjami kultury i nauki. Ta polityka pozwoliła rozwijać się takim talentom jak Lem, Mrozek i Szymborska, Wajda, Swinarski i Jarocki, Kantor, Penderecki czy Demarczyk z Piwnicą pod Baranami oraz wielu, wielu innym.

Kiedy podpowiadałem Barcikowskiemu, żeby w odnowę zabytków Krakowa (czyli Polski) zaangażował miłość własną Gierka, ochoczo odbudowującego Zamek Królewski w Warszawie, stwierdził przewidująco: „Gierek na to się nie zgodzi, ma wobec Krakowa i historii swoje kompleksy, ale pewnie wyznaczy Henia”, czyli prof. Henryka Jabłońskiego, przewod-

niczącego Rady Państwa, wybitnego historyka. Stało się dokładnie tak, jak sobie Barcikowski wykoncypował. Henryk Jabłoński, zarazem przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu (instytucji fasadowej, ale – jak widać – czasami użytecznej), powołał równie ogólnopolskie ciało pod nazwą Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa i wydał manifest głoszący, że Kraków to polski obowiązek. Formy i treści tego wezwania również dziś byśmy się nie powstydzili.

I zaczęło się. Najpierw powstała instytucja hybrydowa złożona po połowie z państwowych prominentów i z intelektualistów oraz znawców problemów krakowskich zabytków. Ale choć przypadki znowu wydawały się Krakowowi sprzyjać, był to już czas załamania polskiej gospodarki, środki na odnowę zabytków nie zostały urzędowo zagwarantowane, krajowe materiały konserwatorskie nie były najlepszej jakości, a dewiz tragicznie

brakowało. Choć krakowscy artyści, Ochman, Rzepiński i inni, zdobywali ich trochę wśród Polonii.

Zaistniały jednak wielkiej wagi argumenty międzynarodowe. W czerwcu 1978 r. centrum Krakowa i dzielnica Kazimierz, a także Kopalnia Soli w Wieliczce, zostały wpisane na pierwszą w dziejach Listę światowego dziedzictwa UNESCO. Był to rezultat kilkuletnich zabiegów i wpływów polskiej dyplomacji inspirowanej w tej sprawie przez Józefa Cyrankiewicza. A w październiku 1978 r. krakowski metropolita Karol Wojtyła został powołany na Stolicę Apostolską, co wzbudziło światowe zainteresowanie Krakowem,

zwiększyło jego markę i atrakcyjność. Znaleźli się potem w Krakowie dziennikarze, którzy do dziś twierdzą, że wpis na listę UNESCO i powołanie SKOZK to rezultat wyniesienia Polaka na Tron Piotrowy, choć daty nijak się nie zgadzają. Kiedy bowiem ogłoszono pierwszą listę UNESCO, nawet kard. König nie myślał o przyszłym papieżu Wojtyśle, a powołanie SKOZK zostało zdecydowane we wrześniu 1978 r., o czym zaświadcza choćby opublikowany przez Wydawnictwo Literackie książkowy zapis niezwyklej narady w krakowskim komitecie partii.

Najważniejsze okazało się jednak nieco późniejsze systemowe załatwienie sprawy finansowania odnowy zabytków Krakowa specjalną ustawą sejmową z kwietnia 1985 r. o Narodowym Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa. Postanawia ona, że Sejm corocznie wprowadza do budżetu odpowiednią sumę, a o jej rozdysponowaniu decyduje społeczny komitet odnowy działający pod patronatem każdorazowej głowy państwa.

Inicjatywę i treść tej historycznej ustawy Kraków zawdzięcza trzem światłym ludziom, (skądinąd wypróbowanym w patriotyzmie żołnierzom ruchu oporu) – dr. Kazimierzowi Barcikowskiemu, prof. Henrykowi Jabłońskiemu i prof. Kazimierzowi Secomskiemu, którzy sprawę doprowadzili do końca. Żeby było ciekawiej, żaden z nich nie urodził się w Krakowie ani nie był z nim związany przed wojną lub po wojnie.

Mimo wszelkich zmian ustrojowych Narodowy Fundusz Rewaloryzacji Zabytków Krakowa i SKOZK trwają do dzisiaj. Co nie znaczy, że nie zmieniły się sam komitet, sposób, a nawet idea jego działania. Nie obyło się bez wstrząsów. Szczególnie po roku 1989, kiedy wprowadzono poważne

Dnia 19 stycznia 2019 roku odszedł w 93. roku życia

Bazyli PIETRUCZUK

CZŁOWIEK, żołnierz, autor m.in. wstrząsającego „Ścierniska”.

Będzie nam brakowało Jego mądrości i życzliwości

Krystyna Badurka-Rytel, Teresa Jakubowska, Halina Matejczuk

► i szczęśliwe zmiany programowe. Ale usiłowano także komitet jako twór niestusznej epoki w ogóle zlikwidować (a wraz z nim gwarancje finansowe całego procesu odnowy). Jednak wszyscy ówcześni prezydenci RP i powoływani przez nich przewodniczący SKOZK zachowali przytomność i odpowiedzialność.

Za to szczególnym osiągnięciem patriotycznych frustratów było pozabawienie sprawców tych szczęśliwych dla miasta przypadków, o których tu piszę, honorowego obywatelstwa. Dotknęło to Koniewa, Cyrankiewicza i Jabłońskiego. A przecież nigdy nie objęto takich honorowych obywateli jak dr Andrzej Ettmayer d'Adelsburg, Henryk Jarosław hr. Clam-Martinic czy Ryszard hr. Belcredi – wiernych sług Habsburgów. Komu dziś cokolwiek mówią ich nazwiska? Ale nikt, nawet za czasów najczarniejszego stalinizmu, z listy honorowych obywateli ich nie wykreślił. Bo tak w dbałych o przyzwoitość społeczeństwach się nie robi.

Szczególną rolę w rozwijaniu działalności Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa odegrał jego długoletni przewodniczący, wybitny historyk



Prezydent Aleksander Kwaśniewski, przewodniczący SKOZK prof. Tadeusz Chrzanowski (z prawej) i dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu prof. Jan Ostrowski w czasie odstonięcia tablic sponsorów rekonstrukcji dziedzińca wawelskiego.

nie tylko nakłady na odnowę krakowskich zabytków, ale i autorytet komitetu oraz jego rola intelektualna w dyskusji nosicieli idei „odnowy dla odnowy” z nowoczesnym myśleniem o historycznym dziedzictwie i jego znaczeniu dla teraźniejszości i przyszłości. Współczesna koncepcja dziedzictwa promowana była szczególnie przez wybitnego uczonego i organizatora, prof. Jacka Purchlę. Na fali zmian ustrojowych doprowadził on do zwołania w Krakowie

aby także centrum tej dzielnicy jako ważny przykład nowoczesnej, otwartej na potrzeby społeczne urbanistyki wpisać na listę zabytków. Inicjatywę tę skutecznie podtrzymały prawicowe organizacje jej mieszkańców.

Charakter wręcz symbolu miała inicjatywa Aleksandra Kwaśniewskiego i Jacka Purchli, która spowodowała przekształcenie na kilka tygodni Rynku Głównego w salon rzeźby Igora Mitoraja, niezwykle w swoim pięknie

W czerwcu 1978 r., dzięki zabiegom Józefa Cyrankiewicza, centrum Krakowa, Kazimierz i Kopalnia Soli w Wieliczce zostały wpisane na Listę światowego dziedzictwa UNESCO.

sztuki i poeta, wywodzący się z „Tygodnika Powszechnego”, prof. Tadeusz Chrzanowski. Człowiek wielkiej mądrości, godności i odpowiedzialności, a także poczucia względności i humoru. Oraz jego zastępca, niezwykle kompetentny i pracowity, a obdarzony konstruktywną wyobraźnią, historyk sztuki, prof. Bogusław Krasnowolski.

Za 10-letniej prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego ogromnie wzrosły

w maju 1991 r. na wysokim, międzyrządowym szczeblu sympozjum Komitetu Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie poświęconego dziedzictwu kulturalnemu Europy. A stworzone przez Jacka Purchlę w roku 1990 r. Międzynarodowe Centrum Kultury umacnia polską obecność w europejskim i światowym dialogu i współpracy kulturalnej, dbając zwłaszcza o lepsze wykorzystanie dziedzictwa i współczesnego potencjału Krakowa w Europie Środkowej i Wschodniej.

Za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, mimo historycznych wysiłków frustratów, którzy ogłaszali prezydenta persona non grata w Krakowie, a osiągnęli skutek wręcz odwrotny, SKOZK pod przewodnictwem prof. Tadeusza Chrzanowskiego, a potem prof. Franciszka Ziejki (wcześniej długoletniego rektora, dobrego gospodarza Uniwersytetu Jagiellońskiego) wzniósł się na szczyty aktywności. W tym okresie sędziwy prof. Stanisław Juchnowicz, jeden z głównych projektantów Nowej Huty, zaproponował,

i śmiałości połączenie przeszłości ze współczesnością, w którą wkracza to magiczne miasto.

Wydaje się wręcz, że funkcjonowanie zespołu prof. Purchli i kilkuletnia już działalność zainicjowanego przez prof. Jerzego Hausnera ruchu intelektualnego, nazwanego Open Eyes Economy, którego celem jest rozwijanie ekonomii wartości oraz jej powiązanie z kulturą, naukami ścisłymi i etyką, daje Krakowowi nowoczesny bodziec rozwojowy. To może być ten szczęśliwy przypadek dla niedalekiej przyszłości, w którą wkracza to magiczne miasto wciąż pod berłem Jacka Majchrowskiego. Tenże w minionych 16 latach pokonywał takich konkurentów jak Jan Maria Rokita, Andrzej Duda, Ryszard Terlecki, którzy po krakowskich klęskach wyborczych robili wielkie i wielce osobliwe kariery w Warszawie.

I jak tu nie mówić o szczęśliwych przypadkach Krakowa, pamiętając także o stosownych jubileuszach.

Andrzej Kurz

Zmarł

Bazyli Pietruczuk

major Wojska Polskiego,
wierny czytelnik „Przeglądu”,
a przede wszystkim dokumentalista
zbrodni „żołnierzy wyklętych”
na Podlasiu

**Rodzinie Zmarłego składamy
wyrazy serdecznego współczucia**

Jerzy Domański i Paweł Dymbicz

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Pan premier Mateusz Morawiecki przyszedł na świat 20 czerwca 1968 r. Jest więc całkowicie zrozumiałe, że Polski dlań przedtem nie było, podobnie jak słońca, powietrza, a nawet matczynej piersi. Od urodzenia do jakiej takiej jego dojrzałości (wątpliwej zresztą, gdyż sam opowiada, że ledwo osiągnąwszy wiek młodzieńczy, zaczął strugać karabiny do boju z komuną) minąć musiało z 15-16 roczków. Krótko mówiąc, świadomym obserwatorem życia w PRL stać się mógł (inna sprawa, czy tę możliwość wykorzystał) około roku 1985, czyli w schyłkowych i dość nietypowych latach PRL. Przedtem, co sam oświadczył, był niebyt, Ziemia zaś była beżładem i pustkowiem; ciemność była nad powierzchnią wód, a na półkach sklepów stały tylko butelki z octem, którym żywili się wszechobecni krwawi siepacze. Jest to wizja tak konsekwentna i spójna, że wręcz ponętna. Ze wstydem więc i niejakim poczuciem winy zmuszony jestem ją nieco zakłócić.

W lipcu 1962 r. ustanowiono przyznawane odtąd co dwa lata, na przemian z nagrodami państwowymi, nagrody ministra kultury i sztuki. W tymże roku dostali je i przyjęli m.in.: w dziedzinie

za dorobek) rozwijali się, kształcili i dochodzili do mistrzostwa za czasów tzw. komuny. Oczywiście była to poniekąd wąska elita narodu. Aliści w tym samym czasie wychodzili z peerelowskich szkół i uczelni również lekarze, nauczyciele, architekci, naukowcy, inżynierowie, robotnicy... Czasem – jak wszędzie – wybitni w swoich zawodach, czasem przeciętni, czasami mniej udani. Można, choć i tutaj serwuje się nam dzisiaj przeraźliwe i wrywane z kontekstu uproszczenia, potępiać ówczesne władze. Jednak 95% Polaków (w tym z różnych względów partyjnych) przeżywało wtedy swoje życie, uczciwie pracowało, wzbogacając kraj materialnie i intelektualnie. To, co dzisiaj się dzieje, co wmawiane jest niestety coraz skuteczniej – wiadomo, „powtarzane kłamstwo staje się wreszcie surogatem prawdy” – jest celowym plugawieniem dorobku tamtych pokoleń, dokonania, bez których skądinąd nas by nie było. Gdzie niby kształcili się bracia Kaczyńscy, podobnie zresztą jak Schetyna – w tym samym Morawieckim niebycie. Przyjeżdżający do Paryża polscy studenci, zgłaszający się do mnie na konsultacje czy seminarium (a priori więc otwarci na świat, skoro

KŁAMCIE DALEJ!

literatury – Tadeusz Różewicz, Stanisław Grochowiak; w dziedzinie teatru – Erwin Axer, Kazimierz Dejmek, Jerzy Pomianowski, Jerzy Gruza, zespół STS; w dziedzinie filmu – Jerzy Kawalerowicz, Kazimierz Kutz, Stanisław Różewicz; w dziedzinie sztuk plastycznych – Jan Lenica, Jerzy Nowosielski, Tadeusz Kulisiwicz; w dziedzinie muzyki – Krzysztof Penderecki, Witold Lutosławski, Grażyna Bacewiczówna, Tadeusz Baird...

W 1963 r. (znów nagrody ministra kultury i sztuki – trochę się władzom w kalendarzu popieprzyło) m.in.: literatura – Jarosław Iwaszkiewicz, Arkady Fiedler, Wisława Szymborska; teatr – Tadeusz Łomnicki, Kazimierz Rudzki; muzyka – Witold Rowicki, Bohdan Wodiczko, Jan Krenz...

W 1964 r. (państwowe) m.in.: Stefan Kieniewicz, Jan Parandowski, Jan Świdorski, Wanda Wilkomirska, Adam Hanuszkiewicz, Ignacy Gogolewski, Aleksandra Ślaska itd.

W 1972 r. (państwowe) m.in.: Teodor Parnicki, Kazimierz Wyka, Jerzy Grotowski, Magdalena Abakanowicz.

W 1973 r. (MKiS) m.in.: Stanisław Lem, Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki, Jerzy Andrzejewski.

W 1974 r. (państwowe): Andrzej Wajda, Daniel Olbrychski, Marian Brandys, Kazimierz Kumaniecki...

W 1979 r. (MKiS): Roman Kłosowski, Roman Wilhelmi, Piotr Fronczewski, Anna Seniuk, Waldemar Świerzy, Henryk Tomaszewski, Jerzy Duda-Grac, Czesław Niemen, Teresa Żylis-Gara, Hanka Bielicka, Mieczysław Fogg.

W latach 1980 i 1981 m.in.: Zbigniew Raszewski, Zbigniew Zaspasiewicz, Gustaw Zemła, Wojciech Kilar, Tadeusz Kantor, Jerzy Tchorzewski, Zygmunt Mycielski, Ryszarda Hanin, Ryszard Ber...

Całkiem niezłe towarzystwo, w którym zaledwie parę osób (Andrzejewski, Rudzki, Fogg) mogłoby powiedzieć, że kontynuowało w PRL karierę międzywojenną. Pozostali (nagrody dawano

ich Stomma nie brzydzi, a nawet chciałoby czegoś się od niego dowiedzieć), z absolutnym niedowierzaniem słuchają, że strukturalizm Lévi-Straussa, tezy Leacha, Levinasa, Barthesa, Derridy czy rewizjonisty Althussera chłonałem w PRL, w końcowych gomułkowskich i gierkowskich czasach. Paryską „Kulturę” także systematycznie czytywałem, nielegalnie, acz bez strachu, że mnie za to cisną w kazamaty. Kiedyś się zgadzało, że byłem w tych czasach prócz Polek, czyli oczywiście zetemesówek, kochankiem m.in. Chinki, zachodniej Niemki, Angielki i Francuzki. Nie mieściło się to im w głowach. Toż przecież izolowano nas surowo od obcokrajowców! Ale ten wątek erotyczny trochę ich uspokajał. No tak, młodość, młodzińcze miłości, miniona już sprawność fizyczna – takie wspomnienia idealizują czasy i pozwalają nawet zapomnieć o siepaczach zza węgla i occie na półkach. To tłumaczy, dlaczego Lévi-Strauss mógł mi się przyśnić i przemieścić w czasie. Lata pamięć mąca. Można mi więc dobrotliwie darować. Bo oni przecież wiedzą. Naprawdę było tak, jak w „Rejsie” Piwowoskiego czy filmach Barei, które nie były kąśliwą, pótsurrealistyczną kpina, ale odzwierciedleniem tamtej rzeczywistości jeden do jednego. Nie zwraca ich uwagi fakt, że taką satyrę można było tworzyć i państwo dawało na to pieniądze. Nic w tym dziwnego, skoro był to po prostu surowy realizm. I właściwie powinienem być im wdzięczny, że z pobłażaniem wysłuchiwali moich bajek. Toż równie dobrze mogliby mnie uznać za postkomunistycznego agitatora, szczytela czerwonego jadu.

Tak doszczętnym zakłamaniem historii może się faktycznie pochwalić IPN, a z nim władze PiS, przedtem PO, jak również lewicy, która tchórzliwie nie starała się przywrócić choćby minimum proporcji. Tyle że plugawienie czasów i biografii koniec końców nie uchodzi bezkarnie. Wchodzi w krew i zatruwa coraz to nowe obzary. Dziwicie się narastającej agresji i nienawiści? Kłamcie dalej!

Rozmawia Michał Sobczyk

W „Ludziach Dobrej Woli” opisałeś społeczność opartą na układach, korupcji, hipokryzji i strachu. Taki obraz Polski powiatowej bierze się z twoich obserwacji czy jest raczej próbą rekonstrukcji mechanizmów społecznych bazującą na medialnych opisach afer i patologii?

– Takie sytuacje mają miejsce nie tylko w Polsce powiatowej. Co w większości dużych miast słysząc np. w spółdzielniach mieszkaniowych? Ich prezesi, rządzący niepodzielnie przez kilkanaście, a niekiedy nawet kilkadziesiąt lat, traktują je jak osobiste folwarki. Ale akurat historia opisana w „Ludziach...” była inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, które miały miejsce 10-15 lat temu w województwie łódzkim. Prezydent zrobił tam z miasta swoistą spółkę z o.o., w której mieszkańcy pracowali na dobrobyt prezesa, zdani na jego łaskę i niełaskę. Zresztą wyrok, który zapada w książce, jest prawie słowo w słowo przepisany z wyroku wydanego we wspomnianej sprawie. Prawie – bo oryginał miał kilkadziesiąt stron.

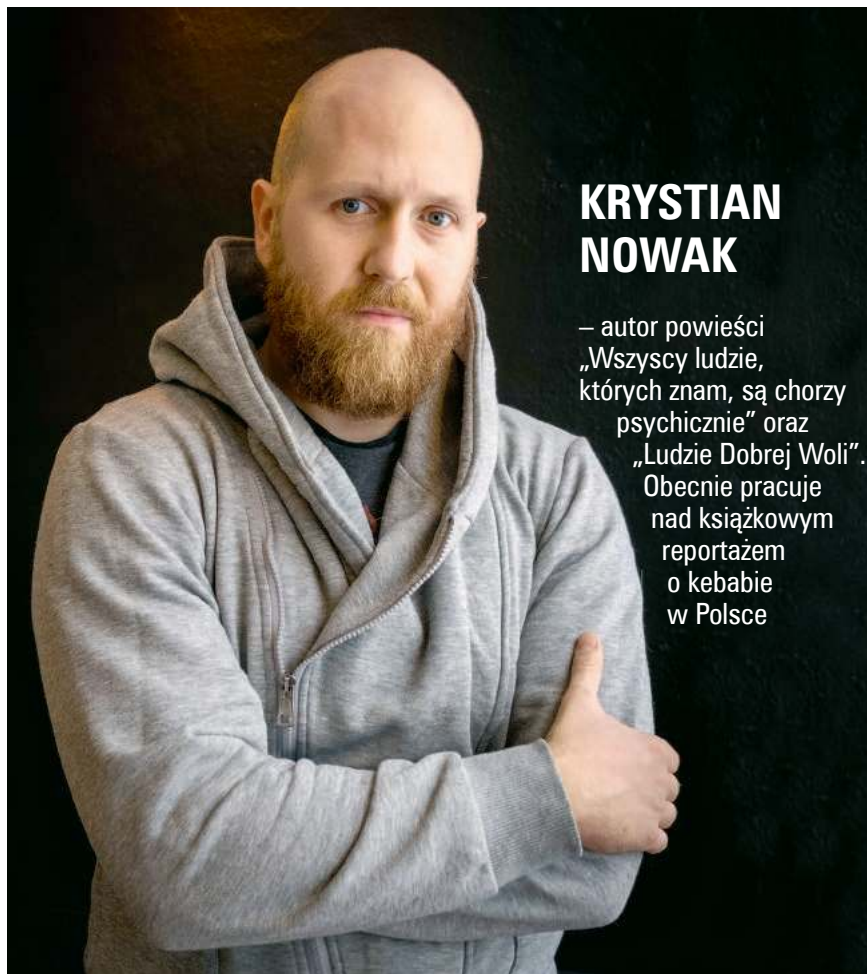
Zależało mi na opisanu nie tylko tego, jak powstaje system zależności na poziomie niewielkiego miasta, ale też jak funkcjonowanie takiego „systemiku” traktuje system właściwy – centralny, tworzony przez prawo oraz jego funkcjonariuszy, w tym przypadku reprezentowanych przez osobę sędziego.

Skąd pomysł, by w czasach, kiedy księgarnie są pełne powieści o intrygach na szczytach władzy, spróbować zainteresować czytelników historią z prowincjonalnego miasteczka, kręcącą się wokół łapówek za pracę oraz tuszowania śmiertelnego wypadku samochodowego? Uznałeś, że ten temat ma potencjał, przyświecał ci cel społeczny, a może pisałeś przede wszystkim dla siebie?

– Jeżeli ktoś nie pisze w większym stopniu dla siebie, to raczej nic dobrego z tego nie wyjdzie. Ludzie wyczuwają fałsz czy koniunkturalizm. Byłem zafascynowany tą sprawą. Nie tylko jej aspektem społecznym, tym, jak to się dzieje, że jakiś człowiek, któremu ludzie zaufali, przekuwa to zaufanie w swego rodzaju

Każdego Edka z czasem zastąpi kolejny

To ludzie są elementem wadliwym, czyli skandal w małym mieście



KRYSTIAN NOWAK

– autor powieści „Wszyscy ludzie, których znam, są chorzy psychicznie” oraz „Ludzie Dobrej Woli”. Obecnie pracuje nad książkowym reportażem o kebabie w Polsce

dyktaturę. Jak je – popularne słowo – monetyzuje. Dodatkowo bardzo mnie interesował aspekt prawnofilozoficzny. Wewnętrzna walka sędziego, który musi wydać wyrok kłopotliwy społecznie, z którym sam niekoniecznie się zgadza, lecz jednocześnie chce pozostać wierny najwyższej wartości w jego zawodzie – zgodności z prawem.

Sędzia Krzesiński jest najbardziej złożonym z twoich bohaterów.

– Wszyscy piszą o prokuratorach, policjantach, detektywach i adwokatach. Wydaje się, że nikogo nie inte-

resuje perspektywa sędziego, bo ten w założeniu powinien być jedynie katalizatorem prawa, a przecież także jest jedynie człowiekiem. Tymczasem dla mnie to on, a nie prezydent miasta, był najbardziej fascynujący – zarówno w oryginalnej historii, z której czerpałem, jak i w mojej interpretacji.

W znanych mi książkach i innych dziełach kultury sędzia zawsze pozostaje postacią jednowymiarową, konkretną do bólu, która ma zadanie do wypełnienia. Głównymi bohaterami dramatów są zawsze inni, a najważniejsza osoba na sali sądowej

pozostaje w cieniu, bo zastanawianie się nad tym, co taka postać w todze może sobie myśleć, mogłoby wywoływać przerażenie obserwatorów. Uświadomienie sobie, że sędziowie mogą mieć własne motywacje, że nie każdy musi tak samo rozumieć przepisy, jednakowo interpretować prawo i odbierać strony konfliktu, który ma rozstrzygnąć, bardzo komplikuje świat.

Wielu mieszkańców miasta, nie tylko cyniczny prezydent, to egoiści lub konformiści, na dodatek mistrzowie w okłamywaniu samych siebie. Co jednak zastanawia, narrator przez większość czasu wykazuje zrozumienie dla ich zachowań, a wątpliwości rozstrzyga na ich korzyść.

– Takie rzeczy jak śmierć dziecka, najstraszniejsze z możliwych, dzieją się nieprzerwanie, można powiedzieć, że na każdym rogu. Jeśli również osoby niezwiązane bezpośrednio z daną tragedią miałyby się nią na poważnie przejmować, angażować emocjonalnie, bylibyśmy wszyscy ludzkimi wrakami. Ignorancja to bardzo często system obronny. Psychiczna immunoterapia.

Oczywiście niektórzy idą krok dalej i nawet nie tyle wypierają zło dziejące się wokół nich, ile racjonalizują je albo usprawiedliwiają. Czasem tak długo, że sami zaczynają wierzyć w swoje tłumaczenia. Bardzo chciałem, aby gdzieś w książce wybrzmiewało pytanie o to, gdzie u dużej części społeczności kończy się bierność, a zaczyna swego rodzaju aktywny syndrom sztokholmski. W którym momencie rządzeni i rządzący zaczynają być szczerze przekonani, że wszystko jest robione dla ich wspólnego dobra, z rzadka tylko różnie rozumianego.

Inny temat powieści można sprowadzić do pytania, jakie stwierdzenie jest trafniejsze: „ryba psuje się od głowy” czy „mamy takich polityków, na jakich zastużyliśmy”. Które z nich jest ci bliższe?

– Nie wiem i trochę o tym jest właśnie moja książka. Przynajmniej ja tak to widzę.

Ważnym fragmentem jest scena, w której teść przyszłego prezydenta daje mu lekcję polityki.

– Teść Edwarda jest twardo stąpającym po ziemi wygą, który w polityce swoje widział i z własnego

doświadczenia wie, co kiedy działa. Bo pewne narracyjne sztuczki działają na scenie politycznej niezależnie od miejsca i czasu, co świetnie pokazuje historia. Szczucie jednych na drugich, wzbudzanie strachu, odwoływanie się do podstawowych wartości i robienie z nich broni przeciwko innym... To wszystko mogliśmy

Rządzeni i rządzący zaczynają być szczerze przekonani, że wszystko jest robione dla ich wspólnego dobra.

obserwować wielokrotnie i jestem pewien, że nieraz jeszcze zobaczymy, bo sprawdza się znakomicie niezależnie od tego, czy próbujemy taką taktykę skutecznie w małym mieście, czy w wielomilionowym kraju.

Starale się pokazać bardziej ogólne prawidłowości socjologiczne i psychologiczne, a nie realia społeczne polskich miasteczek, gdzie na patologie odziedziczone po poprzednim systemie nakładają się nowe pokusy?

– Chciałbym oczywiście, aby moja opowieść miała również wymiar uniwersalny, ale nie pisałem jej z takim zamysłem. Wychodziłem od prawdziwej historii, inspirowałem się nią na tyle, na ile było to możliwe (nie udało mi się np. uzyskać dostępu do akt sprawy).

Czym są zatem „Ludzie Dobrej Woli” – moralitetem, satyrą na Polskę lokalną, baśnią dla dorosłych, powieścią z kluczem?

– Nie mnie to oceniać. Jeśli ktoś odbiera tę książkę w którymkolwiek sposób, dla mnie to jest w porządku. Takie prawo czytelnika, by interpretować czyjąś twórczość w sposób, jaki uważa za właściwy. Im więcej możliwych interpretacji danej książki, tym jest ona lepsza.

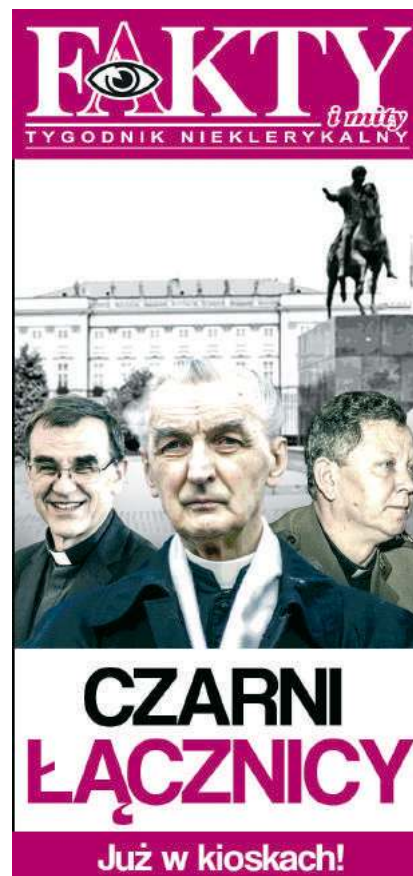
Nie będziemy zdradzać zakończenia, ale nietrudno się domyślić, że żadne rozstrzygnięcie procesu Edwarda Z. samo z siebie nie uzdrowi miasteczka. W czym zatem szukać nadziei?

– Nie sądzę, bym miał kompetencje do rzucania recept na problemy trapiące całe społeczeństwa. Wydaje mi się natomiast, że wina za istniejący stan rzeczy – nie najlepszy, umówmy się – leży po każdej stronie, bo ludzie, tak generalnie, uciekają od odpowiedzialności za innych. To przecież okrutnie obciążające! Świa-

domość, że mamy wpływ na to, jak inni żyją, a czasem nawet jak myślą, nie może na nas się nie odbijać. Nie mówię, że do polityki idą wyłącznie ludzie o socjopatycznej osobowości i ciągłotach autorytarnych. Myślę jednak, że nawet ci, którzy mieli albo mają nadal dobre zamiary, w którymś momencie gubią się w kwestii

tego, jak to wszystko powinno wyglądać, bo przecież są tylko ludźmi i ich perspektywa jest ograniczona. Najgorzej, gdy zostaje wypaczona. **Powinniśmy się pogodzić z tym, że każdego Edka z czasem zastąpi kolejny?**

– Problem jest nawet nie tyle w systemie, ile w ludziach. Żaden system nie powstaje bez ich udziału i żaden system nie może funkcjonować bez nich. A to ludzie są zawsze elementem wadliwym, który w jakimś momencie zawiedzie. Nieważne, ile dobrej woli będzie im przyświecać. ■



KURTYNA W GÓRĘ



NIEZABLIŹNIONE RANY

Ingmar Bergman, „Sonata jesienna”,
tłumaczenie Zygmunt Łanowski,
reżyseria Kuba Kowalski,
Teatr WARSawy, premiera 28 maja 2018

Jesień, smutek, nadciągające chłody i wczesny zachód słońca. Oto sceneria tej mrocznej opowieści, w której dają o sobie znać nigdy niezabliźnione rany. Spotkanie po latach skrzywdzonych córek z matką wirtuozką fortepianu okaże się katastrofą. Nie sposób wymazać z pamięci nagromadzonego bólu.

W centrum tego świata znajdzie się postać Charlotte Andergast, toksycznej matki, która wszystko podporządkowała swojej karierze. Bergman maluje ją z bezwzględnością. Za autorem idzie Aleksandra Justa, budując postać, która budzi żywiołową niechęć. Córką Eva (ekspresyjna Weronika Nockowska), także stawiająca ostrożne kroki jako pianistka, nie jest w stanie dorównać matce. Zamieszkała na odległej plebanii, gdzie swoim neurotycznym zachowaniem też nie wywołuje sympatii, choć to ofiara nieczułej matki, podobnie jak jej oniemiała siostra (Katarzyna Chmielewska). Może najwięcej zrozumienia znajduje u widzów mąż Evy – Wojciech Solarz gra pastora oszczędnie, z głębokim namysłem.

Sceniczna transkrypcja filmu Ingmara Bergmana sprzed 40 lat, w którym walczyły ze sobą Ingrid Bergman (nominowana za tę rolę do Oscara) i Liv Ullmann, choć ryzykowna, okazała się nie tylko możliwa, ale nawet intrygująca. Jej klimat nadal może mrozić krew, a zastąpienie filmowej obrazowości teatralnością dało pożądany efekt. Pusta niemal przestrzeń sceny, choreograficzny, poetycki portret drugiej, zwicniętej umysłowo córki, bliskość obcowania z aktorami przyniosły owoce. Scenariusz Bergmana okazał teatralną siłę.

Tomasz Miłkowski



ZASŁUCHAJ SIĘ

Chór i Orkiestra Akademii Muzycznej
im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku
STANISŁAW MONIUSZKO, STRASZNY DWÓR
DUX

200-lecie urodzin Stanisława Moniuszki wywoła z pewnością wysyp inicjatyw i wykonań jego muzyki. Zaczęła jeszcze przed sylwestrem Polska Opera Królewska, dając szczególnie bogobojną i skróconą wersję „Strasznego dworu”. Druga okazała się Akademia Muzyczna im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku, która pięknie wydała dwupłytowe nagranie tego dzieła. Uczelnia, sama obchodząca 70-lecie, dysponuje orkiestrą i chórem, ma też wybitnych śpiewaków pedagogów. W efekcie nawet pomniejsze role w koncertowym wykonaniu obsadzili sławni artyści, tacy jak Stefania Toczyska, Piotr Kusiewicz czy Ryszard Minkiewicz. Do wykonania krótkiego solo skrzypcowego zaproszono Konstantego Andrzeja Kulkę. Całość poprowadził gdańszczanin z urodzenia, doświadczony Zygmunt Rychert.

Bronisław Tumilowicz

Piotr Schmidt Quartet
feat. Wojciech Niedziela
TRIBUTE TO TOMASZ STAŃKO
SJRecords

Każdy dźwięk przykuwa uwagę. Jest tu i wyjątkowa subtelność, i drapieżność. I fantastyczne wycieniowanie emocji, i bogactwo brzmień trąbki. Piękny album – hołd dla nieodżałowanego trębacza, w dodatku zawierający materiał premierowy, większość muzyki została bowiem zarejestrowana podczas sesji do płyty „Saxesful”, która ukazała się nie tak dawno. To głównie kompozycje członków kwartetu, autorem wprowadzającego „Epilogu” jest zaś wibrafonista Bartek Pieszk – choć mamy też poruszająco zagrany słynną kołysankę Komedy. Niezwykłym klimatem odznacza się „Hollowness”, bardziej chyba należy do świata baśni niż jazzu, „Norm” z kolei to popis perkusisty Krzysztofa Gradziuka, tworzącego kanwę dla pozostałych instrumentów, melodyjnością zachwyca zaś „A Melancholy Routine”.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

ZŁE WYCHOWANIE CAMERON POST

reż. Desiree Akhavan, prod. USA, już w kinach

Miejszem akcji jest zakład terapii konwertywnej w Montanie (legalny, jesteśmy w latach 90.), do którego trafia tytułowa bohaterka, po tym jak przyłapano ją na tylnym siedzeniu auta z koleżanką. Gołym okiem widać, że reżyserka najchętniej puściłaby go z dymem. Jednak zamiast iść na łatwiznę i krzyczeć, że pracownicy ośrodka to oszuści i manipulacze, którzy w imię Boga zbijają kapitał, woli, żebyśmy sami wyrobili sobie zdanie, i pokazuje ich wpływ na młodych ludzi szukających tożsamości. Najstraszniejsze nie jest więc okaleczenie narządów płciowych przez nastolatka próbującego „wyleczyć się” z gejostwa. Najbardziej przerażają wątpliwości rodzące się w głowie samej Cameron, dotąd przekonanej, że wszystko z nią w porządku. Kiedy zaczyna przyjmować argumenty opiekunów, odczuwamy najmoc-



niej, na czym polega zwycięstwo homofobii i mowy nienawiści nad niewinnością. W efekcie „Złe wychowanie...” to nie tylko przejmująca historia i świetna rola Chloë Grace Moretz, ale i mocny komentarz do rzeczywistości, wygłoszony bez hysterii i bez ideologizowania, za to z humorem.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

**Imogen Hermes Gowar
SYRENA I PANI HANCOCK**

tłum. Anna Dobrzańska

Albatros, Warszawa 2019

Kiedy oglądam obrazy niderlandzkich mistrzów, nie mogę oderwać oczu od wzorów tkanin, przejrzystości szkła, pieczętówicie



odmalowanych szczegółów. Z taką samą fascynacją czytam tę książkę – utkana jest z kolorowych detali (autorka studiowała m.in. historię sztuki, a zaczynała od pisania opowiadań inspirowanych eksponatami z muzeum, w którym pracowała). To

one w dużej mierze budują tę raczej mało baśniową opowieść o syrenie – truchetku straszdełku, które kupcowi Hancockowi przywiózł za stracony okręt jego kapitan. Dzięki nim wszystko tu żyje, jest namacalne. Po ulicach XVIII-wiecznego Londynu i Deptford snują się różne zapachy – albo odory, mija się wszelkie ludzkie typy, w tle rozgrywają się jakieś mikrohistorie, sugerowane choćby wzmianką o sprzedawcy artykułów piśmiennych, który za wąskimi drzwiami domku „jakimś cudem zdołał zmieścić swój sklep, żonę, psa i siedmioro dzieci”. Bohaterowie obserwowani są jakby z góry, z lekkim rozbawieniem, a czasem z okrucieństwem. A syrena odmienia ich życie.

Aleksandra Pańko

ZAJRZYJ TU

WYSPIAŃSKI. NIEZNANY

Wystawa gromadzi w większości dzieła i przedmioty z otoczenia Stanisława Wyspiańskiego, które publiczność ogląda po raz pierwszy. Wśród eksponatów znalazły się pastel „Autoportret artysty” i „Portret dra Jana Raczynskiego” oraz liczący niemal 600 pozycji księgozbiór, zakupiony przez muzeum w 1910 r. od wdowy po Wyspiańskim. Ponadto komplet pierwodruków dramatów. Nie zabrakło też mało dotąd znanych prac plastycznych, w tym rysunków z okresu młodości i pasteli z kolekcji m.in. Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Lubelskiego, Muzeum Narodowego w Warszawie, a także ze zbiorów prywatnych.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DO 5 MAJA**JAN KOŁOCZEK – MALOWANE MARZENIA**

Tworzący w Nysie na Opolszczyźnie Jan Kołoczek od najmłodszych lat przejawiał zdolności plastyczne. W szkole średniej po raz pierwszy spróbował malowania na płótnie, a 26 lat temu zaczął rzeźbić w drewnie. Przez lata pracy stworzył niepowtarzalny styl – jego znakiem rozpoznawczym są postacie o bujnych włosach przechodzących w różnorodne, rozbudowane formy przestrzenne. Na wystawie jego prac w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu możemy oglądać 97 rzeźb i 17 obrazów.

WROCŁAW, MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 19 MAJA

REPORTAŻ JEST NIEPOKOJEM

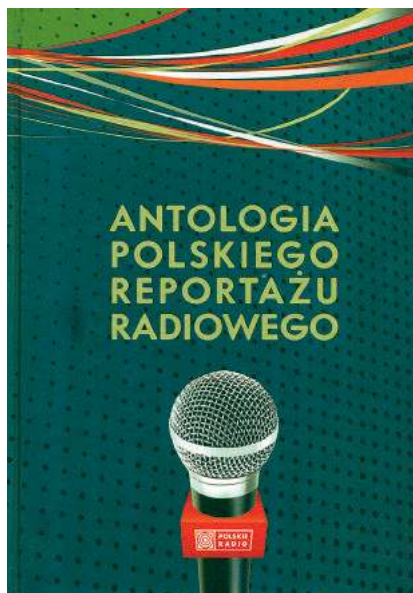
Bronisław Tumiałowicz

Każda audycja zaczyna się słowami: „Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia przedstawia reportaż pod tytułem...”. Podczas spotkania z okazji 20-lecia tej największej „samodzielnej jednostki producenckiej”, które odbyło się w warszawskim Klubie Księgarza, zapowiedziana została przy okazji emisja najnowszego reportażu, już następnego dnia. Redaktorka naczelna Studia Reportażu i Dokumentu Irena Piłatowska-Mądry pozwoliła sobie na delikatny zabieg promocyjny. – To nasz najmłodszy kolega Antek Rokicki, nadzieja mediów – powiedziała. – Jutro możecie państwo posłuchać jego reportażu o Polce w Szwecji, która pracuje w przedszkolu publicznym. Arcyciekawym temat, bo dotyczy gender z pozycji przedszkolanki z Polski i katoliczki. Zorientowała się ona, do czego zmierzały władze oświatowe, wdrażając system każący wyrzucić zabawki identyfikujące płeć, a więc samolociki i laleczki, i zostawić tylko „zabawki środka”, a kobieta postanowiła pozostać uczciwa wobec siebie i Pana Boga. Modliła się więc o odwagę.

SZKOŁA MISTRZÓW

Można oczywiście się zastanawiać, na ile „dobra zmiana” dotarła do reportażu tworzonego dla radia publicznego i czy „nadzieja mediów” nie zbacza zbyt mocno na pozycję bliskie o. Rydzykowi, ale faktem jest, że w Studiu Reportażu i Dokumentu obowiązuje zasada szkoły mistrzów. Najmłodszy uczy się warsztatu od mistrzów tego gatunku. Rozwijane są tradycje polskiej szkoły radiowego reportażu literackiego, którego podwaliny w 1998 r. stworzyła założycielka studia Janina Jankowska, dziś przewodnicząca Rady Programowej Polskiego Radia. To red. Jankowska skodyfikowała zasady tworzenia tej atrakcyjnej formy, dzieląc proces na cztery etapy: temat, tworzywo, montaż, ostateczna obróbka. Pierwszym krokiem jest według niej próba opowiedzenia w jednym zdaniu historii,

Polska widziana
mikrofonem – 20-lecie
Studia Reportażu
i Dokumentu
Polskiego Radia



która będzie stanowić podstawę reportażu. – Nie ma w pracy dziennikarza bardziej fascynujących chwil niż rozmowa z człowiekiem, który powierza nam swoje życie. Tworzenie, a także słuchanie reportażu radiowych jest sposobem poznania świata i nas samych. Przede wszystkim jednak staramy się służyć innym – to dewiza Janiny Jankowskiej. Prowadziła ona kuźnię reportażu do 2004 r., po niej pałeczkę przejęła Irena Piłatowska. To za jej sprawą narodziła się tradycja comiesięcznych „Spotkań z Reportażem Radiowym” w warszawskim Klubie Księgarza na Starym Mieście, gdzie pod czujnym okiem wiecznie zaafetowanego Jana Rodzenia promuje się radiowych twórców i ich dzieło.

Dla słuchaczy pani Irena ma taką zachętę: – Jesteśmy lustrem, w którym odbijają się świat i ludzie. Lustrem, w którym każdego dnia możecie się państwo przeglądać. Na chwilę „zatrzymujemy bieg zda-

rzeń”, by jak najdokładniej, z wielu stron i punktów widzenia, pokazać to, o czym się mówi, to, co jest ważne, to, na co mało kto zwrócił uwagę, a czego przegapić nie warto.

POLSKA W RADIOWEJ PIGUŁCE

Irena Piłatowska robi wrażenie surowej recenzentki poczyną podwładnych. – Dziś trudno skłonić ludzi do uczenia się od starszych – skarży się. – Młodzieży dziennikarskiej wydaje się, że wszystko już wie, ale gdy się trochę rozejrzy, posłucha archiwalnych reportażów naszych klasyków, Krystyny Melion, Jacka Stwory i innych, to nabiera pokory. Młodzi słuchacze są zafascynowani naszymi reportażami historycznymi. Tutaj znajdują prawdę o wydarzeniach sprzed wielu lat.

Prawda jest dostępna. Radio ma ogromne archiwum nagrań i te taśmy są wykorzystywane nieustannie, bo to autentyk. Jedno zdanie naocznego świadka takich wydarzeń jak powstanie warszawskie jest lepsze niż uczone elaboraty. Gdy przyjeżdżali do radia Jan Nowak-Jeziorański i wielu innych, wszystko nagrywano. – Harcerze piszą do nas: „Dziękujemy za lekcje historii od ludzi, którzy historię tworzyli” – dodaje red. Piłatowska.

To, co najcenniejsze w reportażu radiowym, opublikowano na 20-lecie studia we wspaniałej „Antologii Polskiego Reportażu Radiowego”. Na dwóch płytach DVD znalazły się 333 historie unikatowe z punktu widzenia historycznego i estetycznego, warsztatowego, bo nagrodzone w licznych konkursach na reportaż literacki. W grubej księdze, w której płyty umieszczono, mamy zaś katalog „Reportażysty od A do Z”, z biogramami wszystkich lub prawie wszystkich, którzy w tej dziedzinie zapisali się wartościową twórczością.

Jan Smyk, reportażysta radiowy z Białegostoku, redaktor „Antologii” i współautor wyboru, zachwala na uroczystym spotkaniu, że dobrych reportażów jest jeszcze więcej, niż się zmieściło w „Antologii”. – Może nie wszystkie w tym wyborze są takie



Nie ma w pracy dziennikarza bardziej fascynujących chwil niż rozmowa z człowiekiem, który powierza nam swoje życie.

znakomite – kontruje tę opinię surowa red. Piłatowska.

Wydanie „Antologii” nie obyło się bez problemów. – Mieliśmy już zgodę, ale właśnie zmienił się Zarząd Polskiego Radia – opowiada Jan Smyk. – Na szczęście nowy prezes podtrzymał decyzję poprzednika, łącznie z wyasygnowaniem odpowiednich środków. Martwiliśmy się też, jak Agencja Muzyczna Polskiego Radia potraktuje to nietypowe dla niej wydawnictwo, w którym płyty są tylko dodatkiem do książki. Niepotrzebnie. Reportaże w zbiorze zachwyciły mnie. To jest życie od lat 50. ubiegłego wieku do dziś zapisane w niezwykle sposób. Słucha się tego ze zdumieniem. Sądę, że mało kto z państwa wysłucha tego w całości, bo ponad 300 reportaży zajęłoby wiele godzin. Każdy trwa od 17 do 30 minut, ale razem rysują nam obraz zupełnie innego świata, którego już nie ma, którego nie dotkniemy. Jedynie w reportażu radiowym możemy mieć z nim bliski kontakt. Radio działało przecież, gdy nie było jeszcze telewizji, i tutaj jest najwięcej utrwalałych zdarzeń. To nasze dobro narodowe.

JEDNI MÓWIĄ (I NAGRYWAJĄ), A DRUDZY PISZĄ

Inspiracją do stworzenia antologii reportażu radiowego była antologia reportażu drukowanego Mariu-

sza Szczygła. – Pomyślałem – mówi red. Smyk – a dlaczego by nie zrobić czegoś takiego u nas? Ale nam ciężko przychodzi pisanie, łatwiej z dźwiękiem. Dlatego główną wartością naszej antologii są właśnie te dwie płyty. Nie wykluczam, że mogą być radiowcy z dobrym piórem, ale generalnie to nasz problem – wyznaje – radiowcy nie umieją pisać. A ja, absolwent Politechniki Warszawskiej, jestem tego przykładem.

Tworzenie i słuchanie reportaży radiowych jest sposobem poznania świata i nas samych.

Są więc reporterzy z radia, którzy mają problemy z pisaniem, ale są też reporterzy piszący, którzy mają kłopot z mówieniem. Siedząca w pierwszych rzędach Helena Kowalik, świetna reporterka prasowa, notabene swego czasu autorka PRZEGLĄDU, opowiada, jak zaniemówiła podczas ceremonii wręczenia Melchiorów (na pamiątkę Melchiora Wańkowicza), nagród Ogólnopolskiego Konkursu Reportażystów. Wymyśliła go – jakżeby inaczej – Irena Piłatowska-Mądry, a Helena, jako jedna z organizatorek tej imprezy, wybrała się autobusem do Olsztyna, gdzie zapowiedziano uroczystość. Jechała z Janem Rodzeniem, który poczęstował ją czekoladą.

– Na miejscu – wspomina red. Kowalik – okazało się, że wywołują mnie,

wchodzę na scenę nowo otwartej filharmonii i wręczają mi statuetkę Melchiora w kategorii Inspiracja Roku. Trochę zdziwiona, bo ubrałam się zwyczajnie, jak na podróż, odebrałam, a z tyłu słyszę, że trzeba coś powiedzieć, podziękować. Stałam, stałam i dopiero po dłuższej chwili zaczęłam mówić, bo widziałam, jak Irena Piłatowska, która siedziała w pierwszym rzędzie, daje mi radosne znaki, bym się wreszcie otworzyła. Usłyszałam też: „To ta pani, która umie pisać, ale nie umie mówić”. W drodze powrotnej Jan Rodzeń również miał do niej pretensje: „Jak mogłaś się nie domyślić, że otrzymasz Melchiora, przecież nie poczęstowałbym ciebie czekoladą”.

NAGRODY, KONKURSY I ŚPIEW

– Mamy dzisiaj 20. urodziny, będzie wiele zagadek i nagród – Irena Piłatowska-Mądry otwiera spotkanie w Klubie Księgarza. – Będzie też toast i tort.

I już pierwsza zagadka: – Co się zdarzyło 10 stycznia? Jest okrągła rocznica.

Okazuje się, że tego dnia nie tylko powstało studio radiowego reportażu, ale również sto lat wcześniej urodził się największy mistrz i nestor reporterów Melchior Wańkowicz. Nagroda, gorące wydanie „Antologii”, trafia do osoby, która pierwsza podniosła rękę. – Pytanie drugie:

na jakich antenach radiowych emitowane są reportaże? – Na wszystkich! – słychać chóralną odpowiedź. – No, prawie. Są w Jedyńce, Trójce, Czwórce – precyzuje red. Piłatowska.

Między publicznością klubową przeciska się z czerwonym mikrofonem Dorota Piotrowska z Informacyjnej Agencji Radiowej. Jej relacja z jubileuszowego „Spotkania z Reportażem Radiowym” pójdzie na antenę jeszcze tego samego wieczoru, bo radio jest jednym z najszybszych mediów.

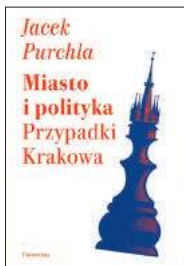
W części artystycznej występuje zespół Studersi, złożony z pracowników Polskiego Radia, głównie reporterów, którzy śpiewają, grają i układają teksty do popularnych melodii. Kieruje nim Jakub Tarka, który

Jacek Purchla

Miasto i polityka Przypadki Krakowa

Universitas, Kraków 2018

Autor tak określa intencje, jakie mu przyświecały przy pisaniu: „Zawarte w książce refleksje dotyczą fenomenu Krakowa w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Trwałość i siła stygmatu stołeczności Krakowa to intrygujący przykład znaczenia dziedzictwa materialnego i niematerialnego jako czynnika rozwoju miasta. Tego niezwykłego zjawiska nie można oderwać od kontekstu politycznego. Relacja pomiędzy miastem a polityką to w przypadku Krakowa nie tylko funkcja polskiego losu! Kraków to także Europa Środką, w której przez 200 ostatnich lat wiele razy zmieniały się granice i systemy polityczne. Doświadczenie Krakowa przypomina, że miasto to proces długiego trwania, ale uświadamia też znaczenie dziedzictwa kulturowego, pamięci i tożsamości dla rozwoju. Pokazuje, jak systemy polityczne i ideologie determinowały kształt procesów urbanizacyjnych. Co wynika z lekcji XX w., ale i z lekcji ostatniego ćwierćwiecza, gdy miasto przeżywa tak gwałtowną zmianę? Na to i inne pytania próbuję odpowiedzieć w artykułach poświęconych Mojemu Miastu”.



Relacja pomiędzy miastem a polityką to w przypadku Krakowa nie tylko funkcja polskiego losu! Kraków to także Europa Środką, w której przez 200 ostatnich lat wiele razy zmieniały się granice i systemy polityczne. Doświadczenie Krakowa przypomina, że miasto to proces długiego trwania, ale uświadamia też znaczenie dziedzictwa kulturowego, pamięci i tożsamości dla rozwoju. Pokazuje, jak systemy polityczne i ideologie determinowały kształt procesów urbanizacyjnych.

Co wynika z lekcji XX w., ale i z lekcji ostatniego ćwierćwiecza, gdy miasto przeżywa tak gwałtowną zmianę? Na to i inne pytania próbuję odpowiedzieć w artykułach poświęconych Mojemu Miastu”.

Polska na Mazurach. 90-lecie dr. Feliksa Walichnowskiego

Wydawnictwo Darczyńcy

Był świadkiem trzech wielkich pożarów Warszawy: w 1939, 1943 i 1944 r. Wojnę przeżył, szmuglując żywność ze wsi do miasta, a latem pał pod łowiczem. W 1945 r., w wieku 15 lat, z białą-czerwoną opaską na rękawie i napisem PKP został wydelegowany do Prus Wschodnich. W Olsztynie mieszkał 70 lat. Na Warmii pracował, później uczył studentów. Był stolarzem, aktorem, dziennikarzem, nauczycielem akademickim, jest literatem. Przez dziewięć lat był redaktorem naczelnym tygodnika „Panorama Północy”.



Pasją Feliksa Walichnowskiego jest pamiętnikarstwo. Sam pisze wspomnienia, głównie o Warmii i Mazurach, był przecież w 1945 r. najmłodszym pionierem, a teraz jest najstarszy wśród nielicznych powojennych osadników i za to został odznaczony Medalem Rodła.

► śpiewa i gra na akordeonie, a ostatnio zrobił m.in. reportaż o Ignacym Janie Paderewskim. Głównymi tematami piosenek są oczywiście radio i reportaż. Zaczyna się nieoficjalnym hymnem Studia Reportażu i Dokumentu na melodię meksykańskiej, ale i okupacyjnej piosenki: „Teraz jest wojna, kto handluje, ten żyje”, z nowymi słowami, „Kto słucha (radia), ten mądrze żyje, na szczyt erudycji też się wybije”. Potem jest piosenka na melodię „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”, poświęcona Jackowi Stworze, nazywanemu też pierwszym huzarem reportażu. Oczywiście słowa brzmią: „Jeszcze jeden konkurs dzisiaj”.

Ogólnopolskie Seminarium Reportażu Radiowego oraz konkursy dla reportażystów. Najbardziej prestiżowy to Ogólnopolski Konkurs Reportażystów Melchiora (kierowany do reportażystów radiowych, telewizyjnych i prasowych), który wieńczy Gala Reportażystów Polskich. Wieloletnią tradycję i wysoki prestiż ma również Konkurs o Grand Prix KRRiT dla reportażystów radiofonii publicznej.

Irena Piłatowska mówi, że pewnym przełomem w rozwoju reportażu radiowego w Polsce była cyfryzacja. Nasze reportaże zdobywały nagrody i wcześniej, kiedy były realizowane techniką analogową, ale

Reportaż jest lustrem, w którym odbijają się świat i ludzie.

I zaraz pytanie do publiczności: – Do kogo jest skierowany Konkurs im. Jacka Stwory? Odpowiedź: – Do młodych reporterów radiowych.

Istotnie, konkurs jest adresowany do młodych (do 35. roku życia) adeptów sztuki radiowej. W przerwach między numerami śpiewanymi dowiadujemy się sporo o osiągnięciach polskich radiowców. A mianowicie, że audycje powstałe w studiu otrzymały i otrzymują najwyższe laury nie tylko w krajowych, ale i w najważniejszych międzynarodowych konkursach: Prix Italia, Premios Ondas i Prix Europa. Studio organizuje też

wtedy mówiono, że polską specyfiką jest bardzo ciekawa tematyka i ten „surowy dźwięk” z XV w. Kiedy i my opanowaliśmy technikę montażu cyfrowego, nasze możliwości zrównały się z innymi radiofoniami.

Koncert kończy piosenka na melodię „Kochać, jak to łatwo powiedzieć” z repertuaru Piotra Szczepanika, do której słowa ułożył reportażysta radiowy Wojciech Markiewicz. Zaczyna się: „Radio, jak to łatwo powiedzieć”, a kończy słowami: „Reportaż jest niepokojem, a my wciąż chcemy marzyć i śnić”.

Bronisław Tumilowicz

Posłuchaj serca i podaruj

1% na dom dla opuszczonych dzieci

SOS WIOSKI
DZIECIĘCE



W SOS Wioskach Dziecięcych mieszkają zastępcze rodziny SOS. Nowy dom znajdują tu dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej. Dzięki wsparciu darczyńców wybudowaliśmy cztery Wioski SOS, w których przygotowujemy dzieci do dorosłego życia. Twój 1% przeznaczymy na zapewnienie dzieciom opieki oraz sfinansowanie specjalnych potrzeb medycznych i edukacyjnych.

Aby pomóc wystarczy wpisać

KRS 0000 056 901

w odpowiednią rubrykę

formularza PIT.

www.wioskisos.org

Muzyka butów

Edward Mikołajczyk

Trzeba mieć sporo zaufania do własnego rozumu, żeby publicznie zabierać głos na temat śmierci. Mało kto ryzykuje, kto ma porządną maturę i umie sobie przedstawić, ile milionów myśli zapisanych w tej sprawie zalega biblioteki całego świata. Pokora wobec dorobku umysłowego naszej cywilizacji paraliżuje współczesnych mędrców i odbiera im śmiałość do wystąpień. Oni najchętniej cytują mniej lub bardziej starożytnych myślicieli.

Z tym większą uwagą warto odnotować wielkiej rangi sukces intelektualny naszego rodaka Adriana Klarenbacha, wcale nie filozofa z zawodu, ale człowieka niespecjalnie uczonego i prostego prezentera telewizyjnego. W niedzielę, 20 stycznia, w programie „Woronicza 17” Klarenbach wypowiedział słowa, które stawiają go w rzędzie koryfeusza nie tylko na Mazowszu. Zaczął tak: „Panowie!”, no bo wyżej już się nie da zaadresować światłej myśli, która zaraz nastąpi. „Mówiąc o śmierci,



Lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, o co chodzi, niż się dowiadywali z przeprosin, że prezenter używa na antenie słów bez celu i bez intencji.

mówimy też o życiu. Co niektórzy by powiedzieli, że jakie życie, taka śmierć, jaka śmierć – takie życie”.

Te dwa zdania Klarenbacha stanowiły istotę zapowiedzi materiału filmowego o zamordowaniu prezydenta Gdańska. Autor słuszenie powołał się tu na poniekórych. Byłem na wielu pogrzebach i mogę potwierdzić, że ludzie, a nawet księża, rzeczywiście tak mówią: jakie życie, taka śmierć. Ale żeby na odwrót: jaka śmierć, takie życie – tego jeszcze nie było, a to jest samo jądro konstruktu Klarenbacha. I tego jądra nie wolno odcinać od autorskiej reszty prezentera TVPiS Info.

Z niewytłumaczalnych powodów jeszcze tego samego dnia odkrywca napisał na Twitterze, że przeprasza wszystkich, którzy odczytali jego słowa jako haniebnne. Oświadczył, że nie były one ani celowe, ani intencyjne. Dalej zacytuje oryginał, bo nie chce się wierzyć, że po południu tak może bredzić człowiek, który przed południem dokopał się w swoim umyśle do transcendentnej prawdy. Napisał Klarenbach: „Ś.P. żył szybko z ludźmi i odszedł z ludźmi. To chciałem powiedzieć”.

To, czyli co?, że zapytam z głupia frant. Napisał Klarenbach, co chciał powiedzieć, ale nie napisał, o co mu chodzi: ś.p. to chyba Paweł Adamowicz. Czy prezydent

Gdańska żył szybko z ludźmi, nie wiem i nie mam zielonego pojęcia, jak coś takiego się robi. Zwłaszcza zaś nie wiem, czy to jest naganne, czy polityczne. Na pewno wiem, że nie odszedł z ludźmi, tylko sam, bo jego jednego zamordowano. Kogo pan jeszcze widział w trumnie, panie Adrianie?! Co pan zjadł na obiad w niedzielę, że panu tak zaszkodziło? Czyj telefon spowodował, że pan ćwierknął bez sensu?

Lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, o co chodzi, niż dowiadywali się z przeprosin, że prezenter programu używa na antenie słów bez celu i bez intencji. Ciekawe, czy są jeszcze jakieś inne, za pomocą

których można się komunikować publicznie?!

Przełożony Klarenbacha, szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosław Olechowski, kiedy dostaje bęcki za obrzydliwe manipulacje, też używa Twittera do objaśniania warsztatu ciemnemu ludowi. Napisał właśnie, że to naturalne, że transmisje w różnych kanałach telewizyjnych mogą się nieznacznie różnić.

W piątek, 18 stycznia, TVN 24 i TVPiS Olechowskiego transmitowały ten sam przemarsz konduktu

żałobnego zdążającego do katedry drogą najważniejszych przystanków życiowych i zawodowych Pawła Adamowicza. W TVN była muzyka dzwonów, niezwykle urody obrazy Gdańska, skupione twarze, pochód, stroje, sceny, dekoracje, tysiące, tysiące ludzi i ani jednego słowa. Przejmujące wydarzenie i nastrój do zapamiętania na zawsze.

W tym samym czasie mobilna kamera TVP przed maską karawanu z trumną prezydenta pokazywała w ciasnym planie przemarsz eskorty honorowej i ruch auta. Ekran często dzielono pomiędzy plener i studio. Słychać było buty i od czasu do czasu studyjne rozmowy o chorych psychicznie, narkotykach w więzieniach i braku kontroli nad zwolnionymi. Czarny mercedes GD 199LL oślepił kamerę i świecił w oczy widzom. To nawet nie było lokowanie produktu w transmisji, to był format dokładnie odwrócony estetycznie i ideologicznie zawrócony.

Mała różnica w muzyce.

Tygodnik PRZEGLĄD w wersji elektronicznej

TANIEJ NIE KUPISZ!
sklep.tygodnikprzeglad.pl

E-WYDANIE 3⁵⁰ zł

Czytaj już w sobotę rano na komputerze, tablecie i telefonie komórkowym. Taniej, wygodniej i bez wychodzenia z domu.

Rozmawia Janusz Michałek

Po nowelizacji w styczniu 2018 r. ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej relacje między Izraelem a Polską wyraźnie się pogorszyły. Wprowadzie później zostały wprowadzone zmiany w tym dokumencie, ale czy podczas pracy duszpasterskiej w kościele św. Piotra w Jafie doświadczył ksiądz skutków tych napięć politycznych?

– Nie o wszystkim wiem i zapewne już nigdy się nie dowiem. Zresztą nie sięgam tak wysoko, koncentruję się na codziennych obowiązkach. Zapewniam, że przy każdej okazji daję jak najlepsze świadectwo o Polsce i o Polakach. Temu służyć będzie również moja nowa książka „Ocaleni z Zagłady”. Znajdzie się w niej kilkanaście dość obszernych wywiadów. Ich wymowa będzie zupełnie inna od tych znanych chociażby z opracowań prof. Tomasza Grossa. To jego prawda. Ja nie wypowiadam się na temat Jedwabnego i podobnych wydarzeń. Moje doświadczenia po prostu są inne. Bóg sprawił, że stałem się człowiekiem dwóch narodowości, czyli człowiekiem wzbogaconym. Dlatego zawsze zależy mi na budowaniu więzi, a nie ich burzeniu.

Dramatyczne losy księdza znają tylko nieliczni. Jednak musimy je przypomnieć, chociaż wiem, że to rozdrapywanie ran.

– Jestem dzieckiem i sierotą Holokaustu. Miałem raptem osiem lat, kiedy wybuchła II wojna światowa. Nazywałem się wówczas Jakub Hersz Griner i wraz z rodziną mieszkaliśmy w Zamościu. Początkowo weszły tam wojska radzieckie, ale niebawem zastąpiły je niemieckie. Mój starszy brat Chaim zdążył się wycofać z Sowietami. Wkrótce zaczął się prawdziwy koszmar. Najpierw zginął ojciec, a ja z mamą i dwiema siostrami zostałem przesiedlony do getta w pobliskiej Izbicy. Podczas jego likwidacji cudem uniknąłem śmierci, chowając się w piwnicy. Nieco później dowiedziałem się, że około tysiąca miejscowych Żydów hitlerowcy przetrzymywali ponad tydzień w remizie strażackiej, a następnie wyprowadzali i rozstrzeliwali na cmentarzu. Tam zakończyli życie moi najbliżsi.

A co działo się z księdzem? Polska była przecież jedynym krajem

JESTEM CZŁOWIEKIEM DWÓCH NARODÓW

Nie wypowiadam się na temat Jedwabnego i podobnych wydarzeń. Moje doświadczenia po prostu są inne



Ks. Grzegorz Pawłowski z najnowszą książką „Świadkowie wiary i miłości”.

Ks. infułat GRZEGORZ PAWŁOWSKI (Jakub Hersz Griner)

– katolicki duchowny ocalały w Polsce z Holokaustu i mieszkający od 1970 r. w Izraelu

w Europie, gdzie za pomoc Żydom karano śmiercią całe rodziny. Najbardziej znanym przykładem jest rozstrzelanie małżeństwa Ulmów oraz ich sześciorga dzieci w Markowej pod Łańcutem.

– Równie dramatycznych historii było dużo więcej. Ja mogę jednak mówić o szczęściu. W Zamościu pomagali mi m.in. Anastazja i Józef Ptasek oraz Anna i Marcin Dubielowie. Później przemieszczałem się między wioskami, pasłem

krowy. Jednak każdy dłuższy pobyt groził dekonspiracją, ludzie bali się przyjąć mnie na stałe. Szukając szansy ratunku, nauczyłem się pacierza, robienia znaku krzyża. Ba, dostałem nawet metrykę chrztu. Dzięki temu parokrotnie uniknąłem śmierci. Po wojnie trafiłem do sierocińca w Tomaszowie Lubelskim. Podczas przygotowań do komunii świętej wyznałem ks. Wacławowi Kosmali, że nie jestem ochrzczony. Dzięki niemu stałem się chrześcijaninem, zostałem nawet ministrantem.

Później znalazłem się w Lublinie. W szacownym liceum im. Stanisława Staszica uczyłem się w szczytowym okresie stalinowskim. Na jednej z organizowanych wtedy regularnie masówek wystąpiłem w obronie brutalnie atakowanego Kościoła. W efekcie otrzymałem rodzaj wilczego biletu. Prowadząca dom dziecka w Puławach s. Klara Staszczak dowiedziała się w kuratorium o moich kłopotach i postanowiła mnie zabrać. Niestety, w gimnazjum im. Czartoryskiego historia się powtórzyła. Bezpieka zagroziła, że jeśli nie będę donosił, mogę zapomnieć o maturze. Oczywiście odmówiłem, ale jakoś zdałem egzamin

dojrzałości. Niebawem poczułem powołanie i w 1952 r. wstąpiłem do seminarium, a po sześciu latach zostałem wyświęcony na księdza. Ponieważ nie miałem własnego domu, siostry benedyktynki uszyły mi sutannę, prały bieliznę, wreszcie urządziły uroczystą prymicję... Dostałem błogosławieństwo, prowadzono mnie pod baldachimem do kościoła.

Czy tragiczne przeżycia wojenne nie zachwiały nigdy księdza wiarą?

– Ta trauma nadal jest w mojej głowie i w moim sercu. Tak pozostanie już do końca. Jednak w żadnym stopniu nie decydowała o wyborze drogi życiowej. Po latach – bodaj jako jedyny na świecie Żyd – otrzymałem od Stolicy Apostolskiej tytuł infułata.

Kiedy podjął ksiądz decyzję o wyjeździe na stałe do Izraela?

– Mnie tu było dobrze, nikt mi nie dokuczał. Jednak ciągle odczuwałem pewien dyskomfort. Przecież prawie nikt nie wiedział, że ksiądz katolicki jest dzieckiem żydowskim. W 1966 r., z okazji Milenium, postanowiłem wszystko ujawnić i napisałem obszerny artykuł o swoim życiu do „Tygodnika Powszechnego”. Wprawdzie ten pomysł nie wszystkim się spodobał, ale los sprawił, że gazeta trafiła też do mieszkającego w Izraelu mojego brata. To przesądziło sprawę. Jeszcze przed wyjazdem postawiłem pomnik z głazów polodowcowych na grobie mamy i sióstr w Izbicy. Zamiast krzyża jest tam kosz z bochenkami chleba i rybami. To symbol chrześcijaństwa. Za zgodą rabina przygotowałem tam również miejsce dla siebie, z napisem po polsku i hebrajsku: „Opuściłem najbliższych w obliczu ich zagłady, aby ratować swe życie. Oddałem je w służbie Bogu i ludziom, powróciłem na miejsce ich męczeńskiej śmierci”.

W Jafie nigdy nie dawano księdzu odczuć, że z racji sutanny i koloratki jest jakby obcy?

– Skądże. Po przyjeździe do Izraela miałem już za sobą ponad 10 lat pracy duszpasterskiej. Idąc na uroczystości żydowskie, nakładałem jarmułkę, a bywało, że następnego dnia udzielałem ślubu katolickiego. Jednak nikt nie posądzał mnie o koniunkturalizm. Niekiedy jeździłem motocyklem do różnych miejscowości uczyć religii. Przez moje mieszkanie przewijało się bardzo wielu Polaków – pomagałem bezdomnym, poszukującym pracy... Na zorganizowaną po raz pierwszy Wigilię z naszymi tradycyjnymi daniami przybyło bodaj 230 osób, sam przebierałem się za Mikołaja i dawałem podarunki. Ksiądz jest od tego, by kochać swoje owieczki. Nigdy nie powiedziałem złego słowa o Polakach, którzy przecież uratowali mi życie. Prawdopodobnie głównie z powodu takiej działalności otrzymałem w 2012 r. tytuł Honorowego Obywatela Puław, a wiosną 2018 r. ta-

kie samo wyróżnienie odebrałem od Rady Miasta Lublina – głównie dzięki staraniom władz KUL oraz bp. Mieczysława Cisły. Sam nigdy o to nie zabiegałem, lecz nie mogłem przecież odmówić.

Ksiądz jest także znany z twórczości poetyckiej. Jednak słyszałem, że wiersze zaczął ksiądz pisać dopiero po ukończeniu 80 lat. Dlaczego tak późno?

– To trochę nie tak. Niemal przez całe życie tworzyłem przy różnych okazjach rymowanki. Natomiast pierwszą książkę wydałem wkrótce

Podczas likwidacji getta cudem uniknąłem śmierci, chowając się w piwnicy.

po nagłej śmierci abp. Józefa Życińskiego, którego ogromnie szanowałem i który również był mi bardzo życzliwy. Wspomnienia zatytułowałem „Sługa Mesjasza”. Miałem też odczyt na KUL, cały wierszowany. Od razu dodam, że nie przyjeżdżam do Polski w celach turystycznych. To są przede wszystkim powroty do źródeł. Niestety, coraz częściej odwiedzam groby dawnych przyjaciół i kolegów. Nie ukrywam, że szczególny sentyment mam do Puław, gdzie się wychowywałem. To moje miasto, a zmarła w 1991 r. s. Klara Staszczak

nadal pozostaje moją matką. Wprawdzie nie biologiczną, ale tą, która wprowadzała mnie w dorosłe życie, udzielała błogosławieństwa podczas mszy prymicyjnej. Jej duch unosi się także w tym pięknym specjalnym ośrodku wychowawczym przy ul. Kowalskiego. Siostry długo zabiegały o ten teren, starały się o środki z Unii Europejskiej. Efekty przeszły najsmielsze oczekiwania. Tu dołączuję swój osobisty „akumulator”, tu umacniam swoją wiarę. Natomiast dawny ośrodek, w którym spędziłem młodość, został już sprzedany i zburzony. Pozostała tylko dziura w ziemi. Jakoś nie miałem odwagi tam pójść.

Obecny pobyt księdza w Polsce ma szczególny charakter.

– Rzeczywiście. Właśnie obchodzę 60-lecie kapłaństwa i objeżdżałem wszystkie parafie, w których pracowałem. Byłem w Żółkiewce, Bobach, Chodlu, Kurowie, Abramowicach... Kiedyś zostawiłem tam dużo serca i zapachu. Wprawdzie minęło już tyle czasu, ale wielu ludzi wciąż mnie pamięta. Przynosili zdjęcia, przypominali różne wydarzenia oraz uroczystości rodzinne. Spotkałem się np. z małżeństwem, któremu udzielałem pierwszego po wyświęceniu ślubu. Jednak to już ostatnie odwiedziny. Czas płynie nieubłaganie i kolejnego tego typu jubileuszu nie będzie...



TOMEK, NIE PODDAWAJ SIĘ, NIE ZASYPIAJ

Spółeczeństwo w Polsce nie rozumie, dlaczego uczestnicy akcji ratunkowej pod Nanga Parbat nie poszli po Mackiewicza. Nie rozumie, że fizycznie to było niewykonalne

Mariusz Sepioto

– Jak się pożegnaliście?
– Uściskaliśmy się serdecznie. Powiedziałam mu: „Tomek, do zobaczenia. Innego scenariusza nie zakładam”. „Tak, widzimy się pod koniec stycznia”. „Pamiętaj, nie napinaj się. Jak trzeba będzie odpuścić, to odpuść”. „No przecież mnie znasz”.

– Max bardzo płakał – pamięta Joanna (była żona). – Prosił Tomka, żeby nie jechał. Potem wspominał: „Przecież tata mi obiecał, że wróci”.

Tomek zawozi Maxa do szkoły, a Tonię do przedszkola. Buziak na do widzenia. Wraca jeszcze do mieszkania Joanny. Żegnają się. (...)

– Pamiętasz ostatni moment przed pożegnaniem?

– Pamiętam. Powiedziałam mu, żeby się nie wygłupiał, że ma po prostu wrócić i już.

W mieszkaniu Joanny Tomek zostawia mały plecaczek, „na później”. W plecaku sweter, bieliznę, kilka drobiazgów. Joanna nie otworzyła go do dziś. Przed odlotem Tomek dzwoni do Częstochowy.

– No, tata, to ja jadę – mówi.

Obiecują sobie, że po powrocie się spotkają.

Dziennikarze o siódmej próbie Tomka Mackiewicza piszą z wykrzyknikami na końcu zdania. Kiedy przypominają, że Nanga Parbat została już zimą zdobyta, dodają: „oczywiście”.

Tomek znowu prowadzi zbiórkę crowdfundingową. Potrzebuje na wyprawę 30 tys. zł. Ale atmosfera tegorocznej wyprawy wydaje się inna, gorsza niż zwykle, pozbawiona tej radosnej, słonecznej energii, którą zawsze – nawet mimo kłopotów – roztaczał wokół siebie Tomek. (...)

Czy ktoś oprócz niego i jego bliskich wierzy, że może mu się udać?

Towarzyszy mu Élisabeth Revol. (...) Tę ostatnią wyprawę polsko-francuski duet zaczyna nieco wcześniej niż poprzednią. W bazie wspinacze stawiają się 23 grudnia 2017 r. Chcą atakować górę częściowo znaną już sobie drogą Messner-Eisendle-Tomaseth. Znowu planują zdobyć Nangę „na lekko”. Prognozy na początku nie są optymistyczne. Wiatr ma osiągać prędkość nawet 135 km/godz.

W tym samym czasie w Karakorum, pod K2, działa polska narodowa wyprawa, której celem jest pierwsze zimowe wejście na ten ośmiotysięcznik. To ona przyciąga na razie uwagę dziennikarzy, nie tylko

Nie zrobią zdjęć, nie nakręcą filmu. Élisabeth Revol będzie zapewniała, że na szczycie znaleźli się o 18.00.

w Polsce. Eli i Tomek w tym roku wysyłają do mediów mniej informacji. W kontakcie ze światem pomagają im znajomi.

– Poznaliśmy się kiedyś z Tomkiem na festiwalu górskim – opowiada mi Jarosław Siedlaczek, który będzie przekazywał wieści z Nangi do Polski. – Później, jako bardziej doświadczony, pomagał mi zbierać pieniądze na wyjazd na Aconcaguę. Chłopak, który zajmował się naszym projektem na Polakpotrafi.pl, polecił mi „wykorzystać” kogoś znanego do promocji. Tomek jako jedyny się zgodził. Nagrał krótki filmik, w którym zwrócił się do widzów, żeby pomogli nam zebrać kasę. Wystąpił mi też kilka zdjęć z autografem, których mieliśmy użyć jako nagród dla wpłacających.

Élisabeth Revol w wywiadzie udzielonym agencji AFP tak opíše start wyprawy:

„Wyjechałam ok. 15 grudnia do Islamabadu, żeby się zaaklimatyzować, mieliśmy dobrą pogodę. Aklimatyzacja wyglądała tak, że wchodzimy trochę wyżej, spędzamy noc, schodzimy, wchodzimy, spędzamy noc, schodzimy – i powtarza się to kilka razy, aż do wysokości 7000 m. Tym razem jednak weszliśmy tylko raz. Więc nie nocowaliśmy ani na 6000 m, ani na 6300, ani 6500. Więc właściwie do 2 stycznia nie zdążyliśmy się zaaklimatyzować. Potem mieliśmy okres bardzo złej pogody, bardzo silny wiatr, co wynika z położenia Himalajów. Góry leżą pomiędzy dwiema pustyniami: z jednej strony mieliśmy front ciepły, z drugiej zimny i ścierały się pośrodku. Więc mocno wiało cały czas. Dwa, prawie trzy tygodnie. Nie mogliśmy wychodzić wyżej z bazy, co najwyżej krótsze trekkingi do lodowca”.

18 stycznia do Polski dociera zaskakująca wiadomość: „Jesteśmy zaaklimatyzowani. Próbuje szczytu”.

Minął silny wiatr, pogoda się poprawia, nie ma na co czekać.

Dwa dni później portal Wspinanie.pl donosi w patetycznym tonie:

„Nico w cieniu doniesień narodowej wyprawy na K2 i wyprawy Alexa Txikona na Mount Everest trwa wspinaczka, którą można zakwalifikować do czystego alpinizmu z całym jego dobrodziejstwem, ale także z nieuchronnie idącym za nim ryzykiem. Francuzka Élisabeth Revol i Tomek Mackiewicz znajdują się ponad granicą 7 tys. m na Nanga Parbat i podjęli próbę zdobycia tego ośmiotysięcznika”.

Próba się jednak nie udaje. Tomek i Eli wracają do obozu II. Atak planują podjąć 25 stycznia. Tak też robią.



28 stycznia 2018 r. Élisabeth Revol po zakończeniu akcji ratunkowej.

Dwa dni później następnym SMS od Tomka: „Jesteśmy na 7300 straszna walka jeśli pogoda dopisze jutro szczyt”.

To kluczowa informacja.

– Jeśli tam byłeś, jeśli wiesz, o co chodzi, to wystarczy ci kilka słów. Krótki komunikat – mówi Marek Kłowski.

– „Straszna walka” – powtarzam ostatni SMS Tomka.

– W zimie w Himalajach „straszna walka” nie oznacza, że jest źle. Oznacza, że jest bardzo źle. (...)

7 tys. m to pułap, ponad którym organizm już się nie regeneruje, nie odpoczywa.

W czwartek 25 stycznia 2018 r. o godzinie 13.20 wielkie chmury zasłaniają widok z bazy. Nie widać Tomka i Eli.

Wspinacze czekają, aż wiatr ucichnie, żeby móc powalczyć o szczyt. (...)

Élisabeth Revol kieruje obiektyw na siebie, mikrofon nagrywa jej słowa w doskonałej jakości. Barwy są nasycone, a kadr szeroki. Przerazający. Na drugim planie ciemna kropka, której kształt niewyraźnie się zmienia: raz przybiera ludzką postać, raz wygląda jak kamień.

Kropką jest Tomasz Mackiewicz.

Z bazy widać teraz dwoje wspinaczy. Są w kopule szczytowej.

Do szczytu pozostaje prawie 100 m w pionie. Jest piąta po południu, niebo wpada w czerwień. Godzina walki ze sobą, z wiatrem,

7 tys. m to pułap, ponad którym organizm już się nie regeneruje, nie odpoczywa.

z rakami, z ciężarem, ze strachem, zwątpieniem, z górą. O 18.00 czasu lokalnego Élisabeth Revol i Tomasz Mackiewicz stają na szczycie Nanga Parbat. (...)

Nie robią zdjęć, nie nakręca filmu. Eli będzie zapewniała, że na szczycie znaleźli się o 18.00, kiedy było już ciemno, a Tomek czuł się coraz gorzej. Nie mieli więc czasu na wyjmowanie aparatu, musieli schodzić.

26 stycznia o 7.00 rano trwa jeszcze cisza.

Godzinę później Janusz Majer – wybitny himalaista, szef programu Polski Himalaizm Zimowy 2016–2020 im. Artura Hajzera (piastował tę funkcję do maja 2018 r.) – informuje, że Eli i Tomek utknęli na wysokości 7400 m po zejściu ze szczytu. W tym

miejscu spędzili noc, zejść jeszcze 200 m niżej.

Tej nocy Eli wysłała SMS-y do bliskich we Francji. Informuje, że z Tomkiem jest źle. Daje mu leki, pokazuje drogę, prowadzi. Tomek wspiera się na jej ramieniu. Ma odmrożony nos, ręce i nogi. Po brodzie spływa mu krew.

O 23.00 czasu miejscowego Eli wysłała wiadomość do trzech osób: swojego męża, przyjaciela Ludovica Giambasiego i Anny, żony Tomka. O 19.00 we Francji i 18.00 w Irlandii adresaci odczytują tekst: „Tomek potrzebuje pomocy. Ma odmrożeń i nic nie widzi. Proszę, wymyślcie coś, skontaktujcie się z Alim. Najszybciej jak się da – helikoptery”. Chodzi o Alego Muhammada, agenta Tomka w Pakistanie. Współpracownicy Eli zaczynają organizować pomoc. Są w kontakcie z Anną.

Spowolnienie, opadnięcie, Tomek, nie poddaj się, nie zasypiaj – tak według Marka mogą wyglądać ostatnie chwile Mackiewicza.

„Wykończył się fizycznie – powie Marek Dominikowi Szczepańskiemu. – Nie wiem, jak to wygląda aż tak wysoko. Wiem, że trochę niżej jest bardzo zimno i że społeczeństwo w Polsce nie rozumie, dlaczego uczestnicy akcji ratunkowej nie poszli po Tomka. Nie rozumie, że nie mogli, że fizycznie to było niewykonalne. Podczas pierwszych dwóch wypraw mnie i Tomkowi nie udało się dojść tam, gdzie Bielecki i Urubko dotarli w kilka godzin, by uratować Élisabeth”. (...)

Anna całą noc spędzi na łączach z rodziną Tomka i wszystkimi, którzy mogą jakoś pomóc. Uduje jej się skontaktować z ambasadą Polski w Pakistanie. Wydobędzie też numer do Adama Bieleckiego, który jest pod K2.

– Ania, nie martw się, Tomek jest harpagan, będzie OK – uspokaja ją Małgosia Sulikowska. O wszystkim dowiaduje się jeszcze w czwartek. Kładzie się spać, przy łóżku zostawia telefon.

Wcześniej rano dzwoni Anna.

– Powiedziała mi, że Tomek nie da rady zejść sam, potrzebne są helikoptery – wspomina dziś Małgosia. – Potrzeba 15 tys. dol. dla Pakistańczyków.

► Godzinę później mowa jest już o 35 tys., jeszcze później – o 50.

Małgosia dzwoni do polskiego MSZ. Tam urzędnicy odsyłają ją jeden do drugiego. Słysz:

„Państwo w takiej sprawie nie działa. Nie opłaca kosztów akcji ratunkowej prywatnego człowieka. Nie ma procedur, nie ma takiego prawa, nie da się”.

„A dyplomacja?”

„Tak, konsul rozmawia w tej sprawie z Pakistańczykami”.

„Ale w ciągu dwóch godzin potrzebne jest 200 tys. zł na helikopter!”

„OK, nie płacie – stwierdza w końcu przyjaciółka Tomka. – Dajcie mi parę godzin i ja te pieniądze zorganizuję”. (...)

Wydzwania do konsula na zmianę z Anną. Ten potwierdza: Pakistańczycy nie ruszą palcem, póki nie zobaczą pieniędzy.

Sulikowska dzwoni do Janusza Majera. I słyszy, że Tomek nie żyje.

– Jakich słów użył Majer? – pytam.

– Żeby się nie łudzić – mówi Małgosia. – Powiedział, że zna realia. I jeśli Tomek ma obrzęk płuc – a tak wynikało z przekazywanych informacji – z ust leci mu piana z krwią, ma śnieżną ślepotę i odmrożenia, to można przyjąć, że w tym momencie już nie żyje.

– Panował wtedy chaos, rozmów było wiele, może więc moje słowa zostały źle zrozumiane, ale na pewno nie stwierdziłem, że Tomek nie żyje – mówi mi Janusz

Majer. – Dopiero później, kiedy poznaliśmy raport lekarza, który leczył

Élisabeth Revol, i dowiedzieliśmy się, jak stan Tomka opisuje sama Francuzka, można było stwierdzić, że doszło do poważnego obrzęku płuc. (...)

Strony internetowe, które wcześniej służyły do zbiórki środków na wyprawę, teraz służą do zebrania pieniędzy na akcję ratunkową.

Już wcześniej w bazie pod K2 zapada decyzja, że trzeba iść kolegom na ratunek. Polacy decydują się pójść po Eli i Tomka, ale czekają, aż znajdą się fundusze. Czas mija. Organizm Tomka z każdą minutą traci ostatki sił.

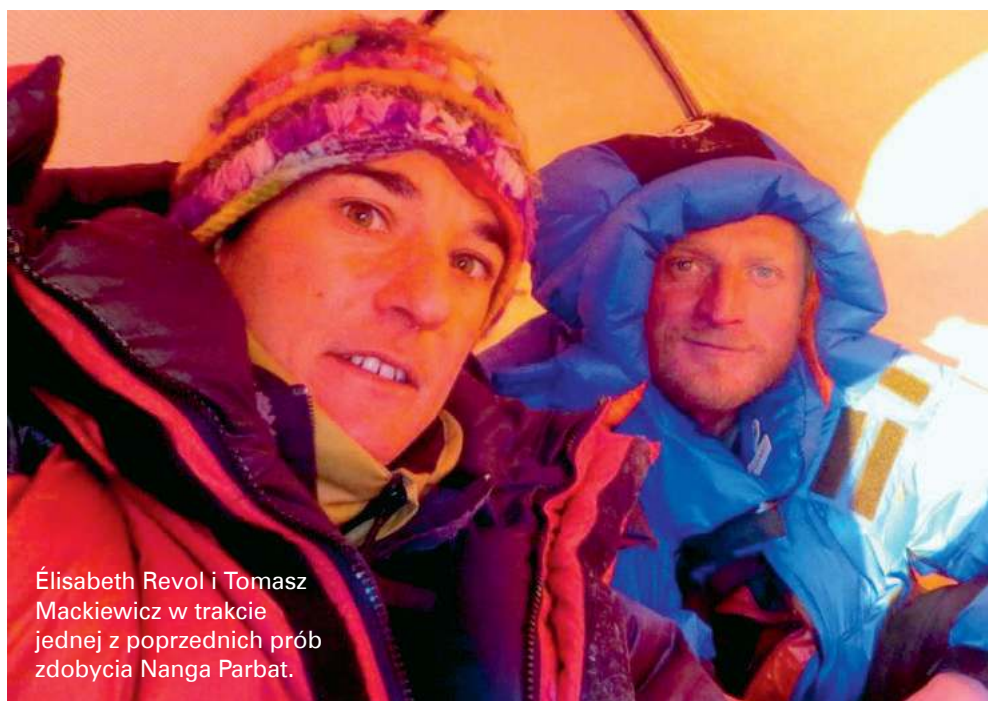
W kilka godzin na portalu crowdfundingowym zostają zebrane pie-

Polacy decydują się pójść po Eli i Tomka, ale czekają, aż znajdą się fundusze. Czas mija.

– W czwartek 25 stycznia wróciłem z zajęć na Uniwersytecie Trzeciego Wieku – wspomina Witold Mackiewicz. – Pomyślałem, że sezon zbliża się ku końcowi, Tomek na początku lutego zwykle już wracał. Wtedy zaczęły się telefony. Co mi zostało? Kolana i modlitwa. Przybiega żona, mówi: „Wituś, ministerstwo pokryje koszty!”. Więc mówię: „Panie Boże, jakiś Ty szybki w działaniu!”.

Rodzice Tomka mają stały kontakt z Anną. Ciągłe wierzą. Wiedzą, że w trudnych momentach Tomek sobie po prostu radził. Że jest silny, mocny, że nic go nie zniszczy. Modlą się. (...)

– Przez kilka wcześniejszych dni omawiano szturmowe wejście



Élisabeth Revol i Tomasz Mackiewicz w trakcie jednej z poprzednich prób zdobycia Nanga Parbat.

dwójki Revol-Mackiewicz, jednakże nasz zespół miał własne zadania, więc 26 stycznia rano Gołąb i ja ruszyliśmy w kierunku trasy Basków, w celu podjęcia dalszych działań – opowiada Denis Urubko. – Planowaliśmy dotarcie do obozu II. Pozostali uczestnicy wciąż pozostawali w bazie.

Urubko zaznacza, że podczas wyprawy starał się jak najbardziej unikać kontaktów przez radio. Wspinając się z Gołąbem, ma je przy sobie, ale ustawione na minimalną głośność. Z radia docierają ciche, rwane komunikaty: „akcja ratunkowa”, „wypadek na Nanga Parbat”.

– Stało się jasne, że komunikaty dotyczą Tomka i Élisabeth – mówi wspinacz. – Godzinę później byłem na wysokości 4950 m. Powiedziałem Krzysztofowi Wielickiemu, że jestem na miejscu. Na początku lista ratowników była inna. Grupa „uderzeniowa” mogła się składać wyłącznie z czterech osób, ze względu na liczbę miejsc w helikopterze. Na razie więc nie wychylałem się, czekałem. Następnego ranka Wielicki zapytał, czy polecę do akcji ratunkowej na Nanga Parbat. Odpowiedziałem, że byłby to dla mnie ogromny honor, móc pomóc Tomkowi i Élisabeth. (...)

Tymczasem z Nangi nie dochodzą żadne sygnały. Himalaiści pod K2 wiedzą już, że prawdopodobnie Revol schodzi sama. Urubko



**W zimie
w Himalajach
„straszna walka”
nie oznacza,
że jest źle.
Oznacza, że jest
bardzo źle.**

rozmawia z Adamem Bieleckim. „Po-
stanowiliśmy wziąć w tym udział bez
żadnych przygotowań”, relacjonuje.

Adam, jako alpinista najlepiej wy-
trenowany i sprawny technicznie, ma
wziąć udział w operacji – jak mówi
Denis – „domyślnie”. Co do udziału
Jarosława Batora, lekarza i himala-
isty, oraz Piotra Tomali, mającego już
doświadczenie w akcjach ratownic-
zych w górach wysokich – też nie
ma wątpliwości. (...)

Helikopter pakistańskiej armii za-
biera wspinaczy w sobotę 27 stycz-
nia rano. Lecą z międzylądowaniem
na tankowanie na lotnisku w Skardu.
Pilot śmigłowca – zawodowy woj-
skowy – wykonuje niebezpieczny,
podziwiany potem na całym świecie
manewr: ląduje w obozie I na wyso-
kości 4860 m. Élisabeth Revol wysy-
ła wiadomość, że będzie się starała
zejść jak najniżej.

Adam Bielecki i Denis Urubko ru-
szają w górę drogą Kinshofera. To-
mała i Botor zostają w obozie I.

– Myślę, że przeceniasz nasze
działanie na Nanga Parbat. Według
mnie było ono normalne – mówi mi
Denis Urubko. – Po pierwsze, byli-
śmy dobrze przygotowani do zdoby-
wania K2. Adam jest niezwykle silny
i wie, jak właściwie przygotować się
do akcji w górach wysokich. Po dru-
gie, dzięki polskiej wyprawie na K2
byliśmy wyposażeni we wszystkie
potrzebne rzeczy: światło, jedzenie.

Poza tym pakistańscy piloci zabrali
nas bezpośrednio do podnóży góry,
nie musieliśmy więc tracić energii
na brodenie w śniegu na lodowcu.
Oprócz tego stan drogi był bardzo
dobry. Mieliśmy też szczęście co
do pogody. W nocy podczas naszej
wspinaczki było spokojnie. (...)

Głównym problemem i źródłem
ryzyka jest to, że nocą nie można
dostrzec faktycznego stanu lin. Gdy-
by jedna z nich była nadszarpnięta,
zniszczona, źle zamocowana – obaj
runęliby w dół. (...)

W kilka godzin himalaiści pokonu-
ją ponad tysiąc metrów przewyższe-
nia, w tym drogę Kinshofera, uwa-
żaną za trudną nawet w przypadku
spokojnego, planowanego wspina-
nia. W ich przypadku czas był naj-
ważniejszy.

„Adam, I have her!!!”, krzyczy De-
nis w ciemność, kiedy zauważa przed
sobą Élisabeth Revol. Jest godzina
2.00 w nocy. (...)

– Czy nie było możliwości ratowa-
nia Tomka? – pytam.

– Każdy uczestnik naszej ekipy
chciał pomóc Tomaszowi. Bez naj-
mniejszych wątpliwości – odpowia-
da Denis. – Próbowaliśmy dotrzeć
do szczeliny, w której pozostawał.
Byliśmy gotowi do działań na wyso-
kości do 7500 m. Całe wyposażenie
osobiste, odzież, „biwuaczka” [na-
miot biwakowy – M.S.] zakładało na-

Organizm Tomka z każdą minutą traci ostatki sił.

szą zdolność do spełniania naszych
czynności na wysokości w ciągu
czterech-pięciu dni. A zatem od sa-
mego początku cel zadania został po-
stawiony w ten sposób – do Mackie-
wicza! Ekipa nie zamierzała walczyć
o mrzonki. Byliśmy przekonani, że
jesteśmy w stanie dotrzeć do miej-
sca przebywania Polaka. Jednakże
kwestia pomocy była zależna nie tyle
od nas, ile od tego, ile czasu Tomek
trwał w stanie krytycznym, i czy będą
odpowiednie warunki pogodowe, by
śmigłowiec mógł „podpiąć” go u gó-
ry. Co więcej, po tym, gdy pozostał
nieprzytomny, sam, ciężko było usta-
lić jego lokalizację.

Podczas spotkania z polskimi czy-
telnikami na Warszawskich Targach
Książki Denis Urubko, zapytany o to
samo, rozwinie swoją myśl bardziej

konkretnie. „Mieliśmy wybór – ra-
tować żyjącą jeszcze osobę, spro-
wadzić ją bezpiecznie na dół, lub
zaryzykować jej życie, iść do góry,
po omacku szukać człowieka, który
od kilkudziesięciu godzin pozosta-
je nieprzytomny, bez gwarancji na
szczęśliwe zakończenie”. (...)

Himalaiści chronią się w namio-
cie. Élisabeth jest skrajnie wyczer-
pana i odmrożona. Dostaje jedzenie
i coś ciepłego do picia. Odpoczywa-
ją cztery godziny. O 7.00 rano rusza-
ją w dół.

Eli jest bezpieczna. (...)

Polski Himalaizm Zimowy wyda-
je komunikat: „Ambasada Polska
w Pakistanie organizuje na jutro rano
(ok. godz. 10.00) śmigłowiec. Warun-
ki pogodowe uniemożliwiają dalszą
akcję ratunkową. Śmigłowiec ma za-
brać Élisabeth oraz czwórkę himala-
istów do Skardu. Następnie Élisabeth
zostanie przetransportowana do Isla-
mabadu, a członkowie ekipy ratunko-
wej będą oczekiwać na transport do
bazy pod K2 (najpewniej pojutrze)”.

10 lutego Anna opublikuje na pro-
filu facebookowym Tomka podzięko-
wania dla ekipy ratunkowej i Eli.

„Chciałabym wyrazić moją głębo-
ką wdzięczność Élisabeth Revol za
pozostanie przy Tomku tak długo,
jak tylko było to możliwe, za spro-
wadzenie Go tak nisko, jak to było
możliwe, za podjęcie natychmiast
walki o uratowanie Go, za sło-
wa pocieszenia dla mnie, które
w sytuacji tak dramatycznej za-
równo dla Tomka, jak i dla niej
samej była w stanie skierować
do mnie, aby przekazać mi, że robi
(...) wszystko, aby Mu pomóc. Zrobi-
ła dla Niego wszystko, co w jej mocy,
do tego momentu, w którym musiała
kontynuować walkę o ocalenie także
swojego życia.

Nie jesteśmy w stanie wyobrazić
sobie dramatyzmu sytuacji, w jakiej
się znalazła, ani moralnego tragicz-
nego wyboru, jakiego musiała do-
konać. Nie mamy prawa oceniać”,
napisze. (...)

Fragmenty książki
Mariusza Sepioly *Nanga
Dream. Opowieść o Tomku
Mackiewicz*, Znak,
Kraków 2018



Wiesław Kot

TVP 1 pokazała niedawno pierwszy odcinek programu „Sanatorium miłości”, gdzie państwo zaawansowani wiekowo dobierają się w pary. A przecież to tylko kropelka w oceanie ofert z dopiskiem 60+.

Do finansowego rozporządzenia senior nie ma wiele. Emerytura najczęściej wypłacana przez ZUS w 2018 r. to 906 zł netto, choć statystycznie rzecz biorąc, emeryt dostaje na rękę dwa razy więcej. Pieniądze wprowadzie marne, ale stałe i pewne. Nic dziwnego, że mnóstwo instytucji

sierdza Bożego w sanktuarium w Łagiewnikach i zwiedzaniem domu św. Jana Pawła II w Wadowicach (plus kremówki). Dla chętnych jest też Nowa Huta i spacer po placu Reagana (do niedawna Lenina), bo część pielgrzymów ma jednak miłe wspomnienia z OHP...

A może senior w wolnym czasie wolałby postudiować? Ależ nic prostszego! W samym Poznaniu działa aż pięć „uniwersytetów trzeciego wieku”. Sekcji i kierunków – zatrzęsienie. Od aquagimnastyki i *slow flow* (cokolwiek to znaczy) przez witraż, filc i plecionkarstwo po brydż i genealogię. Łódzkie centra aktywnego



Oferta last minute

Cała Polska dogadza seniorom

występuje z propozycją, by nawet te niewielkie kwoty zagospodarować z obopólną korzyścią.

PIELGRZYMKOWYCIECZKA DO NOWEJ HUTY

Senior dysponuje nadwyżką wolnego czasu. Dlaczego więc nie wyprawiać się w podróż, do których zapraszają wyspecjalizowane biura? Ci, którzy odłożyli najwięcej, mogą się przelecieć na dwa tygodnie choćby do Nowej Zelandii czy Australii za przeszło 20 tys. zł. Znacznie taniej (3 tys. zł) kosztuje tydzień w Gruzji, Norwegii, a nawet na Wyspach Kanaryjskich. Seniorzy wczasują się chętnie także po linii religijnej. Przyzakonne, np. pallotyńskie, czy przyparafialne biura podróży oferują tygodniowy Izrael i Palestynę (3,2 tys. zł). Pielgrzymkowycieczka do Gruzji i Armenii „śladam i św. Nino” to ok. 4,5 tys. zł (w tym „degustacja koniaku w Erewaniu”). Za ok. 1,5 tys. zł można już wyruszyć „szlakiem Trylogii”: od Przemyśla przez Lwów, Zbaraż po Kamieniec Podolski i Chocim. Zwiedzanie rozpoczyna lub wieńczy codzienna msza. To zupełnie jak na trasie pielgrzymkowycieczki „śladam i św. Siostry Faustyny, św. Jana Pawła II i św. brata Alberta”. Tu „piękny krajobraz” Jury Krakowsko-Częstochowskiej bywa dosmaczany koronką do Miło-

seniora dokładają do tego „akademii robotyki” z występami „Cheerleader 60+” czy „Latających Babć” oraz wykłady, np. „Komunikacja miejska podczas II wojny światowej”. Są one co najmniej tak ciekawe jak te z Akademią Seniora w Bielsku-Białej, np. „Gdzie dawniej śpiewał ptak. Czy warto osuszyć i zaorać łąkę?”.

SENIORKA UNDER COVER

Osobną ofertę dedykowaną seniorom mają zawodowi naciągacze. Płdrowanie mieszkania pod pretekstem wizyty wysłannika opieki społecznej, rady parafialnej, spółdzielni mieszkaniowej, kominiarza czy hydraulika wprowadzie nieco spowszedniało, ale ciągle działa. Poza tym,

Senior dysponuje nadwyżką wolnego czasu. Dlaczego nie wyprawiać się w podróż?

gdy tylko błysnie nadzieja na uczestnictwo w jakiejś popisowej akcji policyjnej wymierzonej w świat przestępczy, seniorzy idą w to jak w dym. W Legnicy do takiej koronkowej misji wybrał pewną 80-latkę działającą *under cover* pan nadkomisarz. Do współpracy pozyskał ją drogą telefoniczną. Do wykonania zadania niezbędne okazały się fundusze operacyjne (15 tys. zł), które „agentka”

z ochotą wypożyczyła z własnego konta. Widocznie operacja trwa, bo udostępnione fundusze na razie do legnickanki nie wróciły.

Nadal sprawdzają się akcje mistyczno-teatralne. Oto całkiem niedawno w Koninie przed drzwiami starszej pani (lat 74) stanęła nieznana w okolicy mistyczka, zawodząc pieśni nabożne. Religijna niewiasta wpuściła rozmodlonego gościa pod swój dach, z ochotą dołączyła do pień, zwłaszcza że miały one jakże altruistyczny cel: pomnożyć jej zakuski przechowywane na czarnej godzinie. No ale przecież forsa nie rozmnoży się sama – tłumaczyła jak dziecku przybyła pani. Trzeba nad nimi odprawić specjalny rytuał. I już wkrótce gospodyni zgodnie z poleceniem rozstała na podłodze banknoty na sumę 43 tys. zł, przyniosła wodę świę-

coną, jajko i ściereczkę. Niezbędne do wywołania finansowego cudu. Jajko okazało się jednak częściowo nieświeże i mogłoby fatalnie wpłynąć na ceremonię. Należało je więc co rychlej zakopać pod blokiem, a pieniądze tymczasem zebrać i wsunąć pod materac. W czym owa kapłanka finansów z serca i gorliwie pomagała. Jajko zostało zakopane, pieniądze wsunięte. Ale przy ich



W programie „Sanatorium miłości” dobierają się w pary państwo zaawansowani wiekowo.

z „programem ochrony zdrowego kręgosłupa”. Wszystkie usługi i towary oczywiście „pro-eco” i „pro-harmony”. Badania (Instytut ARC Rynek i Opinia) precyzują: aż 91% badanych emerytów otrzymało zaproszenie na prezentację drogich towarów, a 48% zdecydowało się z niego skorzystać.

Przed mityngiem już na wejściu działa *door selection* – jak przed wejściem do klubu czy na dyskotekę. Seniorzy młodszy, bardziej krytyczni i skorzy do zadawania niewygodnych pytań są obdarowywani „prezentami” i serdecznie żegnani. Właściwy pokaz jest dla starszych, zwłaszcza tych, którzy nałogowo polują w marketach na towar objęty choćby cieniem promocji. To jeden z ok. 500 takich eventów rocznie w przeciętnym województwie. Oferta jest bajeczna. Można się wzbogacić o nadajnik, który emituje fale gwarantujące „spokój & happiness” za doprawdy śmieszne 300 zł. To na rękę, bo jak się podpisze umowę kupna-sprzedaży, okaże się, że nie za 300, lecz za 1 tys. zł, za to w dogodnych ratach.

wysuwaniu, gdy wystanniczki niebios już nie było, okazało się, iż nastąpił tzw. cud ujemny. To znaczy, z uskładanych 43 tys. zostało się zaledwie 11. Wszystko zapewne przez to fatalne nieświeże jajko!

A trafiają się seniorom okazje wręcz brylantowe! Starszy pan Kowalski spod Piły, Kalisza czy Jarocina pewnego dnia dostaje niespodziewanego mejla z Nigerii, który miał dotrzeć do Kowalskiego o imieniu, powiedzmy, Makumba, gdzieś w Lagos, czyli w tejże Nigerii. Ale poczta pewnie źle przekierowała, więc nadawca przeprosza i tłumaczy, że to wszystko dlatego, że Kowalski spod Kalisza to jakaś rodzina tego Kowalskiego z Lagos. Stąd pomyłka i jeszcze raz przepraszamy. Koniec sprawy? Otóż nie, a wręcz przeciwnie. Bo teraz Kowalski z Pniew powoli nabiera przekonania, że ma w Nigerii dalekiego kuzyna. Że on sam jest biały, a ten Kowalski z Lagos pewnie czarny jak smoła – to wcale mu nie daje do myślenia. Ostatecznie w kwestii koloru skóry Michael Jackson nie takie numery wywijał. Może więc ów Makumba Kowalski zaprosiłby kuzyna z Kalisza do Lagos na jakieś wakacje pod palmą?

I właśnie wtedy, kiedy nasz Kowalski już widzi się w hamaku, w sercu Afryki, z drinkiem w rękę, spada na niego hiobowa wieść. Otóż nadaw-

ca pechowego mejla zawiadamia ze smutkiem, że kochany i nieodżałowany Makumba Kowalski z Lagos opuścił ten padół też. Z tym że zanim zszedł był, zostawił jedyne-
mu żyjącemu krewnemu, mianowicie Kowalskiemu Janowi z Kalisza, niemałą fortunę w dolarach. I ten spadek do *mister Kowalskiego* jak najbardziej dotrze, ale warto rzecz nieco przyspieszyć i posmarować, bo przecież wiadomo, jaka korupcja panoszy się w Nigerii. Te parę tysięcy dolarów na łapówki to doprawdy śmieszna suma wobec milionów, które niebawem spłyną na konto Kowalskiego z Polski od śp. Kowalskiego z Nigerii. I jest tak, jak się państwo domyślają. Kilka tysięcy dolarów Kowalski wydostanie spod ziemi i prześle, ale w zamian nie dostanie nie tylko ani dolara z obiecanych milionów, ale nawet marnego *Thanks!* od skorumpowanego nigerijskiego urzędnika.

SUPERBONUSY TYPU PRO-ECO

To w sumie drobni oszuści, ale pełen wachlarz atrakcji roztaczają przed gronem emeryckim także iluzjoniści od kosmicznych garnków, patelni („patent z NASA”) lub hiperodkurzaczy. Łączonych zwyczajowo

Kiedy los się do seniorów uśmiechnie, mogą wylosować superbonus zupełnie „za darmo”.

Niby otrzeźwiały senior ma prawo odstąpić od umowy w ciągu 14 dni od zakupu, ponieważ wedle prawa umowa została zawarta poza siedzibą firmy... Otóż nie poza siedzibą, bo firma właśnie zarejestrowała swoją siedzibę w motelu, gdzie odbył się kosmiczny pokaz – oczywiście tylko na kilka dni.

Kiedy los się do seniorów uśmiechnie, mogą wylosować superbonus zupełnie za darmo. Jak pani Regina z Lublina, która wygrała cenny zestaw i podpisała – cała w skowronkach, że pod koniec życia i do niej uśmiechnęło się szczęście – podsunęty formularz. Dopiero w domu doczytała, iż m.in. urządzenie do masażu stóp oraz odkurzacz piorący, owszem, zostanie za darmo, pod warunkiem że za nie zapłaci. Na to pani Regina, że ona już nie chce tych dobrodziejstw i nie zapłaci. Ależ to nie możliwe! – tłumaczy jej firma. ▶

► Pani Regina „wygrała i podpisała”, a to nie działa wstecz. Trzeba odkurzać, masować, prac, płakać i – płacić!

EMERYTURA. NIE POCZEKALNIA!

W palecie dóbr oferowanych emerytom przez szemranych sprzedawców na poczesnym miejscu lokują się „biostymulatory”. Nic dziwnego – podwoje otwierają przed tą kategorią wiekową kluby. „Seniorze! Gdy rozmowy na klatce schodowej to za mało, pomyśl o członkostwie w klubie seniora”. Korzenioplastyka, brydż, wycieczki krajoznawcze (dla członków zniżki), kółka recytatorskie, joga, zumba, grzybobranie, kurs komputerowy, robótki ręczne i szachy. Wszystko za jedyne 5-10 zł na miesiąc. Przykładowe nazwy klubów: Wigor, Druga Młodość, 82.

W karnawale senior ma w karnecie liczne bale, czasem nie byle gdzie, bo choćby w nowoczesnym Centrum Kongresowym przy wrocławskiej Hali Stulecia. W menu śledzie pod pierzynką cebulową, meksykańskie chili con carne i makaron penne z pikantnym sosem pomidorowym, chrupiącym boczkem, parmezanem i pietruszką. Warszawski Pałac Kultury kusi z kolei „Wieczorkami tanecznymi” (wymagany strój wieczorowy, barek do dyspozycji). Rzeszów wyspecjalizował się w „Potańcówkach miejskich dla Seniorów”, oficjalnie bezalkoholowych, choć organizatorzy dopuszczają trunki własne.

Coraz więcej seniorów rusza na toły na „dancingi międzypokoleniowe”. Nie przeszkadzają zastawki, bajpasy, chemioterapia czy cukrzyca, najwyżej ktoś się spóźni, bo koronarografia się przeciągnęła... Zdarza się starszym państwu zakręcić na dancingach, które prowadzi najstarsza w Polsce (a pewnie i na świecie) didżejka Wirginia Szymt, znana jako DJ Wika (rocznik 1938), wdowa po dyplomacie, matka i babcia. W karcie chorobowej ma operację biodra, wszczępienie endoprotezy, nawet zapalenie ucha środkowego (praca w słuchawkach wcale nie sprzyja leczeniu). A przecież kiedy staje za konsolą pubu Bolek na warszawskim Polu Mokotowskim (wstęp 12 zł), parkiet wypełnia się seniorami już po 20 sekundach. Gra Lady Gagę, Shakirę, Madonnę, „Talkinga”, ale



Potańcówka międzypokoleniowa podczas Warszawskich Dni Seniora na Żoliborzu.

też muzykę typu *house*. Seniorzy pokręcą się i wracają do stolików pokrzepić się ciastkiem i ćwiarteczką żubrówki. Ci, którzy w takiej zabawie zasmakują, kształcą się w Senior DJs Academy lub Senior Casting Agency. Ostatecznie filmy i programy telewizyjne poszukują statystów także w starszym wieku, często również wynajmują ich mieszkania na plany filmów retro.

Ale na taki podryw czy casting trzeba się odpowiednio wystroić. Magazyny modowe prześcigają się więc w poradach dla seniorów płci obojga. Paniom sugerują odejście od kwiecistych deseni typu „babci-na-łączka”, cekinów, kokardek czy falbanek (wyjątek: lamparcie ćwiki, które odwracają uwagę od niedoskonałości figury). Doradzają śmiało plamy kolorystyczne z „jadowitą czerwienią” i „nasyconą żółcią”. Nie należy się bać czerni na poziomie talii i ud – czarne wyszczupla! Jeżeli zdarzy się grill albo praca na działce, to obowiązkowo komplet w stylu safari. Przy tym spodnie koniecznie podtrzymywane w pasie mocno rozciągliwą gumą. Dekolt tylko w kształcie litery V, na nim korale, ewentualnie perły, a choćby i z Jablonexu. Delikatne marszczenie bluzki na karczku pomaga zatuszować zgarbienie. Jeżeli pani decyduje się na bluzkę „transparentną”, pod spód winna włożyć bieliznę w kolorze cielistym. Z dodatków – okulary

słoneczne niemal na każdą pogodę: pomagają ukryć kurze łapki.

Elegancja na użytek starszego pana jest znacznie prostsza i sprowadza się do unikania najbardziej rażących gaf. Nie należy więc opinać koszuli na dobrze zaprowadzonym brzuszku piwnym, zwłaszcza gdy krawat sięga tylko do jego połowy. Przed wżuciem sandałów raczej natrzeć stopy oliwką, niż pakować je w skarpety. Inne buty powinny harmonizować od biedy kolorem z resztą i być wypastowane.

STARY CZŁOWIEK I MOŻE

Bale i kluby to idealna okazja, by zapoznać panią lub pana. Ale można to uczynić i zdalnie, na jednym z wyspecjalizowanych portali randkowych dla seniorów, np. Samotne-Serca.pl (w „Strefie seniora”) czy na Swatce.pl. Tylko wybierać, przebierać – najpierw wśród panów. Roman (79) „dobrze się prowadzi, jest zmotoryzowany i zdecydowany”; Witold (73) „uprawia jogę i ma tyle zainteresowań, że trudno zliczyć”; Dionizy (90) „walczył o wolność Polski”; Stefan (75) „twardo stąpa po ziemi. Pani może być z całej Polski, gdyż miłość nie ma granic”; Kazimierz (72) „nie ma wygórowanych oczekiwań, byle Partnerka była miła”; Józef (70) „pomimo rozwodu może zawrzeć ślub kościelny”; Bernard (80) „posiada wyższe wykształcenie, ale nie należy do osób, które się wywyższają”; Jan

(81) to „uczciwy romantyk na emeryturze, raczej skromny, choć czasami szalony”.

Panie też objawiają sporo zalet. Wanda (73) „ma kilka pomysłów na rozweselenie samotności, potrzebuje do tego ochotnika”; Jolanta (68) „może wyleczyć swojego adoratora z samotności, ponieważ jest lekarzem”; Brygida (70) „szuka Pana, który zechce takiego jak ona pulpecika do przytulania”; Teresa (77) okazuje się z kolei „spokojna, ale z pazurem (nie da się zagłaskać, ani podeptać)”.

Zainteresowania płcią przeciwną nie dziwią, skoro badania pokazują, że 41% emerytów przyznaje się do aktywnego życia seksualnego, a 15% właśnie poszukuje partnera. Przy tym co czwarty mężczyzna po 70. roku życia jest sprawny seksualnie, a zdarza się, że panie doznają pierwszego orgazmu w wieku 75 lat. Wiedzą o tym sporo sprzedawcy z sex shopów. Przed premierą „50 twarzy Greya” zaawansowani wiekowi klienci pytali o gadzety typu

dildo, kulki gejszy i wspomagacze erekcji (tzw. błękitny lewarek). Teraz domagają się również kajdanek, pejsy i ball-gagów. Zdarzył się emeryt, który wreszcie uskładał na dmuchaną lalkę Azjatkę, o jakiej marzył od lat. A inny z analogicznym obiektem współżył tak intensywnie, że w szale

materiał z okazji np. jego siedemdziesiątki. A w numerze pojawiają się dziesiątki listów od czytelników z gratulacjami. Oczywiście gazetę przygotowuje się w Photoshopie, potem powiela na domowej drukarce. I nie zawsze warto to starszemu wyjaśniać... W licznych miastach można

Można delegować seniora na zajęcia w ramach Tygodnia Pisania Testamentów, aby zawczasu rozporządził masą spadkową.

namiętności urwał mu głowę. Zrozpaczony próbował reklamować, tłumacząc, że nabył towar „z wadą produkcyjną”...

BĄDŹ WOLA TWOJA...

Patriarchom rodziny stukają kolejne latka i należą się im rocznicowe prezenty, niekoniecznie z sex shopu. Niektóre są z gatunku eksperymentalnych. Seniorowi można sprezentować wydanie gazety (lokalnej, ale nie tylko), gdzie na stronie tytułowej będzie figurował bogato ilustrowany

także delegować seniora na zajęcia w ramach Tygodnia Pisania Testamentów, aby zawczasu (i zgodnie z oczekiwaniami rodziny) rozporządził masą spadkową. Dla rodziny to też często okazja, by zasugerować nestorowi rodu przenosiny do domu opieki, który kusi już samą nazwą: Dom Pomocy Społecznej im. Marii Kaczyńskiej, Jesienny Azyl, Bursztynowe Zacisze, Liliowy Dworek czy wreszcie Senior Residence. Czy można sobie wymarzyć piękniejszą stację przesiadkową?

Wiesław Kot



CZY WIESZ, ŻE...

PŁATKI ŚNIEGU OPADAJĄ NAJCZĘŚCIEJ Z PRĘDKOŚCIĄ 5 KM/H?

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO SPADNIE ŚNIEG?



interia **POGODA**

SPRAWDŹ SIĘ!

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII! PROGNOZA NA 25 DNI DLA 3 MLN MIEJSC

MEDYCYNĄ NA ODLEGŁOŚĆ

Nowoczesne stymulatory mogą wysyłać informacje o działaniu urządzenia i zdrowiu pacjenta do medycznego centrum monitorowania



DR MARCIN GRABOWSKI

– kardiolog z I Katedry i Kliniki Kardiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

Rozmawia Barbara Jagas

Spotykamy się na debacie naukowej, m.in. temat wydłużania się życia ludzkiego i zapewnienia seniorom nie tylko długiego, ale i dobrego życia. Jaka jest rola telemedycyny, jeśli chodzi o jej możliwości w kardiologii? Z czego już mogą skorzystać chorzy na serce?

– W ostatnich latach obserwujemy istotny rozwój telemedycyny w kardiologii, co przede wszystkim polega na tym, że wyszła ona z obszaru badań naukowych i trafiła do praktyki lekarskiej. Przykładem projektu naukowego, który został wcielony w życie, jest transmisja EKG z karetki pogotowia u pacjenta z podejrzeniem zawału serca. Dzisiaj, jeśli jest wezwanie do takiego pacjenta, jedzie do niego karetka wyposażona w defibrylator, który potrafi wykonać pełnowartościowe EKG. Badanie to jest jednocześnie wysyłane do ośrodka kardiologii interwencyjnej, gdzie natychmiast ocenia je lekarz, który podejmuje decyzję, co dalej zrobić z tym pacjentem. Taką diagnostyką na odległość objętych jest w Polsce już kilka setek chorych.

Tyle osób dzięki diagnostyce na odległość może zostać uratowanych, bo w porę rozpoznany zawał i szybka interwencja to połowa sukcesu.

– To prawda. Innym przykładem praktycznego zastosowania telemedycyny jest monitorowanie na odległość pacjentów z wszczepionymi defibrylatorami i stymulatorami. Nowocze-

sne stymulatory, wszczepiane dość rutynowo, mają dodatkowo funkcję umożliwiającą wysyłanie informacji o działaniu urządzenia i parametrach życiowych pacjenta do medycznego centrum monitorowania. I tam, w klinikach, gdzie funkcjonują takie centra, specjaliści sprawdzają, jak pracuje serce, i oceniają sprawność działania stymulatora lub defibrylatora.

Co to daje pacjentowi?

– Dzięki takiemu monitoringowi można np. wykryć nieprawidłowy rytm serca. Może się też okazać, że stymulator przestał poprawnie działać albo w defibrylatorze rozładowała się bateria. Mając tego typu wiedzę, możemy błyskawicznie zareagować, udzielić pomocy choremu, bo czasem potrzebuje jej natychmiast. I na tym właśnie polega fenomen telemedycyny.

Czy stopień rozwoju tej dziedziny w Polsce jest porównywalny do innych krajów? A może coś nas różni?

– Nie, mamy dostęp do najlepszych światowych rozwiązań. Problem polega na tym, że w odróżnieniu od naszych sąsiadów, Niemiec i Czech, Polska telemedycyny nie refunduje.

Kto więc płaci za możliwość skorzystania z telemedycyny?

– Pacjenci, których na to stać. Albo szpital, jeśli lekarze stwierdzą, że dany pacjent bezwzględnie wymaga telemonitoringu. Dlatego telemedycyna nie jest rutynowym postępowaniem. Czekamy, aż procedura telemonitoringu pacjentów z wszczepionym urządzeniem pojawi się w koszyku świad-

czeń. Wtedy można będzie objąć nią większą liczbę chorych.

Rozumiem, że mniejszy dostęp do telemonitoringu kardiologicznego mają seniorzy. Bo kto dziś zechce w nich inwestować?

– Pewnie po części można pani przyznać rację. Ale przecież telemedycyna powinna być właśnie dla seniorów, bo u nich jest największa potencjalna skuteczność tej metody. Osobom młodym, dobrze funkcjonującym, taka pomoc jest raczej zbędna. Zresztą nadmiar informacji, a telemedycyna akurat generuje natłok danych, od osób dobrze funkcjonujących może w konsekwencji okazać się dla nich szkodliwy.

A co dalej z telemedycyną? Jak pan widzi jej rozwój i zastosowanie za 10, 15 czy 50 lat?

– Wydaje mi się, że przestaniemy o niej tak górnolotnie debatować. Po prostu stanie się niezauważalnym, rutynowym podejściem, codzienną praktyką. Przyszłe narzędzie telemedyczne będzie czymś w rodzaju dzisiejszego stetoskopu. Tak jak obecnie nie zastanawiamy się, dlaczego lekarz używa słuchawek, w przyszłości nie będziemy się dziwili, że kogoś zdalnie diagnozujemy i leczymy na odległość. To nie będzie zaskakujące, że pacjent ma przy sobie smartfona z aplikacjami, które kontrolują jego zdrowie albo pomagają go leczyć. Chorzy będą mieli zegarki, które mierzą ich tętno czy zaburzenia rytmu serca. Inni będą mieli wszczepione pod skórę małe czujniki, które zmierzają poziom cukru i temperaturę. To wszystko będzie oczywiste, zwyczajne, powszechne. Wydaje mi się, że będziemy mieli tylko problem z interpretacją nadmiaru informacji płynących z takich urządzeń. Możemy zostać zalani granicznymi pomiarami.

Chodzi o dane, które są blisko normy?

– Tak i trzeba będzie podjąć decyzję, czy już coś z tym robić, podjąć działanie, czy jeszcze uznać, że wszystko jest w porządku. A przecież pamiętajmy, że czasami nadgorliwa interwencja medyczna może przynieść więcej szkody niż korzyści. ■

Eurołamacz

Rząd PiS gromko woła, że kocha Unię Europejską, ale czyni temu przeczą. W ostatnim czasie Polska co najmniej dwukrotnie wymierzyła unijnej jedności solidnego kopniaka.

Nie pozostało to bez echa. Symptomatyczne były komentarze po wypowiedzi ministra Czaputowicza, że groźba brexitu bez umowy zostałaby oddalona, gdyby Unia zgodziła się, by tzw. *backstop* obowiązywał przez pięć lat.

Nie będziemy tu tłumaczyć, co to *backstop* i kwestia Irlandii, bo ani miejsca na to nie ma, ani powodu. Istotne jest to, że za czasowym *backstopem* opowiada się Wielka Brytania, a Irlandia i Unia Europejska są przeciw. Czyli minister Czaputowicz nagle zaczął popierać stanowisko brytyjskie, rozbijając europejską jedność.

Najmocniej komentowano to we Francji. „Polska jest gotowa poświęcić Irlandię”, możemy przeczytać w artykule redakcyjnym tygodnika „Le Point”, który o słowach Jacka Czaputowicza pisze tak: „Jest to zmiana stanowiska, która wstrząsnęła Unią Europejską, ale idealnie pasuje do logiki stanowiska Polski w innych kwestiach. Na przykład w przypadku migrantów Polska nie zamierza podejmować żadnych wysiłków i uważa, że problem Włoch, jednego z krajów najbardziej narażonych na napływ migrantów z basenu Morza Śródziemnego, jej nie dotyczy. Z drugiej strony jeśli chodzi o występowanie przeciwko Rosji i nakładanie na nią sankcji, Polska jest bardzo szczęśliwa z powodu europejskiej solidarności”.

Ciekawa była też dyskusja pod artykułem, w którym wypominano Polakom różne wiarołomności i europejską niełajalność. Postulowano obcięcie funduszy dla państw nowej Unii, a nawet pozbycie się ich („Polexit? Czemu

nie?”). Wiadomo, internetowymi dyskusjami nie należy się przejmować, ale w jakimś stopniu wpływają one na ogólny klimat.

Swoje dorzucili Niemcy. W serwisie Deutsche Welle czytamy: „Publiczne deklaracje Czaputowicza (w istocie biorącego stronę Londynu w sporze, czy bezpiecznik może być ograniczony czasowo) wywołały sporą irytację dyplomatów wielu krajów Unii. W dodatku Czaputowicz robi to w tym samym dniu, w którym usiłuje sprosić jak najwięcej ministrów z Europy na konferencję bliskowschodnią w Warszawie, którą w lutym organizują USA – mówi zachodni dyplomata”.

A co z tej konferencji wyniknie? „Francja raczej nie wyśle na spotkanie Jeana-Yves’a Le Driana, swojego ministra spraw zagranicznych, Niemcy i Wielka Brytania jeszcze zaś nie zdecydowały, na jakim szczeblu będą reprezentowane. Jak oświadczył wysoki rangą urzędnik UE, szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini nie weźmie udziału w tej konferencji” – to informacje „Financial Timesa”.

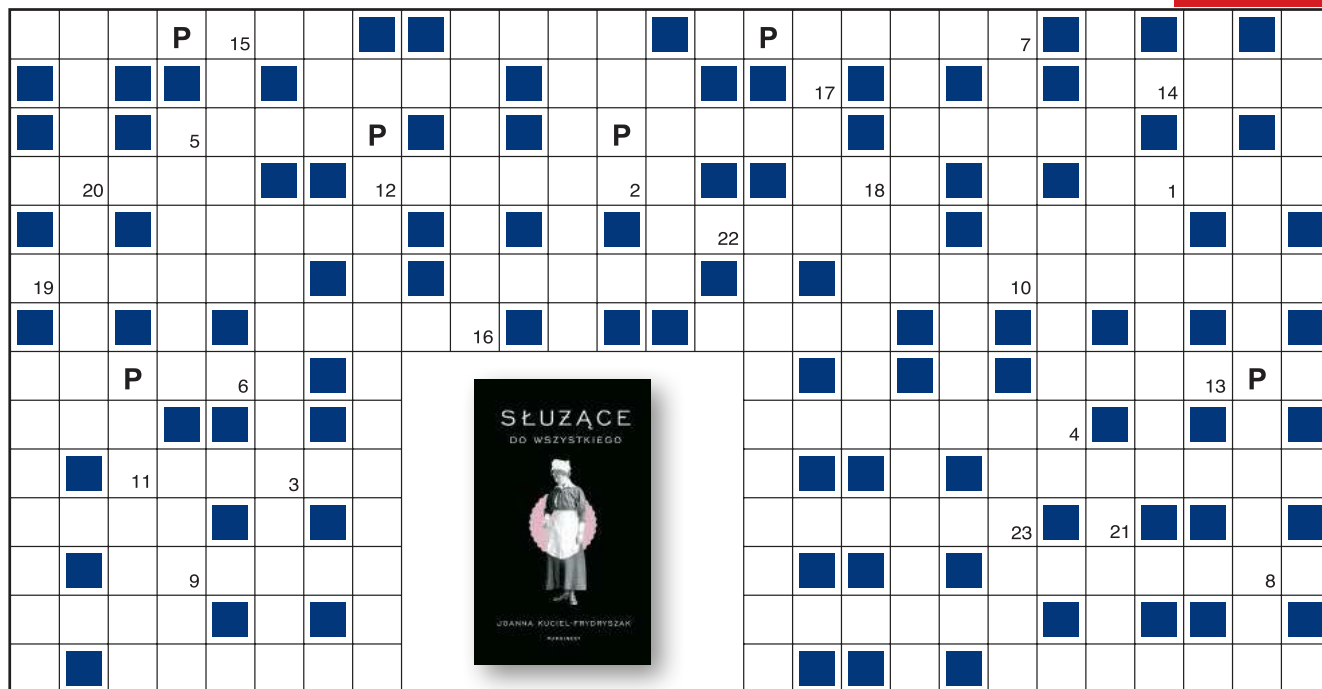
Mamy więc drugi strzał w europejską jedność – konferencję w Warszawie na temat Iranu, wobec którego Unia i administracja Donalda Trumpa mają rozbieżne stanowiska. Żeby zagrać Europie na nosie, Amerykanie zaproponowali konferencję w Polsce. Nikogo o tym wcześniej nie informując, nawet samych Polaków. No i konferencja się odbędzie, tylko pytanie, jak na niej wyjdzie Polska.

Można je rozszerzyć i zapytać, co będzie miała Polska z polityki PiS i ministra Czaputowicza. I czy rozbijanie Unii to działanie świadome, czy wychodzi im niechcący?

Attaché



Ortodoksyjni Żydzi z Bene Berak obchodzą Nowy Rok Drzew. Podczas tego święta głównymi potrawami są owoce, tradycja sięga VI w. p.n.e.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- skrzynia z dziesięciorgiem przykazań
- wawelskie gobeliny
- powieść Lema, na jej podstawie film „Młocząca gwiazda”
- napelniany paliwem
- wojskowa lub danych
- faraon kojarzony z największą piramidą
- francuskie – z wielu cienkich płatków
- ogólne określenie wód w otwartym korycie
- z Eastwick albo z Salem
- mózgów lub kieszeni
- z Polski największy do Niemiec
- o tym bogu mówią w „Uczcie” Platona
- „...nikomachejska” Arystotelesa
- ekspiracyjna – artykułowana przy wydychaniu powietrza
- stan USA z Wichitą
- nakrycie na tapczan
- ma go bluza i skafander
- nacięcie wyróżnione do liczenia
- w wyniku jego wulkanizacji otrzymuje się gumę
- dopingują swoją drużynę
- bładozielony – to seledyn
- przeciwnatarcie
- znak Polski Walczącej
- „Pierwszy... w chmurach” Hłaski
- Xe wśród helowców
- kłamca, ale nagradzany w Bogatyni
- dorosły – chuligan, mały – urwis
- i przeinaczanie faktów, i precyzyjna czynność
- substancja z różnych składników, melanz
- dokonał zakupu
- potocznie o gryzieniu
- gryzienie na futro
- ochroniarze prezydenta
- hekatomba – ze stu wołów
- przyszywany tata
- rozlegają się po udanym lądowaniu samolotu rejsowego
- ...proroka – turecki amulet i powieść Łozińskiego
- krążek z lekiem w proszku
- odkłada skiby pługiem
- prezent, upominek
- koncert solisty
- odbicie piłki znane Idzie Świątek
- czerwony kamień szlachetny
- o tych Babilonu śpiewał zespół Boney M
- drobny wzór na tle
- miasto ocalone przez gęsi
- służył do żęcia
- odgłos psiego żalenia się
- oddychają nimi ryby
- tryb postępowania, modła, metoda
- tajna organizacja, spiszek
- „Papa”, który trenował wielu bokserów
- znak, przedmiot, które coś oznaczają
- z partnerką na parkiecie
- argentyńskie dla dwojga powyżej
- w dłoni kucharki siekającej mięso
- mata pod dżudokami
- żył w Puszczy Jaktorowskiej
- składają się z 50 stanów
- nabrać w nie wody to milczeć
- dzieło literackie, muzyczne
- wejście do czołgu
- z mąki żytniej – na żur

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-894”. Do rozlosowania książki „Służące do wszystkiego” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 lutego 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-891” z 13 stycznia: *Uśmiech pomaga myśleć.* Nagrody otrzymują: Maria Przybylska ze Zgorzelca, Dzierżykraj Ratajczak z Poznania, Zofia Turska-Seledc z Lublina.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

ALEKSANDRA DULKIEWICZ,
KOMISARZ GDAŃSKA

Gdy się wkurzał, to mówił: „Pani prezydent” i chrząkał. Od razu widać było wtedy jego zdenerwowanie. Z tego chrząkania zawsze się śmialiśmy. Mam pozytywne usposobienie i w takich momentach zawsze mówiłam jakiś dumny żart. Czasem jeszcze bardziej Go to wkurzało, bo według Niego w poważnej sytuacji zachowywałam się tak niepoważnie. Nawet trochę mnie strofował: „Słuchaj, przecież jesteś pierwszym zastępcą prezydenta Gdańska, weź się ogarnij jakoś”. Ja nawet nie przyzwyczaiłam się, że ludzie mówią do mnie: „prezydent”. Przy niektórych naradach szlag mnie trafiał. Opieprzyć też potrafię. No i przeklinam.

PANI **HANNA KRALL,**
REPORTERKA

Wojna wyposażyla mnie w wiedzę o życiu, a pisanie wzięło się z ciekawości. Kim są spotkani ludzie, co jest za rogiem, za ulicą, za miastem. I z potrzeby opowiadania. Bo jeśli coś nie zostało opowiedziane, to po co w ogóle jest? W ludziach, którzy doświadczali wojny, to wspomnienie jest wciąż żywe. Napisała do mnie kobieta z Ameryki, która przeżyła atak na WTC. Schodziła z 82. piętra, a jak znalazła się na dole, była tak wyczerpana, że weszła pod stojący niedale-

ko samochód, żeby chwilę odpocząć. W tym momencie zawałiła się druga wieża, na ten samochód. Gdy wycofagała się spod niego, spod tych gruzów, miała wrażenie, że znowu idzie przez Warszawę po powstaniu, a nie przez Manhattan. Ludzie nadal powierzają mi historie swojego życia. Kiedyś wysyłali je pocztą lub opowiadali telefonicznie, teraz przychodzą mejlami.

TYG
STYL

RAFAŁ ZAWIERUCHA,
AKTOR

Pewnego dnia mój agent odebrał telefon z USA. Człowiek z Sony Pictures powiedział, że chcieliby mnie „bliżej poznać”. Przysłali opis kilku scen. Miałem je zagrać, nagrać i wystać. To było w maju, w sierpniu byłem już w Hollywood. Czeki na mnie szofer z tabliczką „Zawierucha”, wiezie mnie do apartamentu. I zaczyna się mój amerykański sen. Z okna rozpościerał się widok na Los Angeles i słynny napis Hollywood. Rozpłakałem się. Jeszcze przez dobry miesiąc, gdy budziłem się rano, nie wierzyłem, że tam jestem. Nie wierzyłem, że mam szansę zagrać taką rolę! Czytałem scenariusz i czułem, że serce zaczyna silniej bić. Jeśli masz świadomość, że grasz Romana Polańskiego, a twoją filmową żoną jest Margot Robbie, czujesz się, jakbyś wkroczył w nierzeczywisty świat. Przechodzą cię ciarki.

Aby język giętki...

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O DONALDZIE TUSKU

Rozbudzając oczekiwania, zastawia na siebie pułapkę, w pewnym momencie nie będzie już mógł się wycofać.

ANDRZEJ SKWORZ O KURIOZUM ROKU

Prezes rzeszowskiego radia publicznego złożył do prokuratury doniesienie na własną dziennikarkę, bo wpuściła na antenę słuchacza niepoprawnego politycznie.

BRONISŁAW KOMOROWSKI
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jest cynikiem absolutnym. Co zrobił z żałobą po bracie? Zamienił ją w polityczną rozgrywkę.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
O DZIECIACH

Przeciętna polska rodzina rozmawia z dzieckiem siedem minut dziennie.

KRYSTIAN LUPA O WODZOSTWIE

W teatrze musisz być wodzem, który zaraża aktorów energią. Jeśli mam ją w sobie, to inni to wychuwają.

OLGIERD ŁUKASZEWICZ
O EGZORCYSTACH

Jak to jest, że egzorcyciści z całą powagą głoszą, że diabeł jest zazwyczaj w pochwie młodych dziewcząt.

JANUSZ JÓZEFOWICZ
O ŻONIE NATASZY

Świetnie wpisała się w mój świat – dyscyplina, praca, praca.

PAWEŁ DOMAGAŁA
O PRACY W KORPORACJI

Wielu moich kolegów pracowało w korporacjach i część już z nich uciekła, a części mocno zryło to banie.

JOANNA KULIG O MĘŻU

On mówi, że całe życie myśli o przyszłości, a ja myślę o przeszłości.

ERYK LUBOS O ŻONIE

Żyję z reżyserką, niesamowitą i mądrą kobietą. Ale myślę, że zawód aktora to jednak wielka samotność.



Artur Bordalo II – portugalski artysta promujący ekologię i recykling. Często tworzy z materiałów wyszukanych na wysypiskach śmieci lub złomowiskach.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Łądowisko nie z tego świata

Na rzece w stanie Maine pojawił się lodowy dysk o średnicy 90 m, od razu określony przez mieszkańców mianem łądowiska dla kosmitów. Rzadko spotykane zjawisko nie ma jednak pozaziemskiego pochodzenia. Za powstawanie lodowych kręgów odpowiadają prądy rzeczne, które obracają oderwaną krę na powierzchni, aż z czasem, ocierając się o brzegi rzeki, uzyskuje ona kształt zbliżony do koła. Z łądowiska korzystają na razie tylko miejscowe kaczki i nic nie zapowiada, aby chciały je udostępnić innym.

Ubytki w lodzie

Glacjolodzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego, Uniwersytetu w Utrechcie i Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA przeanalizowali zmiany pokrywy lodowej Antarktydy, które zaszły w latach 1979-2017. W tym czasie poziom wody podniósł się średnio o 14 mm. W latach 1979-1990 Antarktyda traciła rocznie ok. 40 mld ton lodu, a w latach 2009-2017 ponad sześciokrotnie więcej – 252 mld ton. Przy takiej dynamice topnienia poziom mórz w najbliższych stuleciach podniesie się o kilkanaście metrów.

Gadździarskie buty

Nike Adapt BB mają szansę stać się butami przyszłości. Wyposażone zostały w silnik regulujący zaciskanie się sznurowadeł. Buty wyposażone zostały w dwa przyciski – jeden zaciska sznurówkę, drugi pozwala na jej poluzowanie. Jedno naładowanie samowiążących się butów wystarcza na jakieś dwa tygodnie noszenia. Producent na szczęście pomyślał o bezprzewodowym ładowaniu.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Włosy kobiety zawsze są kobiece. Elina Switolina oraz Serena Williams na turnieju Australian Open.



Bezcenna kiełbaska

Niemcy zjadają rocznie ok. 800 mln sztuk *currywurst* (kiełbaski podawanej z sosem na bazie ketchupu i mieszanki curry). Wymyślona w 1949 r. potrawa, sprzedawana na ulicach Berlina Zachodniego, szybko zyskała sympatię Niemców, stając się z kolei jednym z najbardziej znanych dań kuchni niemieckiej. Po 70 latach kiełbaska doczekała się upamiętnienia na srebrnej monecie okolicznościowej, wybitej przez Państwową Mennicę w Berlinie. Moneta nie można jednak płacić, bo nie ma nominału. Dla wielbicieli *currywurst* z pewnością jest bezcenna.





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Ryba z grzybów

Fish and Chips, jedno z najbardziej znanych dań kuchni angielskiej, może się pojawić w nowej odsłonie. Wszystko za sprawą wegańskiej ryby, która ma zastąpić tradycyjną. Filety rybne, w których nie ma ani grama ryby, zrobiono z białek pozyskanych z pewnego rodzaju grzybów. Podobno taki filet z wyglądu łudząco przypomina rybny oryginał, nic jednak nie wiadomo o jego smaku.

Ekoniedziela

Rzym zмага się ostatnio z dużym zanieczyszczeniem powietrza. Smog skłonił władze miasta do wprowadzenia ekologicznej niedzieli. Zakaz ruchu samochodów obowiązujący będzie w niedzielę w godz. 7.30-12.30 i 16.30-20.30. Nie obejmuje pojazdów z napędem hybrydowym, elektrycznym, gazowym i silnikiem benzynowym Euro 6. Mandat za jego złamanie wynosi 164 euro, a jego celem, zdaniem władz, jest „uwrażliwienie mieszkańców na kwestie związane z ochroną środowiska”.



Mac Adams Zbrodnia?

Mac Adams tworzy instalacje i fotografie, które wywołują wrażenie podglądania scen zbrodni. Stosuje konwencję dokumentacji policyjnej. Dąży do maksymalnego obiektywizmu i eliminacji zaangażowania emocjonalnego. Nie przekazuje jednej, całościowej wersji historii, ale sugeruje przebieg zdarzeń poprzez pojedyncze obrazy i przedmioty. Uruchamia podejrzliwość naszej wyobraźni i skłonność do interpretowania zdarzeń jako przestępczych. Zbrodnia wprawdzie budzi odrazę, ale u większości ludzi górę i tak bierze ciekawość. Wydaje się, że zło jest bardziej intrygujące niż normalność. Wystawa w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie to pierwsza indywidualna prezentacja prac Mac Adamsa w Polsce.

do 17 marca

**Muzeum Sztuki Współczesnej
w Krakowie MOCAK
Kraków, ul. Lipowa 4**





LAO CHE

15 marca | Klub Stodoła | Warszawa

16 marca | Klub Stodoła | Warszawa



LOREENA MCKENNITT

27 marca | ICE Kraków Congress Centre **SOLD OUT**

28 marca | Dom Muzyki i Tańca w Zabrze



VOO VOO

14 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa



MELA KOTELUK

26 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa



JAROMÍR NOHAVICA

31 maja | Klub Stodoła | Warszawa

1 czerwca | Klub Stodoła | Warszawa



THE MYSTERY OF THE BULGARIAN VOICES FEATURING LISA GERRARD

10 czerwca | Klub Stodoła | Warszawa

Zwycięzca festiwalu w SUNDANCE

ŁŁE WYCHOWANIE *CAMERON POST*



MFF W SYDNEY
KONKURS GŁÓWNY



Nagroda Główna
sundance
film festival



MFF W VALLADOLID
NAJLEPSZY FILM
(NAGRODA SILVER SPIKE)
YOUTH JURY AWARD



WIĘCEJ NIŻ STANDARDOWA OPowieŚĆ O DOJRZEWANIU

W KINACH OD 25 STYCZNIA

AURORA